

W NUMERZE: Nasi reprezentanci ■ **Dramat Woronowskich** ■ **Pupi siciliani** ■ **Revolwerowiec** ■ **Pole tulipanowe** ■ **Polemiki** ■ **Potrzeba odkrywania** ■ **Załącznik**

Łódź

odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny



NR 11 (1162) ROK XXIII

16 MARCA 1980 R.

CENA 3 ZŁ

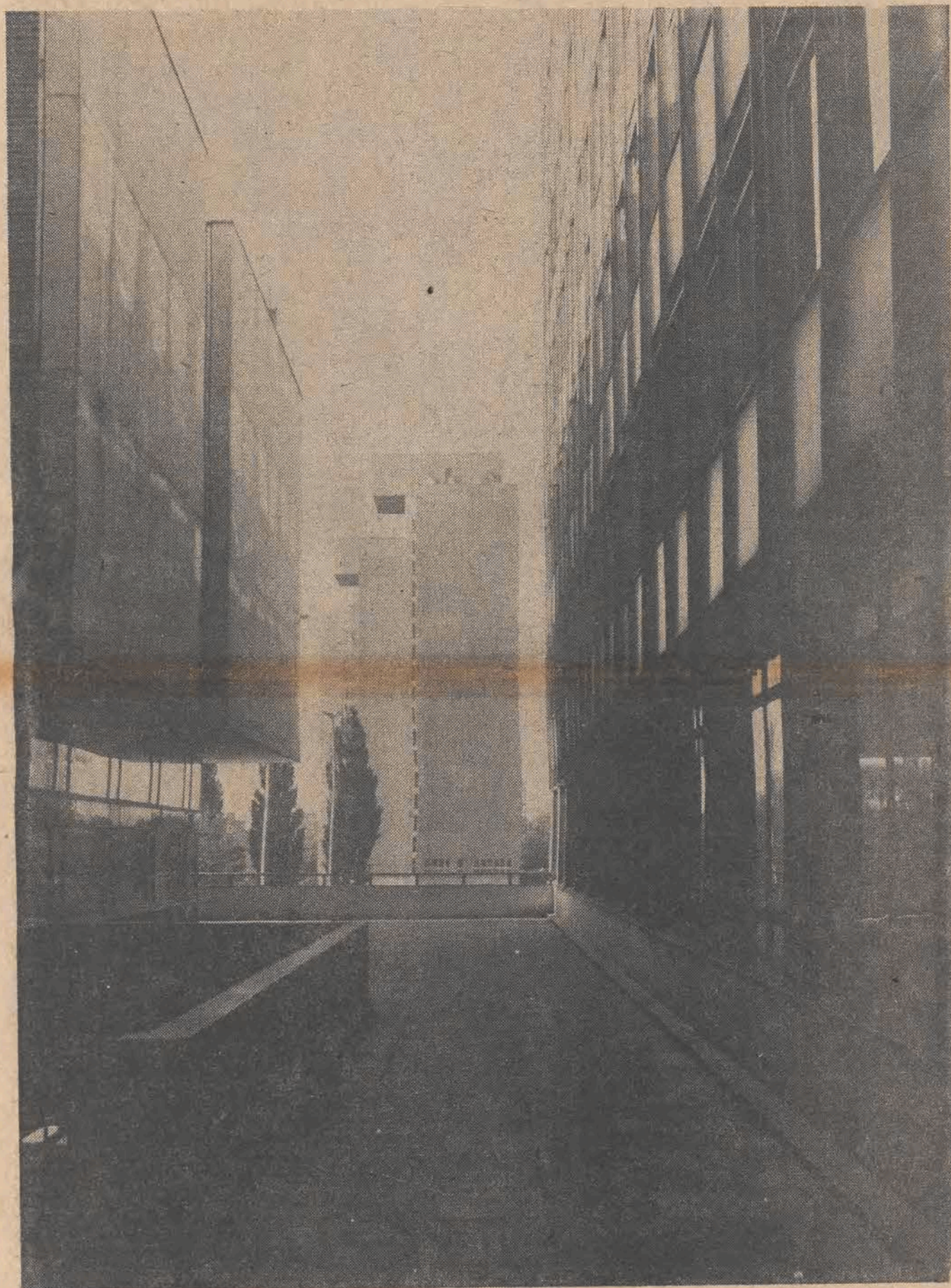


Foto: R. Łucyszyn

ANDRZEJ MAKOWIECKI

DRAMAT WORONOWSKICH

Mija rok i oto znów ten dom z burej, wykruszonej cegły to podwórko pod śniegiem, ta studnia — nie studnia, rząd pochyłych komórek, zionący śmieć, dwie budzące zgrozę latryny.

Ta sama klatka schodowa, te same drzwi na pięterku, ten sam człowiek wreszcie... może trochę bledszy, szczuplejszy...

Przypomnijmy: Stanisław Woronowski, pięćdziesiąt osiem lat, żonaty, jedenastoletni syn, siedmiorgo wnucząt, były więzień, żołnierz Wojska Polskiego, jeden z tych, co zdobywali Warszawę; później robotnik, brzojadzista, członek partii, działacz społeczny, nie cwaniak bynajmniej, raczej człek nadmiernie honorowany. Stara się od wielu lat o mieszkanie — bezskutecznie, jakkolwiek żyje ze swoją liczną rodziną w warunkach, które urągają egzystencji ludzkiej.

Siadamy zatem, jak przed rokiem, przy tym samym stole, w tym samym

pokoju, ciasnym i wcale nie własnym, bo zajmuje go przecież córka Janina z mężem i dwójkiem dzieci. Oni, Woronowsky, jak mieszkali, tak mieszkają — osiem osób w jednym pomieszczeniu, cztery łóżka, po dwie głowy na każde, zestawione szczerze, bok z bokiem. kroku nie zrobisz, turłać się trzeba przez wszystkie, aby leć na tym ostatnim, w rogu.

Więc ja wzdycham:

— Niewiele to moje pisanie pomogło.

— Ano, niewiele — przytakuje Woronowski. — I już chyba nie pomoże. Wczoraj u nich byłem w magistracie, mówię: redaktor z Łodzi przyjeżdża, ten z „Odgłosów”... Co mam mu powiedzieć względem mieszkania? Oni na to, że nic się nie zmieniło, trzeba czekać, a redaktor niech przyjeżdża, on ma swoją pracę, my swoją.

— Jednak rok temu były jakieś nadzieje?

— Pewnie, że były. Jak ukazał się ten pański artykuł, zaraz przyleciały do mnie dwie komisje, od prezydenta i od wojewody, i powiedziały: no, nie! Święta prawda, tak mieszkac nie można! Załatwimy sprawę, obywatelu!

W kilka tygodni później „Odgłosy” otrzymały w powyższej kwestii pismo, firmowane przez zastępcę dyrektora Wydziału Gospodarki Tere-

Dalszy ciąg na str. 6

Największe zainteresowanie — oprócz domów towarowych i zbyt wolno budowanego pawilonu gastronomicznego przy al. Mickiewicza — budzą w centrum Łodzi cztery wysokościowce, które rozłożyły się między ulicami Piotrkowską, Wigury, Sienkiewicza i Mickiewicza. Tę część śródmieścia nazwano z pewną przesadą „Manhattanem”.

Wobec potężnych rozmiarów betonowych maszyn każda z tradycyjnych nazw wydaje się „za lekka”. Wieżowce zdecydowanie rysują się na tle nieba mocną, nieco drapieżną sylwetką. W żartobliwym porównaniu do kamiennych rzeźb z Wysp Wielkanocnych nie ma chyba wielkiej przesady, choć główny projektant tych budynków — inż. arch. Aleksander Zwierko z „Miestoprojektu” — ma przeciwnie zdanie.

— Na całym świecie — mówi — preferuje się w centrach miast formy mocne, zdecydowane. Tym bardziej były one potrzebne Łodzi, która miała z tego powodu „kompleksy”. Wprowadzenie wysokościowców do centrum zdynamizowało jego architekturę. Decyzja o budowie SDM miała więc — niebagatelny — aspekt psychologiczny.

Dzięki zastosowaniu nowoczesnych rozwiązań architektoniczno-technologicznych (synteza dwóch systemów: SBO — stosowanego dotąd tylko przy wznoszeniu biurów i — wzorcowego dla SDM — katowickiego „mrowiskowca” oraz W-70), można było wynieść ludzkie siedziby na nie spotykane dotąd w łódzkim budownictwie wysokości (do 25 kondygnacji). Nie trzeba dodawać, że ze strony władz miasta, projektantów i wykonawców budowa pierwszych domów SDM była aktem pewnej odwagi, zważywszy na dodatek, że ci ostatni nie byli do niej jeszcze w pełni przygotowani.

Żyje w tym załączku nowej dzielnicy ponad 4,5 tysiąca ludzi. Najwięcej — bo aż półtora tysiąca — w długim wieżowcu „za Adasem” przy Piotrkowskiej 182. Ten sześcioklatkowy blok oddano — z dużym szumem — w 1976 roku. Zasłynął głównie dzięki pięknym boazerjom w holach i gnijącemu lantexowi w mieszkaniach. „Trybuna Ludu” — pisząc o tym „mrowiskowcu” — nie zawahała się nawet przed tytułem „Chybiona oferta”.

W dwa lata później oddano (co nie znaczy: skończono) blok przy Sienkiewicza 101, mniejszy już, trzyklatkowy i niższy, bo „zaledwie” z 17 pięterami. Kuchnie w tym domu mogły wskutek tego otrzymać gaz, a nie kuchenki na prąd, które za parę lat będą zmorem mieszkańców (wyprodukowano tylko specjalną serię dla SDM, brakuje części zamiennych). Głównym powodem do (złej) sławy tego domu stała się — ciągnąca się ponad rok po rozmaitych urzędach i gazetach — sprawa baru kawowego „Stefanka”.

Jako trzeci pojawił się wysokościowiec przy al. Mickiewicza. Zwrócony frontem do głównej łódzkiej arterii (ustawienie p.n.-p.d. tyleż reprezentacyjne, co niekorzystne dla mieszkańców) najbardziej rzuca się w oczy byłowalcom centrum. Najczęściej też występuje w prasie jako „wizytówka Łodzi”. „Express Ilustrowany” lansował go nawet w zeszłym roku w konkursie na tytuł „Mister województwa” i chociaż godność ta w końcu przypadła jednej z „plomb” przy Piotrkowskiej, reklama zrobiła swoje: wieżowiec przetrwał istną plagę „wycieczek” ciekawskich. W bogatym zestawie pamiątek, jakie ze sobą zabierali, znalazły się m.in. klamki, kłosze, żarówki, wyłączniki, lustra (z wind), kawałki fornirów, wentylatory, a nawet blaszane instrukcje obsługi dźwigów.

Dodatkowym wabikiem była zresztą wystawa wnętrz, zorganizowana przez „Verę” w jednym z M-4. Blok czwarty (ale z numerem „11”) to przedmiot cichej zazdrości „starych” mieszkańców SDM. Najnow-

TOMASZ SOLDENHOFF

NA „MAN- HAT- TA- NIE”

szy i z jeszcze większymi mieszkaniami. Dopiero tutaj mógł inż. Zwierko w pełni wypróbować własne, autorskie rozwiązania. Efektem — więcej metrów dla mieszkań.

WŁAŚCICIELE WIZYTÓWKI

Głównym użytkownikiem SDM jest Łódzka Spółdzielnia Mieszkaniowa. Spółdzielnia pod względem powierzchni mieszkań i liczby lokatorów nie największa i — jak powiadają — zrodzona trochę sztucznie, bo z połączenia różnych, mocno rozrzuconych po Łodzi osiedli, a nawet pojedynczych domów np. „plomb” przy Piotrkowskiej. To — wyjątkowe — rozproszenie i różnicowanie bloków nie pomaga w zarządzaniu nimi, a także — w integrowaniu ich mieszkańców.

W SDM do tego doszły jeszcze kłopoty, wynikające z wysokości, wielkości, słowem, nietypowości budynków. Z braku doświadczeń w eksploatacji tego typu domów ŁSM nie robi zresztą żadnej tajemnicy. Wiele urządzeń technicznych jest tu nowością, a wymagania wobec administratorów i służb konserwatorskich — ze względu na lokalizację — są większe.

Zgodnie ze statutem spółdzielni, jej zarządowi i administracji w rozpięciu gęstych codziennych trosk i problemów pomagać ma samorząd mieszkańców: komitety klatkowe, domowe, na których czele stoi Rada Osiedla — obecnie pod przewodnictwem Leona Rozenbajhery. Rada jest jedynym reprezentantem ogółu lokatorów wobec wykonawców, inwestora i ŁSM. Obecnie kończy się pierwsza kadencja pracy rady.

W niezbyt szczęśliwym układzie — gdzie ŁSM nie posiada statusu inwestora osiedla, a jest jedynie jego użytkownikiem, pozbawionym np. sankcji wobec wykonawcy — Łódzkiego Kombinatoru Budowlanego „Śródmieście” — wzrasta rola samorządu mieszkańców. Szczególnie wobec inwestora — Zakładu Projektowania i Usług Inwestycyjnych „INWESTPROJEKT”, będącego agendą Wojewódzkiej Spółdzielni Mieszkaniowej, której z kolei podlega ŁSM. Wykonawca liczy się tylko z inwestorem. Inna rzecz, że ten ostatni nie traktuje — jak dotąd — Rady Osiedla SDM partnersko. Działacze społeczni z SDM określają niekiedy swoje kontakty z „Inwestprojektem” jako „mówienie do ściany”.

Problem w tym, że Rada Osiedla nie posiada jeszcze wszystkich samorządowych uprawnień i — raz — wchodzi w skład Komitetu Obwodowego nr 3 w Śródmieściu.

Dalszy ciąg na str. 3

LAUREACI NAGRÓD M. ŁODZI

Profesor zwyczajny inżynier Bronisław SOCHOR prawie całe 46 lat swej pracy zawodowej poświęcił elektrotermii — nauce zajmującej się celowym przetwarzaniem energii elektrycznej na ciepło. Jest wybitnym specjalistą od konstruowania urządzeń zamieniających elektryczność na ciepło, ale — co równie cenne — potrafi też wytwarzać ciepło bez tych urządzeń i bez energii elektrycznej. Ciepło wyrażone pogodnym spojrzeniem, ujmującym uśmiechem, życzliwością i serdecznością.

W kontaktach z ludźmi jest szczerzy i bezpośredni. Zarówno studenci, jak i współpracownicy darzą go ogromną sympatią i szacunkiem. Jest dla nich cenionym autorytetem naukowym i moralnym, a jednocześnie doradcą i przyjacielem. — Nie zdarzyło się — mówi prof. Ludwik Michalski, pierwszy doktorant prof. Sochora — aby nie miał czasu dla swego pracownika lub studenta. Przychodzący do profesora nawet z niektórymi problemami natury osobistej. Dzięki swemu zrównoważonemu, optymistycznemu, często pomaga nam w chwilach wewnętrznych zapałach. W trudnych momentach kontakt z nim ma kojący wpływ.

Mimo że w październiku ub. r. prof. Sochor przeszedł na emeryturę, w dalszym ciągu jest naszym doradcą i opiekunem. Utrzymuje stały, bliski kontakt z zespołem, który tworzył i którym przez wiele lat nieprzerwanie kierował.

Dziś gospodarstwo po profesorze objął autor tych słów — prof. L. Michalski. Dodajmy — gospodarstwo zadbane i dobrze zorganizowane. W Zespole Elektrotermii pozostała kadra utalentowanych naukowców, dobrych specjalistów, gwarantująca godną kontynuację dzieła rozpoczętego przez prof. Sochora. Dużym atutem zespołu jest panująca w nim atmosfera wydajnej pracy i wzajemnej życzliwości, której uczył profesor.

Uczył jej nie tylko współpracowników, ale i studentów. Nie prowadził wykładów na temat stosunków międzyludzkich, a jednak życzliwością wobec młodzieży, wysokimi, ale realnymi wymaganiami, tolerancją, która nigdy nie oznaczała pobłażliwości, dawał młodym ludziom przykład godny naśladowania. Nigdy nie wykladał etyki, prawości i moralności. Studenti uczyli się jej sami poprzez kontakty z profesorem, poprzez obserwację jego działań, jego stosunku do świata i ludzi. Prof. Sochor nie narzekał na brak frekwencji podczas prowadzonych przez siebie wykładów i seminariów mimo że w przypadku nieobecności nie żądał ani zwolnień lekarskich, ani słownych usprawiedliwień. Student musiał tylko przeprosić swych kolegów i profesora za to, że zawiódł ich zaufaniem.

Studenti uczelni technicznych wykazują, zdaniem profesora, cztery różne typy uzdolnień. Jedni mają i potrafią rozwinąć talenty do rozwiązywania zagadnień teoretycznych oraz naukowego, ujmowania problemów, innych cechuje zmysł konstrukcyjny, a jeszcze innych — zdolność operowania aparaturą i projektowania procesów technologicznych. Zdarza się też studentów posiadających uzdolnienia w dwóch lub trzech z wymienionych kierunków. Ci ostatni, jeżeli odznaczają się ponadto dużą inteligencją, szerokimi zainteresowaniami i umiejętnością współpracy z ludźmi, mają wszelkie predyspozycje do tego, by w przyszłości pełnić rolę organizatorów produkcji, dyrektorów przedsiębiorstw i zjednoczeń, ministrów.

Siebie uważa profesor przede wszystkim za konstruktora. Fascynuje go praca nad każdą nową konstrukcją. Patrzy na rysunek techniczny, a plastycznie widzi w trójwymiarowej przestrzeni przedstawione na rysunku urządze-

nie. Być może wybitna intuicja konstruktora i talent inżynierski nie ujawniłyby się nigdy, gdyby wybrał kierunek studiów zgodnie ze swymi młodzieńczymi marzeniami. Pociągała go wówczas paleontologia. Zmianę zainteresowań zawdzięcza nieżyjącemu już fizykowi z gimnazjum w Brzesku-Okocimiu — Janowi Kijakowi.



„Praca w przemyśle, a później — stały, bliski z nim kontakt, dały mi bardzo wiele”
Foto: R. Łucyszyn

W 1933 roku Bronisław Sochor ukończył studia na Oddziale Elektrycznym Wydziału Mechanicznego Politechniki Łwowskiej. Podczas studiów nie zetknął się jeszcze z elektrotermią. Po otrzymaniu dyplomu ukończenia politechniki pracował krótko w Elektrowni Miejskiej w Stanisławowie koło Lwowa i przy elektryfikacji warszawskiego węzła kolejowego, a trafił do Fabryki Urządzeń Termotechnicznych inż. J. Zubko w Warszawie, gdzie pracował do roku 1944. Wkrótce po wyzwoleniu Łodzi objął dyrekcję fabryki noszącej teraz nazwę: Łódzkie Zakłady Termotechniczne „ELCAL”.

Praca w przemyśle, a później — stały bliski z nim kontakt, dały mi bardzo wiele — stwierdza profesor. Przeszedłem tam twardą szkołę, dzięki której zebrałem wiele cennych doświadczeń ogromnie przydatnych w pracy naukowej i dydaktycznej. Ubolewam, że wśród młodszych pracowników nauki parających się dziedziną bezpośrednio związaną z techniką do wyjątków należą ci, którzy pracowali, choćby krótko, w zakładzie produkcyjnym. Uważam bowiem, że odbycie stażu przemysłowego jest podstawowym warunkiem właściwego, tzn. zgodnego z potrzebami i możliwościami gospodarki, ukierunkowania badań i procesu kształcenia.

Nie tylko profesor zyskał wiele na kontaktach z przemysłem. Korzyści były obustronne. Świadczy o tym dyplom uznania nadany przez władze resortu prof. Sochorowi za usługi dla rozwoju przemysłu elektrotechnicznego, nagroda za prace konstrukcyjne przyznana przez wicepremiera, odznaka „Zasłużony pracownik LZT „Elcal” i inne wyróżnienia.

Długożywy i wyjątkowo utalentowany konstruktor i organizator pracy w przemyśle zdecydo-

wał się na przejście do Politechniki? Kierując fabryką odczuwał z całą wyrazistością konsekwencje braku wysoko kwalifikowanych kadr. Doskonale rozumiał potrzebę kształcenia w PL specjalistów z dziedziny elektrotermii. Społeczna waga nowych zadań miała duży

DAĆ LUDZIOM CIEPŁO

(o prof. Bronisławie Sochorze)

wpływ na decyzję podjęcia pracy w uczelni. Ponadto, kierując fabryką, musiał wiele czasu poświęcać na sprawy administracyjne, finansowe, handlowe itp., które były dalekie od zamilowań i pasji konstruktora. Był rok 1947, gdy zaczął w PL prowadzić wykłady i tworzyć Katedrę Elektrotermii, którą później kierował przez cały czas jej istnienia. Włączył się też aktywnie do organizacji i kierowania pracą Wydziału Elektrycznego. Był jego dziekanem i prodziekanem. W latach 1959—1962 pełnił funkcję prorektora PL ds. dydaktycznych.

Przez wiele lat łączył dwie prace, w uczelni i w przemyśle. Najpierw kierował Biurem Konstrukcyjnym Urzędzeń Elektrotermicznych, później był doradcą technicznym w tym biurze. Ścisłe kontakty z przemysłem utrzymywał zresztą przez cały okres swej pracy zawodowej. Dziś następcą prof. Sochora na stanowisku kierownika Zespołu Elektrotermii w Instytucie Elektroenergetyki PL — prof. L. Michalski twierdzi, że w myśl wieloletniej umowy podpisanej z „Elcalem” większość potencjału badawczego zespołu będzie w najbliższych latach zaangażowana w prace związane z potrzebami tego zakładu.

Choć prof. Sochor jest autorem ośmiu książek, współautorem i współredaktorem wydanego w 1974 roku w Essen przez Międzynarodową Unię Elektrotermii (UIE) 900-stronicowego dzieła pt. „Elektrotermia i praktyka”, autorem ponad 110 publikacji w czasopiśmie naukowych i piętnastu referatów wygłaszanych na krajowych i międzynarodowych konferencjach, to jednak zaprzeczy, że największą satysfakcję zawodową wymienił nie którąś z tych publikacji, lecz rozwiązania konstrukcyjne, które zostały przez niego lub pod jego kierunkiem opracowane, a następnie zastosowane w przemyśle.

Konstrukcje wykonane pod kierunkiem prof. Sochora wykorzystano w różnorodnych gałęziach przemysłu, m.in. w hutnictwie, odlewnictwie, przemyśle maszynowym i elektrochemicznym. Profesor był prekursorem akumulacyjnego ogrzewania pomieszczeń w Polsce. Urządzenia do takiego ogrzewania pobierają energię z sieci w godzinach nocnych, gromadzą ją wewnątrz bloków ceramicznych, a oddają przez całą dobę. Grzejniki akumulacyjne istotnie przyczyniają się do złagodzenia tzw. szczytów energetycznych. Prof. Sochor był twórcą bądź współtwórcą wielu oporowych i indukcyjnych urządzeń grzewczych stosowanych w przemyśle, m.in. do obróbki cieplnej metali. Według projektu profesora wykonano system elektrycznego ogrzewania podłogowego sali ry-

cerskiej zamku w Malborku. B. Sochor był współautorem pierwszej w Polsce metody nagrzewania elektrycznego zastosowanego przy produkcji zbiorników wysokociśnieniowych. Ostatnie jego prace dotyczą zagadnień energetycznych i ekonomicznych w elektrotermii — niezwykle ważnych dla gospodarki energetycznej kraju.

Drugą, obok pracy badawczej i konstrukcyjnej, pasją profesora było zawsze kształcenie. Potrafił zainteresować studentów wykładanym przedmiotem. Pierwszy wykład z elektrotermii zaczynał od stwierdzenia: Ciepło wytworzone podczas świecenia żarówki prowadzi do strat energii, wystąpienie tuku w aparacie elektrycznym może spowodować brzemienne skutki, następstwa, nawet awarie dużego systemu energetycznego. My — elektrotermicy staramy się wywołać te zjawiska — niekorzystne zjawiska, jakimi są powstanie tuku elektrycznego i zamiętanie elektryczności na ciepło po to, by spożytkować je dla dobra człowieka.

Profesor był współtwórcą programów studiów z nowej w Polsce dyscypliny, jaką w pierwszych latach powojennych była elektrotermia. Pod jego kierunkiem ukończyło studia ponad trzystu magistrów inżynierów tej specjalności. Napisał też trzy skrypty dla studentów. Wykazał wielką dalekowzroczność, dawno już przewidując burzliwy rozwój elektroniki, który rozwinął się do tego stopnia, że dziś istnieje w PL Instytut Elektroniki i kierunek studiów „elektronika”. Promował ośmiu doktorów. Jeszcze teraz opiekuje się jednym doktorem. — Doktoraty przygotowane pod kierunkiem prof. Sochora były pracami łączącymi zawsze wysoki poziom naukowy z użytecznością praktyczną — twierdzi prof. L. Michalski.

Trzecia pasja profesora to działalność społeczna w towarzystwach i organizacjach naukowych. Był współtwórcą i wieloletnim przewodniczącym (obecnie — honorowym) Polskiego Komitetu Elektrotermii. Od 1957 roku aż do dziś aktywnie działa w pracach tej organizacji. Reprezentuje ją też w Międzynarodowej Unii Elektrotermii w Paryżu. Przez wiele lat był wiceprzewodniczącym i przewodniczącym tej Unii, a obecnie jest członkiem jej prezydium. Na jednej ze ścian domowego gabinetu profesora honorowe miejsce zajmuje dyplom nadany mu przez UIE. Profesor Sochor aktywnie uczestniczył w organizowaniu kilkunastu konferencji naukowych dotyczących elektrotermii, w tym Międzynarodowego Kongresu Elektrotermii UIE w Warszawie w 1972 roku. Kongresy takie, swoiste olimpiady w tej dyscyplinie naukowej, odbywają się raz na cztery lata. W bieżącym roku miejscem kongresu będzie Cannes. Prof. Sochor jest członkiem komitetu honorowego.

Stale kontakty, jakie utrzymuje profesor z wieloma ośrodkami badawczymi świata, wynikające z międzynarodowego uznania jego dorobku naukowego, owocują też w postaci częstych wyjazdów jego uczniów na staże zagraniczne, co sprzyja rozwojowi polskiej elektrotermii.

Nagroda m. Łodzi jest wyrazem uznania należnego prof. Sochorowi za usługi dla miasta, w którym bez jego udziału nie istniałby dziś silny ośrodek badawczo-przemysłowy elektrotermii. Dowodem uznania zasług profesora dla kraju i nauki światowej były: Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski, Honorowy Medal UIE, Medal X-lecia PRL, tytuł „Zasłużony nauczyciel PRL”, honorowe odznaki NOT i SEP oraz wiele innych nagród, odznaczeń i wyróżnień.

PAWEŁ PATORA

AKTUALNOŚCI

Wiele atrakcyjnych tytułów dawnej i współczesnej polskiej literatury pięknej znalazło się w tegorocznych planach naszych wydawnictw.

Rok, w którym będziemy obchodzić 450 rocznicę urodzin autora „Trenów” jest dla wielu wydawców Rokiem Kochanowskiego. Od książek związanych z mistrzem z Czarnolasu rozpoczniemy więc przegląd propozycji wydawniczych. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich inauguruje w br. edycję „Dzieł wszystkich” Jana Kochanowskiego. Mocą uchwały Sejmu PRL podjęte i inicjatywy i sekretarza KC PZPR — Edwarda Gierka, przygotowując ten edycję powierzono zespołowi Instytutu Badań Literac-

jonalnych wydawnictw „Psałterza Dawidowego” przekładania Jana Kochanowskiego — jak głosi karta tytułowa — oparta na pierwszej edycji z 1579 r. i „Melodie do Psalterza” — reprint fragmentu Kanonistów Wielkiego Toruńskiego zawierający 33 psalmy w przekładzie Kochanowskiego i melodie do nich, nieznanego kompozytora współczesnego poeci. Dodatkowym tem dla utworów poety z Czarnolasu będą przygotowywane przez PWN monografie naukowe: J. Pelca „Kochanowski. Szczyt renesansu literatury polskiej” i M. Korolki „Jan Kochanowski. Z dzieł o recepcji twórczości”, a także książka H. Barycza ukazująca związki Kochanowskiego z Krakowem, która ukaze się w

Kontynuowane będą edycje „Dzieł” wybitnych współczesnych pisarzy. W „Czytelniku” ukaza się kolejne tomy „Dzieł” T. Brezy, L. Kruczkowskiego, Z. Nałkowskiej, J. Parandowskiego, J. Iwaszkiewicza. Natomiast WL opublikuje nowe tomy wydań zbiorowych prac St. Brzozowskiego, K. Irzykowskiego i dramatów T. Miłoskiego („Termopole polskie”). W przygotowaniu znajduje się edycja „Pism” J. Przybosa. Krakowska oficyna kontynuować będzie też edycje utworów pisarzy zajmujących trwałe miejsce we współczesnej literaturze polskiej: B. Bratnego, L. Buczkowskiego, K. Bunscha, T. Holuja, A. Kuśniewicza, W. Machajka, J. Mielusnera, M. Wańkowicza. Wydanie powieści

pach psiej sierści”, J. Zylłńskiej „Gwiazda spadająca”, Wydawnictwo Literackie zapowiada nowe tomy prozy J. Iwaszkiewicza „Bilek”, J. Brodzkiej „Szkic do pamiętnika”, A. Golebiewa „Kazimierzówka”, St. Mroźka „Małe listy”, W. Iskrach” opublikowane zostaną nowe powieści współczesne R. Bratnego „Kiepskie znamię”, M. Z. Bordoń „Kaskaderka”, oraz miniatury „Noweleki” Jerzego Krzysztosia. St. R. Dobrowolski wyda w tej oficynie tom wspomnień z okresu międzywojennego zatytułowany „Chmurnie i durnie”.

Nie będzie brakować również tomów poetyckich. „Czytelnik” przygotowuje zbiory wierszy wybranych m.in. M. Białoszewskiego, J. Brzozowskiego, J. Rostworowskiego, A. Świrszczyńskiego oraz nowe zbiory M. Grzędzaka i J. Ozgi-Michalskiego, zaś Wydawnictwo Literackie m.in. nowe zbiory wierszy W. Szymborskiej i M. Jastruna.

Na zakończenie jeszcze kilka porycji wybranych z planów. W Wydawnictwie „Śląsk” ukaze się antologia „Opowiadań o powstaniach śląskich”. Trzydziestą piątą rocznicę powrotu północnych i zachodnich ziem polskich do Macierzy uczci Wydawnictwo Poznańskie publikacją trzech antologii dotyczących tych ziem. Będą to antologie opowiadań, poezji i wspomnień. Wydane zostaną też antologia reportaży o ziemiach zachodnich i północnych z lat 1919—1939 pt. „Dzieło najwyższe z żywych”, która będzie zawierać utwory najwybitniejszych pisarzy m.in. S. Zeromskiego, M. Dąbrowskiego, K. Pruszyńskiego, M. Wańkowicza. Warto dodać, że nakładem PWN znajduje się wśród wznioślejszych poszukiwań w księgarńkach pozycje: „Historia literatury polskiej w zarysie” pod red. M. Stępnia i A. Wilkonia, „Dzieje literatury polskiej” J. Krzyżanowskiego oraz „Historia języka polskiego” Z. Klemensiewicza.

Konkurs o nagrodę „Czółenka Tkackiego”

LZPB im. Obrońców Pokoju „Uniotext” i ZŁ ZSMP — Klub Młodych Pisarzy „Władutki”, przy współudziale ZG ZZZPWOIS i tygodnika „Odgłosy” ogłaszają ogólnopolski konkurs literacki o nagrodę „Czółenka Tkackiego” w kategoriach: poezji, prozy i reportażu.

Celem konkursu jest popularyzacja twórczości literackiej, rozbudzenie talentów oraz stworzenie młodym twórcom warunków do publicznych kontaktów i konfrontacji. Mogą w nim wziąć udział twórcy z całej Polski, nie zrzeszeni w ZLP i SDP.

Na konkurs należy nadsyłać utwory, które do tej pory nie były nigdzie publikowane i nagradzane w konkursach literackich.

W kategorii poezji każdy uczestnik konkursu winien nadsłać poemat lub cykl wierszy (minimum 5 utworów) o tematyce dowolnej.

W kategorii prozy tematyka utworów jest dowolna, objętość ich nie może przekraczać 5 stron maszynopisu.

W kategorii reportażu prace powinny być tematycznie związane z przemysłem włókienniczym. Organizatorzy konkursu oczekują reportażu stanowiącego artystyczną wizję rozwoju i przemian kulturowych powojennego społeczeństwa polskiego, ukazujących ludzi pracy, a zwłaszcza młode pokolenie Polaków, w kontekście najważniejszych problemów naszego kraju.

Przewiduje się nagrody:
W dziale poezji: I — „Czółenka Tkackiego” i 5000 zł,
II — 3000 zł, III — 2000 zł i dwa wyróżnienia po 1000 zł.
W dziale prozy: I — „Czółenka Tkackiego” i 6000 zł,
II — 4000 zł, III — 3000 zł i dwa wyróżnienia po 1000 zł,
W dziale reportażu: I — „Czółenka Tkackiego” i 7000 zł,
II — 5000 zł, III — 4000 zł i dwa wyróżnienia po 1500 zł.

Jury zastrzega sobie prawo innego podziału nagród. Prace nadesłane na konkurs nie będą zwracane.

Prace konkursowe, oznaczone godłem, należy nadsyłać w 5 egzemplarzach maszynopisu do 20 kwietnia 1980 roku pod adresem: Zakładowy Dom Kultury LZPB im. Obrońców Pokoju, 90-333 Łódź, ul. Przedalniańska 68, z dopiskiem na kopercie: „Konkurs Literacki o Czółenka Tkackiego”. Do prac należy dołączyć zaklejoną kopertę zawierającą imię i nazwisko oraz dokładny adres autora.

Rozstrzygnięcie konkursu i wręczenie nagród odbędzie się w maju 1980 roku.

Dodatkowych informacji na temat konkursu udziela Zakładowy Dom Kultury LZPB im. Obrońców Pokoju (adres jak wyżej), tel. 673-15.

POLSKA LITERATURA PIĘKNA W PLANACH WYDAWNICTW

kich PAN. Dwanaście tomów pomieści utwory poety, a dodatkowo stanowiące będzie wprowadzenie naukowe. W br. opublikowane zostaną „Treny” oraz tom zawierający wspomniany wstęp naukowy. Państwowy Instytut Wydawniczy był w 35-lecie PRL głównym popularyzatorem dziedzictwa poetyckiego Jana z Czarnolasu. Na rocznicę oficyna ta przygotowuje dwie wersje „Dzieł polskich”: jedną w ramach „Biblioteki Kłasyki”, drugą — oprawną w skórę. „Dziełom polskim” towarzyszyć będzie kilka wydań bibliofilskich poszczególnych utworów i cykli poetyckich. Z okazji rocznicy edycji „Czytelnika” wymienimy bibliofilskie wydanie „Pieśni” (Cześć cheść na nas Panie!) w przekładzie na 7 języków. W wydawnictwie „PAX” ukaze się fototy-

Wydawnictwo Literackie. Do wydarzeń wydawniczych należy zaliczyć również zapowiadane przez „Czytelnika” początkowo tomy zawierające opowiadania pierwszego krytycznego wydania dzieł S. Zeromskiego. W tym roku opublikowane zostanie również przez „Ossolineum” trzecia część tomu pierwszego edycji „Dzieł wszystkich” A. Mickiewicza, natomiast „Czytelnik” wznowi 4-tomowy wybór jego „Dzieł poetyckich”.

Skończyła się mowa o klasycie to kilka wyborów dzieł wielkich naszych klasyków znalazło się w planach „Śląsk” i „Czytelnik”. W „Czytelniku” ukaze się „Dzieła poetyckie” C. K. Norwida i „Biblioteka Kłasyki” B. Prusa („Biblioteka Kłasyki”) oraz pełne wydanie poezji L. Staffa i K. Przerwy-Tetmajera („Biblioteka Poezji i Prozy”).

„Dziś jest rozdzielny” rozpocznie cykl dzieł J. Brodzkiej.

Nowości prozy współczesnej PIW to H. Auderskiej „Miecz Syreny”, Z. Staffa „Ulica Świętokrzyska”, E. Kruka „Laknienie”, B. Wojdowskiego „Maniusz Bany”, W. Górnickiego „Bambusowa kłopoty”, M. Białoszewskiego „Rozkurz”, J. Przymanowskiego „Droga, zasieki...”, E. Kabatka „Malgorzata, czyli requiem dla bohaterki”, W. „Czytelnik” ukaze się nowe książki R. Bratnego „Dzieł świętych”, J. Koprowskiego „Trout Madame”, L. Marjańskiej „Stopy trzeciej Gracji”, J. Putramenta tom VII cyklu wspomnień „Pół wieku” pt. „Zmierzchnię”, W. Sokorskiego „Umarli przychodzą nad ranem”, W. Terleckiego „Zwierzęta zostały opalone”, W. Żukrowskiego „Za-

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (z-cy redaktora naczelnego), JERZY KATARASINSKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREDLICH, MAŁGORZATA GOLICKA, JACEK INDELA, EUGENIUSZ IWANICKI, RYSZARD ŁUCZYSZYN (fotoreporter), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLTENHOFF, GRAZYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny). Stale współpracują: ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ BŁĄZIEWSKI, TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI, GRZEGORZ GAZDA, ANDRZEJ F. GRABSKI, PAWEŁ JEDRZEJEWSKI, MARIA KEPINSKA, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ZBIGNIEW S. NOWAK, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, JERZY PANASEWICZ, EWA PANIKIEWICZ, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPANSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, JERZY WILMAŃSKI.



Walają się resztki materiałów częściowo tylko sprzątnięte — dzięki zresztą interwencji Rady Osiedla

Dalszy ciąg ze str. 1

Uprawnienia te rada ma otrzymać w maju br., z chwilą przyłączenia nowo budowanych w centrum domów.

Zakres możliwości samorządu określono w trzynastu punktach „Regulaminu Rady Osiedla”, zatwierdzonego w 1970 roku. Do Rady Osiedla należy więc m.in. opiniowanie projektów finansowych gospodarki zasobami mieszkaniowymi, działalności społeczno-wychowawczej i planów remontów na terenie osiedla. Teoretycznie rada — poprzez prawo wglądu do planów spółdzielni i wyrażania swojej opinii czy oceny — może mieć niemały wpływ na zarządzanie osiedlem i na wybór tych, którzy nim administrują. W praktyce jednak bywa różnie. Dla przykładu: poprzedniego kierownika administracyjnego przyjęto na to stanowisko mimo sprzeciwu Rady Osiedla (dalsza działalność byłego kierownika potwierdziła zresztą wątpliwości rady).

Poza tym do kompetencji Rady Osiedla należy np. składanie wniosków w sprawie pracy społeczno-wychowawczej w osiedlu i koordynowanie jej. Samorząd ma również prawo głosu przy decyzjach o lokalizacji placówek gospodarczych i społecznych. Do jego obowiązków należy też: organizowanie czynów społecznych, pomocy i opieki społecznej, krzewienie kultury w środowisku i propagowanie szacunku dla mienia, rozpatrywanie skarg i zażaleń na działalność administracji.

Tak to wygląda na papierze. Od warunków, jakie się stwarza mieszkańcom i radzie, oraz od samych jej członków zależy już jak sobie z otrzymanymi uprawnieniami poradzą. I choć regulamin zakłada ściśle współdziałanie Rady Osiedla z Zarządem Spółdzielni oraz administracją — w rzeczywistości dochodzić musi — i dochodzi do konfliktów interesów. Rada Osiedla musi być czymś więcej, niż tylko elastycznym buforem między mieszkańcami — członkami spółdzielni, a spółdzielnią.

Z jednej strony rada — jako organ spółdzielni bierze udział w określaniu hierarchii potrzeb na osiedlu, ocenia gospodarność spółdzielni. Nie może być jednak od niej zależna, gdyż tego wymaga interes mieszkańców. Musi więc być — jak to sformułował wiceprezes Rady Osiedla SDM Janusz Frenkel — „załącznikiem zdrowej i słusznej krytyki”. Jak jednak pogodzić sprzeczne z reguły interesy członków spółdzielni i jej zarządu? Szczególnie, że życie — tym bardziej na nowym osiedlu — nie szczędzi powodów do zażaleń i konfliktów. Jak zarazić mieszkańców duchem spółdzielczości, skoro dla przeciętnego mieszkańca — członka spółdzielni, fakt bycia nim ma charakter czysto formalny, albo... symboliczny, a władze spółdzielni nie zawsze traktują swych członków szczerze i poważnie...

PLANY NA WIZYTOWCE

W SDM postawy te uległy wyostrzeniu. Mit o mieszkańcu — współgospodarzu przysnął tutaj dość szybko, choć Rada Osiedla uważana jest za „bojową” (czasem może nawet zbyt bojową) i choć wszyscy ludzie — acz nierówno — płacą nie tylko doświadczenia za ten wielki architektoniczno-budowlany eksperyment. A jednak — mimo to — trudno mówić o zjednoczeniu ludzi w poczuciu wspólnego, niełatwego losu i o istnieniu jednolitego frontu — np. walki z wandalizmem, w którym zresztą maczają palce i budowlani i chuligani, i niektórzy spośród mieszkańców. „Wszystko na tym osiedlu jest naszym dobrem, za które wspólnie odpowiadamy” — ta elementarna, zdawałoby się, zasada, która powinna łączyć ze sobą ludzi i wytwarzać postawy szacunku dla spółdzielczego majątku, nie stała się jeszcze — niestety — dość żywotna.

Dziś z rozrównieniem czyta się pierwsze — nie tak przecież stare (rada powstała w maju 1978 r.) — topornie sformułowane protest-listy i wspomina zebrania w suszarni, gdzie jedynym meblem była nieoheblowana deska, wsparta na dwóch krzesłach, a telefon i własna pieczęć istniały tylko w sferze marzeń (telefon pozostał w niej do dzisiaj).

W „sektorze B” Śródmiejskiej Dzielnicy Mieszkaniowej nie zortał

jeszcze zakończony cykl inwestycyjny. Odłogiem leży na przykład tzw. infrastruktura. W tym roku mają wreszcie ruszyć obiekty towarzyszące: przełączka między blokami z przeznaczeniem na placówki usługowo-handlowe, mała architektura i zieleni, oraz — być może — centrum administracyjno-kulturalne (z siedzibą ŁSM, kinem i dużym klubem).

Tymczasem w SDM brakuje miejsc dla rekreacji i wypoczynku, brakuje zieleni, placów zabaw i boisk. Nadal nie uporządkowany jest ruch kołowy; piesi i bawiące się dzieci lawirują między samochodami. Wokół bloków teren jest rozkopany. Walają się resztki materiałów, częściowo tylko sprzątnięte — dzięki zresztą interwencji Rady Osiedla.

A i same wieżowce nie są wciąż zagospodarowane do końca. Wykonawca oddawał je bowiem „niekompleksowo”, tzn. bez wykonanych elewacji, dachów, garaży, kondygnacji technicznych, piwnic, parterów, nie mówiąc już o wózkowniach i rowerowniach, w większości używanych do dziś przez budowlanych. Brzmi to wszystko trochę nieprawdopodobnie, lecz co zrobić, skoro rozlicza się (i nagradza) wykonawcę za oddanie mieszkania, a nie przeciekające dachy i podtapiane piwnice... Najbardziej jaskrawy przykład owej „niekompleksowości” — to nowy, czwarty w SDM wieżowiec przy Piotrkowskiej i Wigury. W trzech klatkach mieszkają tu już ludzie, w dwóch pozostałych trwają jeszcze prace budowlane.

Wiele problemów skończy się więc dopiero po wyjęciu budowlanych z osiedla. W pierwszym okresie istnienia SDM pilnie korzystano z ich obecności... W trzech blokach SDM zanotowano ogółem 4 tysiące różnych braków, usterek i niedoróbek. To, że zostało ich już tak niewiele, w dużej mierze zawdzięcza mieszkańcy interwencji Rady Osiedla. Ba, czasem dochodzi nawet do prymatu kompetencji inżynierów wchodzących w skład Komisji Gospodarki Zasobami Mieszkaniowymi nad fachowcami niejako z urzędu powołanymi do szukania błędów. Jeden przykład. Od początku funkcjonowania bloku przy Piotrkowskiej, nie dogrzewana była jego zachodnia strona. Zniecierpliwieni członkowie komisji — z jej przewodniczącym inż. Zdzisławem Stasiakiem na czele — zebraли się w parę, przestudowali projekt, znaleźli błąd, a wyniki zanieśli do inwestora, któremu pozostało już tylko zatwierdzić niezbędne poprawki...

Usterki to jedna ze spraw, na której rozwiązanie wpływ Rady Osiedla był i jest bezpośredni, choć nie udało się w pełni usunąć błędów najbardziej rażących, jak krzywe ściany i stropy, czy — wręcz skandaliczna — stolarka. Do ciężkich, nietypowych okien zastosowano tu za słabe okucia, a co gorsza, błąd ten powtórzone w trzech blokach! Zaden „Stolbud” takich okien już nie produkuje. Jako więc pewną ciekawostkę można podać odpowiedź, jaka nadeszła z ministerstwa po wizycie „resortowej” komisji: „Nie otwieraj okien!”.

Członkom innej komisji — Społeczno-Samorządowej spędzala sen z powiek wspomniana już „Stefanka”, którą Wydział Handlu Urzędu Dzielnicowego Łódź-Śródmieście wspólnie z WSS Społem zamierzali uszczęśliwić mieszkańców SDM. W tym „barze kawowym” sprzedawano alkohol, głównie piwo, a gdy tego brakowało, sprzedawano dalej, tylko że pokątnie. Szybko też „Stefanka” — pomyślana jako miejsce towarzyskich spotkań mieszkańców SDM — stała się azylem dla najgorszych metów z okolicy. Po pijanemu kawiarniani goście dewastowali wnętrza i windy, wybijali szyby, zanieczyszczali klatki schodowe, a w niezamieszkałych pomieszczeniach urządzali libacje i „dzikie” noclegi.

Taka sytuacja — w co dziś trudno uwierzyć (centrum Łodzi, osiedle — wizytówka!) — trwała ponad rok. Trzeba przyznać, że zarówno spółdzielnia, jak i oddział gastronomii WSS Społem oraz wymieniony już wydział nie wykazywały dość energii i konsekwencji. W efekcie — po wielomiesięcznych bojach — zamieniono „Stefankę” na... sklep cukierniczy. Gdy na osiedlu brak dużego klubu, przedszkola — nie mówiąc o żłobku — a niebawem zamierza się również

wyprowadzić stąd poradnię lekarza osiedlowego; decyzja o powstaniu jeszcze jednej w śródmieściu cukierni jest mocno dyskusyjna.

Podobnych spraw, załatwionych połowicznie i nie do końca w zgodzie ze społecznymi potrzebami, można znaleźć więcej. Choćby — zabezpieczenie przeciwpożarowe, sprawa w budynkach tak wysokich niebagatelna. Mimo pism Rady Osiedla, mieszkańców i wizyt komisji, stan urządzeń nie zmienił się. Nie naprawiono błędów wykonawcy, zasłaniając się zbyt wielkimi kosztami. Np. drabiny w wyjściach ewakuacyjnych zainstalowane są tak (noga nie mieści się między murem a szczeblem drabiny), że dorosły, sprawny mężczyzna z trudem po nich zjeździe. A dzieci, a starcy?

W tych samych wyjściach nieprawidłowo zamontowano część drzwi. Wiele kłap podłogowych nie otwiera się z powodu korozji i braku konserwacji. Montaż sygnalizatorów przeciwpożarowych na piętrach w ogóle nie był przewidziany, choć zapewne niewiele podniosłoby koszt tych i tak superdrogich budynków. W szafkach z hydrantami brak... węży. Dlaczego? W SDM szerzy się zlodziejstwo, a tymczasem przepisy zabraniają zamykania szafek. Admi-

NA „MAN-HAT-TA-NIE”

nistracja — skądinąd słusznie — obawia się o losy węży. Pytanie tylko, czy obawa przed kradzieżą będzie również wystarczającym argumentem, gdy zapieje „czerwony kur”?

W razie pożaru dobrą drogą ucieczki są piętrami „technicznymi”. Kończy się tu system instalacji niższych pięter, a zaczyna nowy — dla wyższych. Piętro VII nie mogło być zatem wykorzystane na mieszkania. Ale — wedle projektu — miały tu być nie tylko komórki, pralnie i suszarnie.

W CZYM INTERESIE?

Siódme piętra w wieżowcach SDM są piętrami „technicznymi”. Kończy się tu system instalacji niższych pięter, a zaczyna nowy — dla wyższych. Piętro VII nie mogło być zatem wykorzystane na mieszkania. Ale — wedle projektu — miały tu być nie tylko komórki, pralnie i suszarnie.

Piętra te miały stać się ośrodkami życia społecznego, kulturalnego i towarzyskiego mieszkańców SDM. Zaprojektowano tu świetlice, kluby, pokoje zainteresowanych, pracownice dla hobbystów, przechowalnie dla dzieci, bał, nawet mieszkania rotacyjne, pokoje gościnne dla przybywających do lokatorów rodzin i znajomych, sale bankietowe, w których mieszkańcy mogliby — bez zakłócania nocnej ciszy i spokoju sąsiadów — organizować głośne przyjęcia (nie chciano bowiem w SDM powtórzyć smutnych doświadczeń z innych bloków i katowickiego „mrowiskowca”).

Ale — okazało się — że śmiała myśl projektanta wybiegła na zbyt daleko poza szarą rzeczywistość. Była próba przełamania nawyków i schematów, do jakich przyzwyczaili nas — niestety — standardowe domy i osiedla. W obecnych warunkach taka propozycja zagospodarowania społecznej przestrzeni życiowej okazała się utopią.

Rozległe powierzchnie na siódmym piętrze zajęły — bez uprzedzenia członków spółdzielni — Zakład Projektowania i Usług Inwestycyjnych „Inwestprojekt”, agenda WSM i inwestor SDM w jednej postaci.

Przechwylenie powierzchni przeznaczonych do wspólnego użytkowania dokonano pozornie nawet w majestacie prawa — czytamy w piśmie Rady Osiedla do Prokuratury Wojewódzkiej w Łodzi (z 26 lutego 1979 roku). — „Inwestprojekt” dokonał adaptacji projektu budynku dla potrzeb własnych. Adaptację taką zatwierdził prezydent miasta i w ten sposób w majestacie prawa zadysponowano wspólną własnością mieszkańców SDM.



Wiele problemów skończy się więc dopiero po wyjęciu budowlanych z osiedla

Gwoli wyjaśnienia: stało się to przed rokiem 1978, ale adaptacja siódmego piętra objęła nie tylko pierwszy, lecz i dwa następne wieżowce. Mieszkańcom pozostały smętne resztki komórek, suszarni i pralni, oraz nieduże pomieszczenie na jeden — słownie jeden — osiedlowy klubik.

W sprawie lokalizacji „Inwestprojektu” Wojewódzka Spółdzielnia Mieszkaniowa ma inne zdanie niż mieszkańcy SDM. Jej prezes, Adam Walczak powiedział reporterce „Trybuny Ludu” (nr 178 z 1978 r.):

— Przecież to nie jest aż tak uciążliwa instytucja, a my jesteśmy w przymusowej sytuacji wobec decyzji zakazujących budowę biurowców. Zastępca prezesa S. Karbowy dodał zaś:

— Wyprowadzenie „Inwestprojektu” spowodowałoby wzrost kosztów eksploatacji budynku, który i tak jest najdroższy w Łodzi.

Ocenie prezesa przeciwstawić można dziesiątki cytatów z listów mieszkańców i ich wypowiedzi, świadczących o problemach, jakich dostarcza sąsiedztwo biur. A więc zakłócanie spokoju, hałasy związane z adaptowaniem wnętrza, blokowanie wind przez pracowników w godzinach rozpoczęcia i kończenia pracy, zamykanie przejść ewakuacyjnych między klatkami, liczne ślady braku poszanowania wnętrza ze strony pracowników i petentów, zaśmieszanie wind i holów, wreszcie — częściowo zrealizowane — zakusy wobec kolejnych, przysługujących mieszkańcom, pomieszczeń (rowerownie, wózkownie) — to wybrane przykłady na dowód, że takie sąsiedztwo na dłuższą metę jest niemożliwe. Pomijam już to, że i biura nie mają w tych przystosowanych wnętrzach najlepszych warunków.

O ile jednak można zrozumieć argumentację WSM, pozbawionej szana lokalowego rozwoju, o tyle przekonanie, iż przestrzeń życiowa na VII piętrze nie jest lokatorem potrzebna — to już rzecz nie do przyjęcia. Niebezpieczeństwo tego typu rozumowania (prezentował je np. były wiceprezes ŁSM do spraw gospodarki zasobami mieszkaniowymi) polega na tym, że sankcjonuje ono niezbędny demokratyczny stosunek między spółdzielnią a jej członkami, prowadząc do pogłębiania niechęci i braku zaufania, podczas gdy obu stronom przyswiecać powinny wspólne cele.

Sprawa „Inwestprojektu” jest skrajnym przykładem tego, do czego prowadzić może rozbieżność interesów tam, gdzie mogą być one wspólne. Mieszkańcom SDM odebrano coś — zgodnie z założeniami projektowymi — miało być elementem ich lepszego, wygodniejszego życia. Decyzja o lokalizacji biur w blokach (do r. 1985 na pewno) uderzyła w podstawowe prawo spółdzielcy: prawo do współdecydowania o tym, co dzieje się na jego osiedlu. Zatwierdzenie lokalizacji „Inwestprojektu” uchwałą rady ŁSM jeszcze przed zasiedleniem bloków i powołaniem samorządu — Rady Osiedla (i bez konsultacji z nią) — było sposobem „sprytnym” (ogólnie mówiąc). A czy uczciwym?

Dzisiaj dla spółdzielni sprawa ta stała się sprawą wstydliwą. Radzie Osiedla, która straciła zaufanie do możliwości normalnego porozumienia z drugą zainteresowaną stroną, pozostała ostateczność: zwrócenie się do prokuratury.

POTRZEBA WIARY I PLAMY DO WYWABIANIA

I choć są tacy, którzy ostatnie wysiłki Rady Osiedla określają wprost „porywaniem się z motyką na słońce”, „niepokornych” działaczy z SDM cała ta sprawa z „Inwestprojektem” umocniła w przekonaniu o najważniejszym sensie ich obecnej pracy. Utrwaliła wiarę mieszkańców w skuteczność działań tam, gdzie ich prawa są naruszane. Bo przecież — mówią — ludzie chętniej pracują społecznie, gdy widzą, że to od nich zależy kształt osiedla, że mogą decydować o jego rozwoju. Trudno jest upowszechnić prawdziwe gospodarski stosunek do spółdzielczego mienia — o co tak apelują władze spółdzielni — gdy ta nie jest wobec swych członków do końca uczciwa. W takich warunkach odwoływanie się do społecznego zaangażowania

mieszkańców SDM jest nie do pomyslenia.

Szczególnie, że najważniejszym celem pracy samorządu powinno być nadal (cytuje słowa dyr. Henryka Chmiele z ŁSM) integrowanie mikrospołeczeństwa, wytwarzanie w nim poczucia, że jest ono współgospodarzem osiedla.

Tymczasem jednak scalanie społeczności w SDM odbywa się dość opornie. Ze osiedle nowe i nietypowe — to przyczyna jedna. Ze bardzo zróżnicowani ludzie tu zamieszkali (od rodzin z wyburzeń, dla których przyście na SDM oznaczało pożegnanie z XIX wiekiem, do luminary łódzkiej kultury), że brakujące własnych samorządowych tradycji — to powody następne. Musieliśmy stworzyć na tym osiedlu podstawy samorządności — podkreśla prezes Rady Osiedla Leon Rozenbajher. Już to samo nie było zadaniem łatwym.

Ale jak teraz te idee samorządności rozsiewać? Jak ludzką energię odwrócić od — wyłącznie — prywatnych bolączek i skierować na rozwiązywanie — także — społecznych celów? Jak pogodzić we wspólnym programie działania samorządu wszystkie, tak rozmaite style bycia, poziomy kultury i zainteresowania? Jak doprowadzić do integracji?

Oto pytania, nad którymi głowią się dziś działacze SDM. W jednym zgadzają się wszyscy: warunkiem dalszej pracy jest baza. Po wielu miesiącach zakończono adaptację klubu. To wprawdzie kropla w morzu potrzeb społecznych lokatorów tych „mrowiskowców”, nie mniej w marcu br. rada zamierza w końcu wymusić na zarządzie ŁSM oficjalne otwarcie tego jedynego miejsca, jakie pozostało ze śmiałej wizji „społecznej przestrzeni życiowej” inż. Zwierki...

Mimo braku warunków od września 1979 roku trwa kurs taktwa artystycznego. Trwa, znosząc przeciwnieństwa losu (brak sali, kradzież kilkudziesięciu pięknych kilimów...). Ponad 60 chętnych chciało wziąć udział w zespole muzyki kameralnej (to także pomysły energicznej sekretarza rady — Elżbiety Biwan); stworzą oni w przyszłości sekcję muzyki poważnej. Organizują się również inne sekcje.

To załazek klubu. Zaspokoił niektóre spośród podstawowych potrzeb zamieszkującej w SDM młodzieży (1,5 tys. osób, w tym pół tysiąca dzieci do lat 14), a także ludzi starszych (żyje ich tu też sporo, ok. 300), którzy w martwym, pozbawionym ducha i ciepła pejzażu SDM czują się szczególnie samotni. Ale — rzecz jasna — jeden klub nie zaspokoi wszystkich potrzeb.

Śródmiejskiej Dzielnicy Mieszkaniowej daleko bowiem do modelu osiedla rozumianego jako przestrzeń służąca zaspokojeniu najważniejszych ludzkich potrzeb, choćby — potrzeb harmonijnego współżycia z innymi, czy — aktywnego wypoczynku.

Główny projektant pierwszych wysokościowców SDM — inż. Aleksander Zwierko zapytany o to, w jakim — jego zdaniem — stopniu zrealizowane zostały początkowe założenia tej najnowocześniejszej, reprezentacyjnej dzielnicy mieszkaniowej Łodzi, odpowiedział:

— Według moich obliczeń, wykonawcy pierwszej części osiedla zrealizowali te założenia w ok. 50 procentach. Ok. 20 procent stracono, jak sądzić, bezpowrotnie. Ale ok. 30 procent zależy już tylko od mieszkańców, od organizacji społecznych. Od ich chęci, zaangażowania i gospodarności.

Trzeba tu iść dalej w rozwiązania, które mają sens, rozwijać to, co zostało na papierze. Stopniowo przystosowywać przestrzeń życiową do tej architektury. Można i trzeba zrobić wiele, na miarę tego osiedla, żyjących tu ludzi, na miarę nowego łódzkiego centrum...

Te trzy ostatnie zdania pochodzą od inż. Zdzisława Stasiaka, jednego z aktywniejszych działaczy Rady Osiedla.

Ale podobne przekonanie panuje w całym samorządzie. I to jest źródłem optymizmu.

TOMASZ SOLDENHOFF

Foto: Janusz Frenkel

NASI REPREZENTANTCI

Niedaleko Wolborza odbiega od autostrady wąska asfaltowa droga, wzdłuż której rozciąga się wieś Prosenie. Obejście tutaj solidne, okazałe, dużo murowanych domów, a pośród nich kolorowa drewniana chata z wielkim dwuspadowym dachem pod blachą, z białymi oknami, ganeczkiem, balkonem na piętrze, z czystym ogródkiem od przodu, przygotowanym już do wiosny. Długo podwórze zamykają z trzech stron murowane budynki inwentarskie; te najnowsze wyłożone ozdobnie trylinką.

Na frontowej ścianie domu wisi czerwona tabliczka z napisem: „Terenowy opiekun społeczny”. To jest skromna wizytówka Barbary Rytych, starszyciny centralnych dożynek — Piotrków 1979, która obecnie kandyduje na posła do Sejmu. Dowiedziałam się wcześniej od jednego z urzędników, że Rytychowa trochę wzbraniała się przed kandydaturą. A to, że gospodarstwo, że liczne funkcje społeczne, a to, że wiele trudnych spraw, które trzeba ludziom wyjaśnić, więc jej powiedziano, żeby się nie martwiła, inni będą nad tym myśleć. A ona sama lubi podejmować decyzje, głowę też ma nie od parady.

W Proseniu sami dobrzy gospodarze, ziemia wypadająca z produkcji jest natychmiast rozkupowana, rolnicy w podeszłym wieku mają następów, toteż przynajmniej tutaj starościna nie powinna mieć kłopotów. Ale ma Czarnewłosa, ciemnonośkę, o smagłej twarzy, twierdzi, iż nie ma szczęścia do fotografii. Jak jej zrobiono kilka udanych zdjęć, na dożynkach, to żadnego nie dostała. Gazety też jej nie dają żyć. Jak się odbiła na jedną naradę, to dziennikarka, co ją widziała przy dojeździe, jęknęła z zachwytem, że

KGW w Proseniu, a w ZSL: wiceprzewodnicząca Wojewódzkiego Komitetu, Gminnego Komitetu oraz opiekun koła terenowego. Wcześniej natomiast uzyskałam informacje, iż w województwie piotrkowskim działa 30 tys. aktywistek. Czyżby się więc kierowano, obarczając Rytychową tak licznymi obowiązkami? Przecież to jest nie tylko niesprawiedliwe, ale i niezgodne z zasadami działalności społecznej. Takie rozproszenie nikomu nie przynosi korzyści, a już najmniej samej Rytychowej, jej gospodarstwu i jej rodzinie. Uważam, że gdyby pani Barbara została posłem, ilość pełnionych przez nią funkcji społecznych winna być zredukowana do minimum.

Prowadząc sondaż na temat Rytychowej doszedłem do wniosku, iż stała się ona ostrożna w przyjmowaniu zaszczytów dlatego, że w opinii społecznej wsi są one różnie interpretowane. Kiedy wybrano ją starościna, ludzie powiedzieli: „Rytychowa teraz inna, ona już nie nasza”. Ale do wydania takiej opinii nie skłoniła ich postawa Rytychowej. Po prostu ktoś zbyt gorliwie otoczył opieką przyszłą starościna, czyniąc to w sposób nieprzemyślany. To już minęło, dzisiaj, gdy nie jest jeszcze posłem, ludzie walą już do niej z prośbą o załatwienie przydziału ciągnika lub samochodu. Wcześniej, niektórzy złośliwi twierdzili, że jako starościna zrobiła majątek. Tylko, że ona nie chce od nikogo majątku, bo z gospodarstwa sprzedaje co roku produkty rolne wartości ponad miliona złotych, raz było tego za 1600 tys. złotych.

— Ziemi jest 18 hektarów. Mamy 11 sztuk bydła, w tym 4 krowy dojne, 3 opasy, reszta młodzież. Co roku kontraktujemy 30—50 tuczników.

— Czy ja jestem w stanie podnieść produkcję na wsiach? Albo zapewnić ciągniki, opasy? My, rolnicy, dotrzymujemy słowa, ale tylko wtedy, gdy dotrzymają słowa inni. Przemysł musi na każdym kroku wspomagać rolnictwo. Tymczasem dowiaduję się, że w Gminnej Spółdzielni nie ma nawozów. Bardzo potrzebne są potasowe, a będą azotowe. Ale w kwietniu. Za późno, żeby wysiewać na łaki. Nie ma butów gumowych ani kaloszy. Kobieta na wsi męczy się, brnie przez błoto po pięć kilometrów w kozakach na wysokim obcasie i niszczy nogi. Nie ma estetycznej odzieży bawełnianej, łatwej do prania. „Non iron” jest niemożliwy, więc nasi mężowie smażą się na traktorach w starych „non ironach”.

Szczególnie interesują ją warunki życia i pracy kobiet na wsi. Wysłuchuje cierpliwie postulatów, wniosków, próśb i stara się być konsekwentna wobec siebie i w stosunku do kobiet. Martwi ją, że kobiety na wsi są tak zaharowane, że wskutek złych warunków sanitarnych nie są w stanie utrzymywać higieny, że czasem pojawiają się w sklepie lub urzędzie nie uczesane, w nie do czyszczonej butach. Razi ją niedelikatne traktowanie kobiet wiejskich na rynku. Kiedyś stanęła

o szóstej rano przyjeżdża traktorem z przyczepą kierowca, który codziennie jest strasznie skacowany. Jeździ sobie „na cyku”, bo na bocznych wiejskich drogach nikt go nie kontroluje, a dzieci trzęsą się ze strachu.

— To jest jedna strona medalu, proszę pana. A druga to fakt, że szkoły wiejskie są słabo wyposażone w pomoce naukowe i jeśli uczeń dostanie się do szkoły w mieście, nie nadąża z poziomem i z mniejszą ginię. Dzisiaj, na wsi kobieta jest tak zaharowana, że nie ma czasu na wychowanie dzieci. W gospodarstwie obowiązują surowy reżim. Żeby zjadły przed deszczem, kobieta musi wyjść do żniw. Pcha w pole wózek, niemowlę prąży się w słońcu. Musimy mieć więcej żłobków i przedszkoli, ale na razie ważniejsze są inne inwestycje. Coś panu powiem. Rozumiem, że chłopci nie otrzymują należnego im węgla, bo są trudności transportowe. Ale czy dzieci i nauczycielki muszą siedzieć na lekcjach w palnackach? Albo inna sprawa. Ze wsi pojechał na kolonię jeden chłopiec. Inni też chcieli jechać, ale rodzice oświadczyli twardo, że są potrzebni w gospodarstwach. Międzynarodowy Rok Dziecka wiejskie dzieci spędziły na wsi, przy pracy w gospodarstwach...

— O co jeszcze pytają kobiety na spotkaniach? — O to, co jest najbardziej dręczące. Chciałyby kupić wszystko pod jednym dachem. Ze sklepów spożywczych na wsiach wycofano środki chemiczne. W gminie jest tylko jeden sklep chemiczny. Młody podkoczy, kupi, starym trudno się wleć dziesięć kilometrów. Wszędzie trzeba wyciągać ręce, a my mamy już dość długie ręce od dźwigania wiader z wodą. W naszej wsi tylko 6 gospodarstw ma własne hydrofony. Reszta kobiet taszczy dziennie po 50—100 wiader. Przez nasze pola idzie gazociąg, a tak trudno nam się doprosić o butle z gazem...

Barbara Rytych uważa, że chłop nie kupuje dziś samochodu dla „wykazania” się przed sąsiadami. To nie jest chęć świecenia, w oczy zamieszkałości. To jest zwykła konieczność. Ale o tym może się przekonać tylko ten, kto po pięć razy wędruje do gminy albo do gęsu, żeby załatwić jedną sprawę. Albo kto chce zdobyć materiały budowlane. Żeby je uzyskać, trzeba nie raz „przejedździć” tysiąc kilometrów, bo szuka się także w innych województwach.

— Ale gdyby miała możliwość załatwienia samochodu, to najpierw przydzieliłaby go kierownikowi apteki w Wolborzu, który musi przywozić lekarstwa w torbach z dalekiej Łodzi. Samochód potrzebują także lekarze z Ośrodka Zdrowia oraz inżynierzy gminnej służby rolnej, gdyż wszyscy oni powinni mieć stałe kontakty z najbardziej oddległymi wsiami. Chłopi czekają na maszynę...

— Na wsi mówi się ostatnio: „Frajer ten, co daje, ale gorszy frajer, co nie bierze”. Co pan o tym sądzi?

— Tego nigdy na wsi nie było. Myślę, że sprawą winną są nie tylko władze komitetu kontroli społecznej. Ale to nie jest łatwa sprawa. Bo źródło tkwi w niedostatecznym zaopatrzeniu w środki produkcji. SKR ma mało sprzętu. Jeżeli 60 traktorów stoi na kółkach, a chodzi tylko 15, to chłopcy zaczynają dawać łapówki za maszynę. Słaby, niezadowolony rolnik nie da, a dobry da. On zdąży zebrać z pola, jemu nie zgłnie. On dyska, państwo otrzyma zakontraktowane zboże. Ale czy przez to mamy pochylać łapownictwo? Gdy sprzęt będzie pod podstawkami nie będzie łapownictwa. Najdłuższe w tym wszystkim jest to, że nikt jeszcze nie daje łapówek rolnikom...

Jest energiczna, impulsywna, pełna zapału, lecz w jej twarzy, oczach znać ślady zmęczenia. Trudno sobie wyobrazić, jak ona godzi wszystkie obowiązki. I skąd w niej tyle siły?

— Nie wiem, czy ja bardziej lubię pracę społeczną, czy ona bardziej mnie kocha. Na wsi uważa się, że kobieta to maszyna nie do zardcia. Jest tania w eksploatacji, nie wymaga części zamiennych, ani kapitalnego remontu. A przecież tak naprawdę, to jest tylko kobieta, chciałaby co jakiś czas pójść do fryzjera, którego we wsi nie ma. Bo my wcale nie jesteśmy brzydkie, tylko zaniedbane. Jesteśmy także ambitne...

Kiedy mówi, z tonu jej głosu, z wyrazu twarzy i gestykulacji znać, iż potrafi wiele zdziałać. Gdyby ja wybrała posłem, chciałaby dostać się do sejmowej komisji rolnictwa. Nie musiałaby się niczego uczyć, ona to już zna. Miałaby wiele do powiedzenia, czułaby się potrzebna, zdolna do działania. Każdy powinien robić to, co umie. Tak jak ziemię powinien uprawiać ten, kto się urodził na wsi.



BARBARA RYTYCH: wszędzie trzeba wyciągać ręce, a my mamy już dość długie ręce od dźwigania wiader z wodą...

Foto: J. Dybkowski

w kolejce po atrakcyjne owoce, tuż przed świętami. Ustyszała: „Starczyłoby, gdyby nie wykupili te wsiory”. Pomyślała, że może powiedziała to kobiecie, której rodzice ze wsi kupili futro lub samochód i zrobiło się jej przykro. A potem ogarnął ją gniew. Oświadczyła głośno, że gdyby nie te „wsiory”, inni grzybliłby bruk.

— Myślę, że obecnie bardzo ważną sprawą jest zapewnienie opieki ludziom starym, bez następów. Ośrodek Zdrowia daleko, siostry PCK jeżdżą dalej, a najdalej dzieci, mieszkające wygodnie w mieście. Na wsi jest to tym bardziej istotne, że dawne dobre współzycie sąsiedzkie bardzo się rozluźnia. Kiedyś ludzie mieli więcej czasu, schodzili się wieczorami, pomagali sobie wzajemnie. Dzisiaj, każdy goni wokół własnych spraw, nawet pieniądze nie pożyczą u sąsiada, bo od tego jest bank. W mieście renciści, pięknie odżytkowani, chodzą pod ręce na spacer. Na wsi rencista czuje się niepotrzebny, jest bardziej zaniedbany. Zamiast iść z babą na spacer, kłóci się, że przez nią siano zmokło, wypęda do roboty, albo kaže siadać na traktor, jak jej za ciężko przy pielieniu. Trzeba czasu, środków, wytrwałości, żeby to przełamać i stworzyć „starym ludziom” takie warunki, żeby życie ich cieszyło.

— Słyszalam, że w jednej wsi kobiety boją się posyłać dzieci do szkoły. Mówią, że nie wiedzą czy dzieciaki wrócą do domu. A chodzi o to, że

RYSZARD BINKOWSKI

ZMARTWIENIA STAROŚCINY

całkiem nie do poznania. A druga, zobaczywszy ją przy maszynie do szycia jęknęła ze zgrozy, że co jak co, ale posła przy maszynie do szycia to ona sobie nie wyobraża. Jeden redaktor siedział od rana do wieczora, po czym stwierdził, że właściwie nie ma co o niej pisać.

Mówiąc o tym sprzątała notatki, bo akurat przygotowywała materiał na spotkanie z wyborcami, i wcale się nie dziwiłem, że patrzy na mnie z wymuszoną uśmiechem bez entuzjazmu. Z kandydatem na posła każdy chce rozmawiać, teraz już nie będzie mieć spokoju, ale ona nie wygląda na taką, która pozwoli sobie zabierać czas z kłówek powodów.

Aby nie tracić czasu wyłożyłem jej zwięzłe moje poglądy na sprawę wsi, po czym dodałem, iż nie dziwią mnie reakcje uczuciowe piszących. Jak ktoś nie wie, że na wsi kruch z usługami i kobiety muszą sobie same szyc, jak potrafiła to powinien pisać bajki dla dzieci. A kiedy olniczka kandyduje na posła, to trzeba ją sobie wyobrazić nie tylko przy maszynie do szycia, ale i przy karmieniu świni, rozstraszaniu obornika, przy młócie. I wówczas na szerokiej smagłej twarzy starościny zagościł uśmiech. Schlebając mi oświadczyła, iż cieszę się, że są jeszcze tacy, co rozumieją te sprawy.

Rozpoczęliśmy rozmowę, podczas której pani Barbara gestykulując żywo wymachiwała mi nad głową nożem, ale tylko dlatego, że śpieszyła się z obieraniem ziemniaków na obiad. Kiedy wyszła po coś do sieni, zażyczyłem do rozłożonych na stole dokumentów. Wyglądałem z brzęgu trzy zaproszenia, wszystkie na 10 marca. Jedno to Warszawa, do ZG TPRP, drugie do Wojewódzkiego Związku Hodowców i Producentów Drobiu, w trzecim zapraszano Barbarę Rytych, jako przewodniczącą Wojewódzkiej Rady KGW, do udziału w rozstrzygnięciu konkursu „Wzrost mleka wysokiej jakości”. W tym samym dniu starościna miała także spotkanie z wyborcami w Moszczynie.

Później ustaliśmy wspólnie, że Barbara Rytych pełni 17 funkcji społecznych, m. in. jako przewodnicząca komitetu rodzicielskiego, opiekun społeczny, radna wojewódzka, przewodnicząca

Teraz mam trochę wolnego czasu, bo w listopadzie zjadłam stado kur. Modernizuję się kurnik, zakłada centralne ogrzewanie i poidła automatyczne. Pod koniec marca zrobimy wsad 3 tys. niosek, które będą dawać jaję wylęgowe. Z tego jest dochód, ale martwi mnie sprawa pasz. Nie dlatego, żeby było za mało. Po prostu otrzymujemy mieszanki o nieznanym składzie. W jednym jest za dużo jednego składnika, w drugim za mało. To wyzwala u kur kanibalizm. Ostatnio kanibalizm zdziesiątkował mi stado. Kury padają, ja gdzieś w terenie, maż się denerwuję...

— Pani Barbaro, i to jest gospodarstwo specjalistyczne?

— Pana to dziwi, prawda? A nam chodzi o wykorzystanie wszelkich rezerw. Trzymam kury, bo z zakładów drobiarskich otrzymuję około 60 proc. paszy. Kury dają znakomity nawóz, który rozsypuje się na łakach, a tych mamy sporo, dzięki czemu można hodować krowy, bo za mleko też jest trochę mieszanki paszowych. Eżby nie sprzątały kombajnem, lecz własnymi maszynami. Dzięki temu uzyskujemy więcej paszy w postaci ziarna, posładów, plew, co w połączeniu z ziemniakami i okopowymi pozwala hodować także świnię.

Barbara Rytych ma 45 lat i trzy córki. Jedną wyszła już za mąż i pracuje w Piotrkowie. Średnia ukończyła technikum rolnicze, najmłodsza, uczennica ósmej klasy, także pójdzie do technikum rolniczego. To cieszę, gdyż nadzieję, że gospodarstwo zostanie dobrze poprowadzone.

— Jako matka, żona, gospodyni i działaczka społeczna znam od podstaw sprawy wsi i dobrze je rozumiem. Byłam radną wojewódzką, wiele kłopotów nekających ludzi na wsi udało mi się rozwiązać. Pewnie dlatego wysunęli moją kandydaturę na posła. To wielki zaszczyt, ale i ogromny obowiązek. Wskazuję zadania i surowe „rozliczenie” z tego, co się zrobi. Trzeba mówić ludziom: przysięga, mieć wyjąłną odwagę i przysięgać się do błędów. Nie pociągaj tam, gdzie sprawa jest nie do załatwienia. A takich spraw jest wiele. I to mnie martwi...

— Na przykład?

podsumowaniu rok 1975 — pierwszy rok funkcjonowania województwa w nowym podziale administracyjnym kraju.

Dorobkowi województwa poświęcone jest w głównej mierze inauguracyjne spotkanie przedwyborcze. Znamienne, że zorganizowano je w skierniewickiej „Zatrze”, której pracownikiem — Antoni Wójcik, przypomina w dyskusji:

— Fabryka powstała w 1937 roku w starych barakach, jakiego pozostały tu po likwidacji koszar. Warunki pracy były opłakane, kwalifikujące zakład do natychmiastowego zamknięcia. Ambicje młodej załogi, szybko osiągnęły wysoki poziom technologiczny, miały niewątpliwą wpływ na przyspieszenie decyzji o przebudowie zakładu, a raczej — o wybudowanie go niemal od podstaw. Szczególnie ostatnie lata przyniosły zasadnicze przemiany w „Zatrze”, której wartość produkcji sięgnęła w tym roku prawie półtora miliona złotych. Nie trzeba zaznaczać, jak bardzo potrzebna jest ta produkcja. Przypomnijmy tylko, że powierzono nam ważne zadanie — wytworzenie transformatorów i transduktorów do polskiego telewizora kolorowego „Jowisz”, których produkcję załoga ukończyła w rekordowym tempie.

— Produkcja przemysłowa województwa — stwierdza Ryszard Bryk — osiągnęła w ubiegłym roku wartość 21 mld 700 mln zł i była o ponad 7 mln zł, to jest o więcej, niż 50 proc., wyższa niż w roku 1975. Dynamicznemu wzrostowi produkcji i usług towarzyszyły systematyczne, korzystne zmiany w strukturze produkcji na rzecz zaopatrzenia rynku wewnętrznego i na eksport... W latach 1976—79, trzeba to mocno podkreślić, zadania gospodarcze przemysłu realizowane były w warunkach systematycznie malejącego zatrudnienia, które np. w roku ubiegłym było o około 1300 osób niższe, niż w roku 1975. Wyraźnie z tego widać, że cały przyrost produkcji przemysłowej był wynikiem dynamicznego wzrostu wydajności pracy, która to na przestrzeni ostatnich 4 lat wzrosła o 80 proc.

Województwo, jak wynika z przedstawionych danych, dokonało prawdziwego skoku w swoim rozwoju społeczno-gospodarczym.

Sukcesy, osiągnięcia — wokół nich krąży wypowiedzi. Dyskutanci formułują w swoich wystąpieniach również postulaty pod adresem kandydatów do organów władzy, które zostaną wyłonione w trakcie wyborów.

— W imieniu załogi — kon-

tynuuje Antoni Wójcik z „Zatrzy” — zgłaszam wniosek o utworzenie przy Urzędzie Wojewódzkim banku rezerwy wczasowych, który pomógłby naszym zakładom w rozwiązy-

deusz Stasnowski ze Spółdzielni Inwalidów w Skierniewicach — mają poważne kłopoty z dojazdem do pracy. Są to inwalidzi, mimo to nie chcą żadnej taryfy ulgowej, nie chcą

zresztą największą naszą bolączką. Zatrudniamy w produkcji nakładczą ponad 200 inwalidów z terenu województwa, którym powinniśmy własnym transportem rozwo-

W obszernej stołówce Zakładów Transformatorów Radiowych „Zatra” w Skierniewicach — niedawno zresztą oddanej do użytku — zebrał się przedstawiciele załóg województwa. Na spotkanie z nimi przyszli wszyscy kandydaci na posłów do Sejmu PRL VIII kadencji z okręgu wyborczego nr 59, który obejmuje teren województwa skierniewickiego.

Kolejno, według listy: Ryszard Bryk — I sekretarz KW PZPR w Skierniewicach, Zbigniew Gertych — dyrektor Instytutu Warzywnictwa PAN w Skierniewicach, Irena Lipińska — brakarka z Zakładów Przemysłu Odzieżowego „Pol-dres” w Żyrardowie, Stefan Biskupski — rolnik ze wsi Byczki w gminie Godzianów, Stanisław Trojanowski — główny konstruktor z Fabryki Urządzeń Odlewniczych „Fumos” w Skierniewicach, Zdzisław Gaj — dyrektor Zakładu Gospodarczego WZSR „Samopomoc Chłopska” w Sochaczewie i Anna Bartosik — kierowniczka Gminnej Służby Rolnej w Jęzowie.

W ich imieniu zabiera głos Ryszard Bryk, przedstawiając wyborcom swój referat, który można nazwać próbą bilansu osiągnięć województwa w minioniej kadencji. Najczęstszym punktem odniesienia, swoistą cenzurą czasową jest w owym

JACEK INDELA

DOPISKI

waniu problemów socjalnych. Postulat drugi ma charakter bardziej ogólny: mianowicie postulujemy przeprowadzenie w całym kraju szczegółowej analizy wykorzystania bazy wczasowej, której wyniki u umożliwiłyby wielu zakładom zdobycie dodatkowych skierowań na wczasy, a jednocześnie pozwoliłoby uzyskać duże oszczędności, dzięki rezygnacji z nowych, nie zawsze niezbędnych inwestycji.

— Ludzie zatrudnieni w naszej spółdzielni — mówi Ta-

więc się spóźniać do pracy. Stąd prośba, żeby zakładowe autokary dowoziły do pracy ludzi całkiem zdrowych, pełnosprawnych, zabierały również i naszych pracowników, zwłaszcza, że tabor ten nie zawsze jest w pełni wykorzystany. Zgłaszam też postulat o takie przystosowanie pojazdów komunikacji miejskiej, aby ułatwić korzystanie z nich inwalidom. Można przecież zaistalować dodatkowe uchwyty w drzwiach, czy obniżać wejściowy stopień. Transport jest

zić materiały i odbierać gotowe wyroby. Ponieważ nie ma czym, ci ludzie muszą jeździć sami z dużym nierz bagażem do Skierniewic i z powrotem...

— Nasz zakład liczy już sobie 60 lat — mówi Krzysztof Łukasiewicz z Fabryki Rdzeni i Magnesów Ferrytowych „Polfer”. — W minionych dwóch latach wiele zainwestowano w jego rozbudowę i modernizację, tym nie mniej wciąż jest małość do zrobienia. Ciągłe spo-

Chodzę po rozległym terenie Fabryki Maszyn Włókienniczych „Polmatex-Wolma” w Zduńskiej Woli i spotykam pracowników zadając im pytanie: Czy pan wie kto to jest LECH GROBELNY?

Czesław Kacmarek — wytaczarz obrabiarek sterowanych numerycznie: Jakże mam nie znać! Jest to mistrz, znamy się od dawna, choć ze sobą nie mamy styczności, tej rawodowej oczywiście. Chodzi ciągle po zakładzie, rozmawia z ludźmi, pyta jak i co.

Stanisław Rzeźnik — frezer: Znam, pracuje tu długi czas, jest koleżeński, jak to się mówi, człowiek na poziomie. Do naszego działu, choć tu nie pracuje, przychodzi dość często. Jak się do niego z czymś zwrócić, to nie powiem, pomoże. Porządny człowiek.

Krzysztof Jokiel — frezer: Pracuję tu zaledwie pół roku, z panem Grobelnym osobiście się nie spotkałem, wiem tylko, że kandyduje na posła. Musi być tchki gość, skoro tak wysoko zaszedł.

Zenon Dziadziak — brygadzieta montażu: Z Lechem zaczynaliśmy 30 lat temu i tak jesteśmy tu do dziś. Zawsze lubiłem pracę poza tą, za którą brałem pieniądze. Dobry kolega, bardzo uczynny, jak go o coś poproszę, to tak jakby się miało sprawę załatwioną. Cieszę się, że będzie posłem, może coś się ruszy w sprawie budowy nowej hali, bo w tej to się dusimy, a jak przyjdzie montaż sklejarki, to cała hala zostaje zajęta i na nic innego nie ma miejsca. A o Lechu to jeszcze to powiem, że on mówi to co myśli, czy to będzie kolega czy dyrektor. On już taki jest.

Zdzisław Bakalarczyk — ślusarz narzędziowy. Znam, znam, był naszym sekretarzem POP i muszę powiedzieć, że dobrze się z nim pracowało. Ucieszyłem się, że będzie posłem, bo może zabiorą się wreszcie za stawianie nowej hali. Co jeszcze? Przestępnym, nie bufor, dużo zajmuje się młodzieżą, szkoli ich i pomaga, jak to się mówi, swój chłop.

Zdzisław Miszczak — brygadzieta na montażu: Lecha znam z najlepszej strony, razem tu zaczynaliśmy 30 lat temu. Wybór jego na posła to wielkie wyróżnienie, ale na nie w pełni zasłużył. To człowiek, co to bez pracy społecznej nie może żyć.

Tyle koleżki z pracy. A co o sobie mówi kandydat na posła do Sejmu Rzeczypospolitej VII kadencji?

— Ze Zduńską Wolą jestem związany od kilku pokoleń. Właściwie wychowywałem się bez rodziców, bowiem ojciec zmarł w Dachau, a matka wkrótce po nim. Chodziłem do szkoły podstawowej, uczyłem się nieźle, ale na więcej mnie w owym czasie nie było stać. Toteż w 1951 r. zgłosiłem się do Fabryki Krosien Bawełnianych „Fakroba” — tak wtedy nazywał się „Polmatex-Wolma” — do zawodu ślusarza. Trafiliem do jednego z najlepszych mistrzów w tym zawodzie, Józefa Stolarczyka. Wiedząc że nie mam rodziców opiekował się mną, ale mówił: Chcesz wyjść na ludzi? To się ucz, stałe się ucz, nie nie odkładaj na jutro!

— Co wówczas robiłem w „Fakrobie”?

— Ja wykonywałem części do maszyn włókienniczych do krajarek LU-1. do przegładarek DK-6 do pras do belowania odpadów włókienniczych i bawełnianych WR-4 i pralnie BW-4. Jeszcze dziś są tamte maszyny w naszym „Zwoltexu”, które ja wówczas robiłem wiele z nich pracuję w „Sirze”, a krajarki w wielu łódzkich fabrykach włókienniczych.

— Z pańskiego życiorysu wiem, że dość wcześnie zaangażował się pan w działalność społeczną...

— Istotnie, choć wprawdzie była szkoła. Podstawka przestała mi wystarczać. Zapisalem się do Zaoecznego Wieczorowego Studium Administracyjno-Społecznego. Uzyskałem maturę. W międzyczasie wybrałem mnie do zakładowego koła ZMP, a wkrótce zostałem nawet przewodniczącym. Nasza organizacja była bardzo silna na terenie ówczesnego województwa łódzkiego zajmowaliśmy III miejsce. Zawsze, jak chodziło o współzawodnictwo pracy, to myśmy byli naj-



LECH GROBELNY: Nie zamierzam urzędować za biurkiem...
Foto: Bogdan Gieletucha

ZASZCZYT I ODPOWIEDZIALNOŚĆ

lepi. Bo pracę polityczną zawsze pojmowałem jako dobrą pracę w swoim zakładzie.

— Jak potoczyły się dalsze pańskie losy? ZMP był dobrą szkołą społecznego myślenia, ale czy to wystarczyło, by stać się w przyszłości działaczem politycznym?

— W ZMP nauczyłem się wiele, ale dopiero partia ukształtowała mnie ostatecznie. Początkowo byłem członkiem egzekutywy POP, potem członkiem plenum KM, wkrótce członkiem plenum KW, wreszcie delegatem na VI Zjazd PZPR, uczestnikiem I Krajowej Konferencji Partyjnej. Po reorganizacji administracyjnej kraju, nadal pracując społecznie i pełniąc funkcje partyjne. Jestem członkiem egzekutywy Komitetu Miejskiego partii w Zduńskiej Woli oraz członkiem plenum KW w Sieradzu ponadto sprawuję członkostwo w Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Zduńskiej Woli i jestem przewodniczącym Miejskiego Komitetu Kontroli Społecznej.

— Czyż się pan zajmuje w swoim macierzystym zakładzie?

— Jestem mistrzem do spraw adaptacji pracowników. Polega to na tym, że każdego nowego pracownika oprowadzam po zakładzie, tłumaczę co i jak, pomagam przy załatwianiu spraw administracyjnych. Kiedy pracownik jest jeszcze „zielony” odwiedzam go w tego miejsca pracy staram się pomóc jeśli sobie z czymś nie radzi, czasem to muszę pomagać w różnych sprawach rodzinnych, załatwiam mieszkania

dla tych dojeżdżających, bilety miesięczne, zdobywam informacje co do dalszych studiów na wyższych uczelniach...

— Mówią, że pan nikomu nie daruje, jeśli ktoś ma warunki do nauki, a nie chce się uczyć...

— Nie toleruję cwaniaków. Na terenie naszego zakładu mamy 22-osobową grupę chłopców z OHP. Dowiedziałem się, że nie mają nawet podstawowego wykształcenia, więc ułokowałem ich w szkole. Niech mają bodaj to minimum z zakresu wiedzy ogólnej, bo zawód zdobędą tu na miejscu. Jestem przekonany, że będą dobrzy ślusarze i tokarze. Bo prawda jest taka: kto wyjdzie z „Polmatexu” — musi być dobrym fachowcem. Zdarzają się podkupowania przez inne zakłady, obiecują chłopcom wyższe zarobki. To dobrze świadczy o naszym zakładzie, z drugiej strony sami potrzebujemy ludzi. Wykształcenie dobrego fachowca kosztuje i gdy ktoś od nas odchodzi, jest to strata, bo trzeba szkolić nowego.

— W domu stosuje pan tę samą metodę?

— Uważam, że nauka jest fundamentem wszystkiego. Moje dzieci mają lepsze dzieciństwo od mojego, dlatego też winny więcej czasu poświęcić na naukę. Basia ma 14 lat, a Jarek w tym roku poszedł do pierwszej klasy.

— Jak pan ocenia własną rodzinę: czy to jest rodzina nowoczesna?

— Bo ja wiem? Mieszkamy w drewnianym domku po rodzicach, bez specjalnych luksusów. Ale zawsze marzyłem o własnym, wzniesionym

przez siebie domku, którego budowę nie tak dawno rozpocząłem, choć praca nie idzie mi łatwo. Myślę, że za jakieś dwa lata wprowadzimy się do domu, jaki sobie wymarzyłem: kwiaty wokoło, drzewka owocowe, warzywa. I książki, bo pasjami lubię czytać. Prenumeruję „Trybunę Ludu”, „Głos Robotniczy”, „Przekrój”, „Forum”, „Politykę”. Z książek — historyczne i literaturę współczesną. Ostatnio przeczytałem „Dzieje oręża polskiego”. Nie, samochodu nie mam, do pracy chodzę pieszo, to zaledwie pół godziny drogi.

— Jak przyjęto w domu pańską kandydaturę na posła?

— Przyznam się, że dla mnie samego było to wielkim zaskoczeniem. Gdy się o tym dowiedziałem, to ogarnęło mnie takie rodnienie, że nie wiedziałem co ze sobą zrobić. Po przyjęciu do domu nie nikomu nie mówiłem, chciałem wprerw sam żyć się z tą myślą, oswoić się z tym wielkim zaskoczeniem, jaki nagle spadł na mnie niespodziewanie. Dopiero na drugi dzień powiedziałem żonie. Nie uwierzyła, myślała, że żartuję.

— Ale ja pan przekonałem?

— Nie tylko ja, inni też zaczęli o tym mówić. Teraz cieszy się wraz ze mną.

Zrozumiałem wielką prawdę o sobie samym: nie żyłem za darmo! Umieszczenie mnie na liście kandydatów na posłów do Sejmu udowodniło, że jestem ceniony, że ktoś docenia moją pracę. Jest to zaszczyt, wielki zaszczyt, ale jak

pomyślę jaka to odpowiedzialność, to ogarnia mnie niepokój: czy poddam, czy potrafię?

— Zduńska Wola jest miastem przemysłowym, a jej klasę robotniczą w Sejmie od dawna reprezentują ludzie zatrudnieni w przemyśle, transporcie lub administracji.

— Tak, przede mną było stąd 3 posłów: pierwszym była nasza przewodnicząca MRN, potem kolejarz z węzła karsznickiego, ostatnio włókiennarz ze „Zwoltexu”, a teraz ja...

— Jak przyjęło tu, w zakładzie, pańskie wyróżnienie?

— Gdy się dowiedziano, że kandyduję na posła to się szczerze ucieszone, oo to zaraz w górę idzie ranga zakładu. Koleżki przyszły mi gratulować, choć mówią, że teraz, to pewnie będziemy się rzadziej spotykać.

— Jak pan wyobraża sobie pracę posła? Ranga spraw, z którymi będą się do pana zgłaszać pelenci, częstokroć będzie gatunkowo większa niż powiedzmy, spraw, z jakimi pan spotykał się dotąd jako działacz społeczny.

— Przez te dni wiele o tym myślałem. Jestem robotnikiem, pracuję w przemyśle 30 lat, toteż jeśli stanie sprawa dotycząca tej gałęzi naszej gospodarki, myślę, że będę mógł na ten konkretny temat coś powiedzieć. Znam ludzi, znam problemy ośrodka robotniczego jakim jest Zduńska Wola, wiele odpowiedział mi inni. Będę się starać nie zostawić bez odpowiedzi ani jednej interpelacji. Jako poseł nie zamierzam urzędować za biurkiem. Mnie tu znają, będą zatrzymywać na ulicy i mówić co jest złego, co należy zmienić, co naprawić.

— Który z problemów, mam na myśli te najważniejsze, postawiłby pan przed posłami w Sejmie?

— Przede wszystkim mieszkania dla robotników. W Zduńskiej Woli ponad 3 tys. osób czeka na przydział, czekają długo, bo termin otrzymania wydłużył się do 10 lat. Rozbudowa miasta rozpoczęła się dość późno, bo od 1956 roku. Co prawda, połowa mieszkańców mieszka dziś w blokach, ale w 40-tysięcznym mieście przemysłowym jest to ciągle za mało.

— Zduńska Wola, to przemysł. Obok nowych zakładów pracują stare, wybudowane jeszcze przed wojną. Czy nie wymagają odnowy?

— Sądzę, że w naszym przypadku należałoby dokonać szybkiej modernizacji istniejących zakładów. Wystarczy dołożyć pewne niezbędne sumy, a efekty produkcyjne będą szybsze niż gdyby zacząć budować od nowa. Ot, weźmy nasz zakład: produkujemy na eksport (w ramach RWPG specjalizujemy się w produkcji klejarek i maszyn nicielniczych), ale w pełni nie zaspokajamy tego eksportu. Nie pokrywamy także zapotrzebowania krajowego. Wystarczy jednak niewielka modernizacja (np. dobudowanie hali montażowej i wyposażenie działu mechanicznego w maszyny), a produkcja podwoi się lub nawet potroi. Podobnie rzecz ma się ze „Zwoltexem”, „Wolana” czy „Wola”.

— Zduńska Wola jest miastem-uliówką. Aby przebyć ulicę Łaską potrzeba na to paręnaście minut. Stąd tylu rowerzystów, którzy utrudniają ruch samochodowy. Sądzę, że komunikacja stwarza również wiele problemów jak brak mieszkań...

— Prawda, miasto jest wyciągnięte wzdłuż linii wschód — zachód. Od wladuktu had torami kolejowymi do Czech, leżących na granicy miasta jest sześć kilometrów. To spwo, nawet jak dla jazdy rowerem. Owszem, mamy komunikację miejską, ale jest ona niewystarczająca. W tej chwili paląca sprawą pozostaje uruchomienie nowych linii łączących śródmieście z dzielnicą przemysłową, usytuowaną na uboczu miasta, gdzie w tej chwili pracuje 11 tysięcy ludzi, a autobusów, które tam dojeżdżają jest zaledwie sześć!

— Z tego wynika, że starczy pracy na całą kadencję...

— Obym tylko podołał...

Rozmawiał: EUGENIUSZ IWANICKI

wiednie warunki pracy, wciąż też warunki technologiczne nie wszędzie odpowiadają potrzebom. A potrzeby te są coraz większe. My przecież też realizujemy u siebie jeden z te-

zrealizować. Jest to budowa szkoły i szpitala...

Prezydent miasta przedstawia zebrany szczegółowy rejestr osiągnięć, jakie odnoto-

dzi, którzy przyszli tu z zewnątrz, województwo dokonało ogromnego skoku. Ale apetyty rosną szybciej, rzeczywistość nie jest im w stanie sprostać.

raz bardziej szare, nijakie. Zadane miasto, osiedle, czy wieś, ze stolicą województwa na czele, nie dba o należyty wystrój estetyczny, o wyróżnienie się, wydobycie z tej powszechnej szarżyzny. Wszystko jest bez wyrazu, a przecież tak niewiele czasem potrzeba. Jest spore grono zatrudnionych na etatach artystów, ale ci ograniczają swoją inwencję do „pacykowania” okazjonalnych dekoracji, plansz, czy transparentów.

teatralne, czy kabaretowe do Warszawy i Łodzi.

— Ze spraw bardziej prozaicznych: gdzie można coś w Skierniewicach zjeść? Niektóre zakłady mają własne jadalnie. A reszta? Do restauracji nad zalewem — daleko. „Pod Pieczarką” wymaga nabitej kasy. A w „Ratuszowej” po stolikach biegają karaluchy. W cichy Skierniewicach nie ma dotąd ani jednego... baru mlecznego.

— Był pan na osiedlu Wido-

dok? — to już inny rozmówca. — Nie radziłbym samochodem, a pieszo — najlepiej w kałoszach. Była na osiedlu jedna dróżka asfaltowa. Była, bo oficjele na otwarcie pawilonu musieli po czymś podjechać. Była, ale się rozmyła, taki to był ten „okazjonalny” asfalt. Na osiedlu mieszkają już trzy tysiące ludzi, a nie ma dotąd ani jednego telefonu. Chcesz wezwać pogotowie? Najbliższy telefon właśnie... w szpitalu. Nie przeczę, chciałbym na tym osiedlu mieszkać, ale szarzy członkowie spółdzielni latami będą czekać na swoją kolejkę, z której co rusz wypadają.

— Czy nie przemawia przez pana malkontent? — pytam po

kolejnej porcji utyskiwań. — Ależ skąd. Realista! Cieszą mnie sukcesy, ale nie popadam w samozadowolenie. Rozumiem trudności obiektywne, lecz wiem równocześnie, że wiele możemy zrobić niewielkim nakładem sił i kosztów. Wystarczy skierować część energii i ambicji w inny, nieco kierunku — o! na ziemię, między ludzi.

— Dlaczego więc nie zabrał pan głosu na dzisiejszym zebraniu?

— Działania, jakie podejmujemy — powiedział Ryszard Bryk na spotkaniu — mają na celu wytworzenie ściślejszych związków między władzą a obywatelami, aby lepiej poznać problemy nurtujące mieszkańców, wyborców. Wiedzimy potrzebę aktywniejszego udziału obywateli w kontakcie z władzą, gdyż powodował to będzie pełniejsze poznanie problemów, zrozumienie ich uwarunkowań, a w konsekwencji lepsze i szybsze ich rozwiązanie. Jeszcze raz chciałbym podkreślić fakt otwartości władzy na inicjatywy społeczne.

Niech te słowa zastąpią zatem końcowy komentarz doniejszego sprawozdania.

DO DIALOGU

matów do kolorowego „Jowisza”. Mamy nadzieję, że kolejne problemy naszej załogi rozwiąże drugi etap rozbudowy, który właśnie się rozpoczyna.

— Na dwadzieścia dwa postulaty zgłoszone przez wyborców w czasie poprzedniej kampanii — stwierdza prezydent Skierniewic, Tadeusz Zakrzewski — a przyjęte do realizacji przez Miejską Radę Narodową — zrealizowano dwadzieścia. Dwóch nie udało się

wały na swoim koncie Skler-niewicz w minionym czteroleciu. Prezentuje również zamierzenia na najbliższą przyszłość.

Spotkanie dobiega końca, nikt z sali nie zgłasza się do dyskusji. Wyborcy rozchodzą się do domów. Rozmawiam z nimi:

— Bezsprzecznie, dzięki reformie administracyjnej — mówi jeden z nich — a także nieprzeciętnym ambicjom lu-

Wywiązuje się długa rozmowa. Chaotyczna nieco, prześlizgująca się po powierzchni problemów i zjawisk, wyławiająca z nich głównie niedostatki i zastrzeżenia.

Z pamięci wynotowuję niektóre:

Ma województwo kilka ośrodków z bogatymi tradycjami — Łowicz, Żyrardów, czy Rawę Mazowiecką. Zatraca się jednak coraz bardziej ich lokalny koloryt, stają się one co-

Dalszy ciąg ze str. 1

nowej i Ochrony Środowiska w Skierniewicach, mgr Lucyna Ostromecka-Borczyk. Oto fragmenty:

„Przedmiotowa sprawa została szczegółowo zbadana, z czego wynika, że ob. Woronowski wraz z całą rodziną (razem 13 osób) zamieszkuje w lokalu składającym się z dwóch pokoiów z kuchnią, o powierzchni użytkowej 43 m kw., pow. mieszkalnej 33,6 m kw.

W roku 1974 ob. Woronowski złożył wniosek do Urzędu Miejskiego w Skierniewicach o przydział lokalu z puli rad narodowych i ZOSTAŁ ZAKWALIFIKOWANY W ROKU 1975 DO PRZYDZIAŁU LOKALU Z BUDOWNICTWA RAD NARODOWYCH (jako podstawę przyjęto fakt, iż dochód miesięczny przypadający na jednego członka rodziny wynosi poniżej 800 zł). Z UWAGI NA NIEWIELKĄ IŁOŚĆ MIESZKAŃ, JAKĄ DYSPONOWAŁ PREZYDENT MIASTA SKIERNIEWIC, NIE OKREŚLONO W DECYZJI TERMINU PRZYDZIAŁU MIESZKANIA.

W roku 1978, w związku z aktualizacją wniosków oczekujących na załatwienie UJAWNIONO (wszystkie podkreślenia moje — A.M.), iż dochód miesięczny w rodzinie ob. Woronowskiego przekracza obowiązujące kryterium zarobkowe, określone w uchwale nr 280 Rady Ministrów z dnia 10 grudnia 1971 r. w sprawie zasad przydziału mieszkań (MP nr 60, poz. 397) i wynosi 1.051 zł miesięcznie w przeliczeniu na jednego członka rodziny.

Biorąc pod uwagę powyższe, OBEĆNIE ob. Woronowski nie kwalifikuje się do przydziału mieszkania z puli rad narodowych.

Z uwagi na WYJĄTKOWO TRUDNE WARUNKI MIESZKANIOWE, ob. Woronowski zwrócił się ponownie do Urzędu Miejskiego w Skierniewicach z prośbą o przydzielenie lokalu przylegającego do jego mieszkania, którego głównym najemcą, ob. J., nie zajmują już od roku czasu (). W związku z powyższym Urząd Miejski w Skierniewicach wszczął postępowanie wyjaśniające, w celu ustalenia miejsca pobytu ob. J. oraz ustalenia, na jakiej podstawie prawnej tam zamieszkuje. W przypadku posiadania przez wyżej wymienionego innego lokalu mieszkalnego, lokal przy ul. Koszarowej 11 przydzielili się rodzinie ob. Woronowskiego.

Tak brzmiało owo pierwsze, skierowane do redakcji pismo; ton nieco już bardziej powściągliwszy, niż ten, którym uraczył „Woronowskich” na gorąco” komisja „od prezydenta” i „od wojewody”. W dodatku bije tu w oczy pewien fakt: W 1974 roku nie

mają rodziny zamieszkałe w budynkach zagrażających życiu ludzkiemu oraz pozbawione mieszkań wskutek klęski żywiołowej (huraganu, powodzi lub pożaru).

Wnikliwa lektura obu tych pism stawia człowiekowi włosy na głowie, tym bardziej, że chodzi tu przecież o miasto wojewódzkie.

Przyglądam się Woronowskiemu i dziwię się jego spokojowi. Aby sprawdzić, jak to jest naprawdę z tym dochodem miesięcznym na każdego członka rodziny, pytam, ile zarabia jego żona.

— Dwa sześćset.

— Nieraz i dwa osiemset, dwa dziewięćset — prostuje żona, prasowaczka w spółdzielni krawieckiej „Przystań”.

— A pan?

— W tym cały kłopot — mówi. — Gdybym ja jeszcze mógł pracować, dorobiłoby się jakoś trochę grosza. Ale lekarze zabronili mi stawać, na rentę! — powiedział — i to z miejsca! Dużo spacerować i nie brać więcej, niż cztery kilogramy do ręki.

Przypomniałem sobie że przed rokiem skarżył się na bóle za mostkiem. Głód, wojna, obozy, a potem ciężka, wieloletnia harówka na dwóch etatach, w fabryce i u prywatniarza, zrobili swoje.

— Serce? — zapytałem.

— Serce. Już po pana wizycie leżałem dwa razy w szpitalu.

— Kiedy?

— W maju i sierpniu.

Porządkuję sobie w myśli kilka dat.

— I co stwierdzono?

— Rozległy zawrót.

Woronowski jest uczciwym człowiekiem. Nie mówi nic na temat przyczyn swojej choroby, aczkolwiek, powiedzmy od razu, w jego najskromniejszym ze skromnych mieszkań nie znajdziesz nawet pustej butelki po wódce i nawet jednego niedopałka. Jest człowiekiem bez nałogów. Jest człowiekiem, który poświęcił się rodzinie. Teraz też... nie może normalnie pracować, to obiera kartofle i chodzi po zakupy. Ma dwie legitymacje: inwalidzką i zbawidowską, które uprawniają go do kupowania poza kolejnością. Ale rzadko z tego prawa korzysta. — Tak mi fuknę głupio — mówi — wypychać się przed starszych od siebie.

— Chwileczkę. Jaką pobiera pan rentę?

— 3.360.

— To razem z żoną zarabiacie państwo 6.000—6.200?

— Tak.

— I z jedenaścioro dzieci macie teraz na utrzymaniu tylko sześciorgo?

— Sześciorgo. Starsze córki wyemigrowały się, powychodziły za mąż.

Zaczynam liczyć. Małżeństwo plus sześciorgo dzieci, to jest razem osiem

willę, od drugiego dywany i wyprawkę, pensja rodziców w górę, społeczeństwo też coś dorzuci, książeczki mieszkaniowe, zabawki, wywiady w prasie, w radio, w telewizji; tu sala gimnastyczna, tam samochód. Ale dla mnie mnogi poród nie jest żadnym wydarzeniem społecznym. Jest orzede wszystkim sensacją medyczną: przypadkiem, trafem. Ci, którzy naprawdę zastępują na szacunek to są właśnie tacy Woronowsy — skromni, uczciwi, biedni, kochający się nawzajem. Woronowsy nie rodzili dzieci dla kaprysu. I te dzieci nie są zaniebane. Te dzieci kąpią się raz na tydzień w balii, myją w miednicy, siusiują na zimnym podwórku, lekcje odrabiają na parapecie i podłodze, bawią się na klatce schodowej. A przecież przechodzą z klasy do klasy. Przecież wyglądają schludnie, nie gorzej od swoich rówieśników. Przecież są ładne, dobrze odżywione, grzeczne, rezolutne, no i, jak to się pięknie mówi, stanowią o przyszłości narodu.

— Jest prezydent? — pytam w Urzędzie Miasta.

— Nie ma.

— A wiceprezydent?

— Też, niestety, musiał wyjść.

Wchodzę do Wydziału Gospodarki Terenowej i rozmawiam z kierowniczką referatu do spraw mieszkaniowych.

Przepisy są przepisami. Rodzina ma prawo ubiegać się o mieszkanie z puli rad narodowych tylko wówczas, kiedy dochód na jednego członka rodziny nie przekracza ośmiuset złotych.

Mówię:

— Z moich obliczeń wynika, iż nie przekracza. Wie pani, że Woronowski jest obecnie na rencie?

— Nie powiadomił nas o tym oficjalnie.

— Owszem, twierdzi, że robił to kilkakrotnie, także wczoraj, kiedy zapowiadał mój przyjazd.

I nagle wypływa kwestia pierwszorzędną wagą. Z przepisów znanych pani kierownicze wynika, iż w wypadku rencisty ów pułap ośmiuset złotych na jednego członka rodziny nie obowiązuje. Rodzina rencisty, jeśli tylko nie przypada na głowę więcej niż tysiąc złotych, ma pełne prawo do mieszkania z puli rad narodowych!

Powinienem cieszyć się z tego, a przecież opadają mi ręce. Takie prawo mieli już przecież Woronowsy w 1974 roku. Stracili je w r. 1978 na skutek — jak pisze Urząd Miasta — owego UJAWNIEŃIA wzrostu dochodów. Dziwne, że UJAWNIEŃIA działy tylko na szkodę obywatela, że nie ma UJAWNIEŃ związanych z jego klęskami, chorobami i spadkiem zarobków. Z moich reporterskich



...osiem osób w jednym pomieszczeniu, cztery łóżka, po dwie głowy na każde, zestawione ścielnie, bok z bokiem, kroku nie zrobisz, turlać się trzeba przez wszystkie, aby leć na tym ostatnim, w rogu...

W OTRZYMANIU POMIESZCZENIA ZASTĘPCZEGO MAJĄ RODZINĘ ZAMIESZKAŁĄ W BUDYNKACH ZAGRAŻAJĄCYCH ŻYCIU LUDZKIEMU ORAZ POZBAWIONĄ MIESZKAŃ WSKUTEK KLĘSKI ŻYWIOŁOWEJ — HURAGANU POWODZI LUB POŻARU.

Poczekaj więc sobie Janina Rydz, poczekaj jej mąż i dzieci, poczekaj ro-



...przechodzą z klasy do klasy. Wyglądają schludnie, nie gorzej od swych rówieśników...

DRAMAT WORONOWSKICH

przekraczali pułapu 800 złotych na głowę i mieli wszelkie prawo, aby mieszkanie otrzymać; w 1978, po pięcioletnim czekaniu, urząd podsumował ich na nowo i UJAWNIL, że stracili to prawo. Zapamiętajmy ten fakt. Będzie ważny. I nie chodzi bynajmniej o to, że 800 zł przedtem, to nie to co teraz, że usamodzielnienie się, a więc wyprowadzenie jednego członka rodziny (jak to będzie miało miejsce i u Woronowskich) od razu „psuło” średnią dochodu. Małżeństwo Woronowskich zarabiałoby przez cały ten czas na tym samym poziomie. Teraz zresztą zarabiają mniej. Ale poczekajmy.

W drugim, skierowanym do „Odgłosów” piśmie z dnia 31 maja 1979 roku Wydział Planowania i Gospodarki Terenowej w Skierniewicach nie uraczył nas niczym nowym, znikły natomiast wszelkie akcenty optymistyczne, żadnych tam obietnic i pocieszeń. 1.051 złotych na głowę a więc mieszkania z puli rad narodowych Woronowsy nie otrzymają. Tajemnicza obywatelka J., aczkolwiek mieszka gdzie indziej, nie wyraża zgody przekazania lokalu przy ul. Koszarowej terenowemu organowi administracji państwowej, wobec czego na owo pomieszczenie również nie ma co liczyć. Mogłaby ewentualnie uzyskać pomieszczenie zastępcze córka Woronowskich Janina Rydz, z mężem i dziećmi (rozwiązanie to satysfakcjonuje zainteresowanych), wpłynęło nawet w tej kwestii podanie, jednak... jak stwierdza z upoważnienia prezydenta Skierniewic kierownik referatu: Termin przydziału pomieszczenia zastępczego uzależniony jest od ilości lokali uzyskanych w wyniku naturalnego ruchu ludności. Poza tym: Pierwszeństwo w otrzymaniu przydziału pomieszczenia

osób. 8 razy 800 złotych (ów pułap, którego nie wolno przekroczyć) daje w sumie 6.400, podczas gdy Woronowsy zarabiają 6.000—6.200. Skądże więc bierze się w urzędowym piśmie te 1.051 złotych, na każdego członka rodziny?

Idę do Urzędu Miasta. Spieszę się. To już nie jest tylko sprawa Woronowskich. To jest moja osobista sprawa, mój żal, moja wściekłość. Rzadko zdarza się bowiem w praworządnym, socjalistycznym kraju tak jednoznaczna, bezdyskusyjna, rażąca niesprawiedliwość. Rzadko również nam, reporterom, zdarzają się tak niepoważalnie uczciwe ofiary. Każdy, prawie najbardziej pozytywny bohater, ma tam coś czarnego na sumieniu: pijaństwo, romans, niewinną fuchę. Woronowski, niestety, jest czysty jak łąka. Woronowski nie spóźnił się, nie brał zwolnień, pracował z grą. Opinia, którą przed paroma tygodniami wystawiono mu w Hucie Szkła, a która potrzebna jest Związkowi Bojowników o Wolność i Demokrację, aby odznaczyć go Krzyżem Kawalerskim (swoją drogą długo, długo na to czekał), brzmi: Koleżeński, zdyscyplinowany, dbający o mienie społeczne, pełniący od 1962 roku obowiązki brzościwisty (dotąd, przez kilkanaście lat, palacz czadnicowy), członek egzekutywy POF pracownik, który aktywnie włączył się w działalność społeczną przy wyborach do rad narodowych i Sejmu oraz brał czynny udział w organizowaniu czynów społecznych.

Gdzie pan jest, panie prezydencie? Panie wojewodo, na co pan czeka?

Ja rozumiem, że dla naszego narodowego snobizmu ważniejsze są zawsze wielorazki. Cztery, pięć, sześć. Same ręce składają się do okłasków. Od jednego szefa dostają

UJAWNIEŃ wynika niebicie, że obydwie pisma, skierowane w ubiegłym roku przez Urząd Miejski w Skierniewicach do naszej redakcji, przypadają na okres, kiedy Woronowski chorował w domu, bądź leżał w szpitalu (mają) i już wówczas wiadomo było, że będzie musiał przejść na rentę. Zatem: jak potraktować te pisma?

* * *

Z Urzędu Miasta ponownie wstąpiłem do domu Woronowskich.

Pan Stanisław:

— Ja mógłbym już ostatecznie zostać z żoną i dziećmi w tym mieszkaniu, bo, wie pan ja już nie mam siły niczego załatwiać i wstyd mi tak ciągle prosić i prosić. Nie wiem, może jeszcze napiszę do E. Gierka i do Rady Państwa, żeby przynajmniej dali mieszkanie mojej córce z dziećmi i wnuczkami. Gdyby tak wyprowadzili się od nas, od razu byłoby luzniej.

Tu trzeba nadmienić, że córka Woronowskich, Janina Rydz, dokonała pierwszej wpłaty (14 tys. złotych) na mieszkanie spółdzielcze w 1972 roku. W 1979 r. dopłaciła kolejne 14 tysięcy, starając się o mieszkanie M-3. Powiedziano jej wówczas: nie jest pani rzeczywistym członkiem, tylko kandydatem; będzie pani musiała poczekać na przydział jakieś pięć—sześć lat.

Zatem, czeka na mieszkanie spółdzielcze, czeka również w międzyczasie, na jakieś pomieszczenie zastępcze. Złożyła w tej sprawie podanie do Urzędu Miasta, ale nie należy zapominać, że — jak głosi pismo owego urzędu — PIERWSZENSTWO

dzina Woronowskich. Poczekają sobie wspólnie w ciasnym pomieszczeniu bez gazu, kanalizacji i wody, w domu z czerwonej cegły, który, być może, zmiecie z powierzchni ziemi jakaś trąba powietrzna, wyręczając w ten sposób wojewodów, dyktorów, prezydentów i prezesów będących w stanie załatwić problem jednym kiwnięciem palca. Poczekają?

ANDRZEJ MAKOWIECKI



...ta sama klatka schodowa, te same drzwi na pięterku... Skierniewice, ul. Koszarowa 11

Foto: R. Lucyszyn

— Niedawno odbyła się w Łodzi uroczystość odznaczenia Zespołu Szkół Włókienniczych nr 1, którego jest pan dyrektorem — Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski — z okazji 110 rocznicy istnienia szkoły. W naszej ziemskiej skali sto lat to smaczny czas. Nie ma pan wątpliwości co do sędziwego wieku Jubilatki?

— Żadnych. Przygotowując się do uroczystości z okazji 110-lecia działalności szkoły, zebraliśmy sporo materiałów, które świadczą ponad wszelką wątpliwość, że Zespół Szkół Włókienniczych nr 1 — taką nazwę nosi szkoła od 1976 roku — jest rzeczywiście najstarszą średnią szkołą zawodową w Łodzi.

— A w Polsce?

— Trudno na to pytanie odpowiedzieć jednoznacznie. W kraju jest jeszcze kilka starych szkół włókienniczych, ale nie wiem, czy któraś z nich jest starsza od naszej. Natomiast na pewno zajmuje ona pierwsze miejsce w kraju pod względem nieprzerwanej, 110-letniej ciągłości nauczania i przygotowywania kadr dla przemysłu włókienniczego.

— Rozpoczęła więc działalność w 1869 roku.

— Tak. I tylko jeden raz na przestrzeni lat 1869—1980 zmieniła lokal: w 1903 roku z placu Wolności, gdzie teraz mieści się Muzeum Etnograficzne, na dawną ul. Pańską, czyli dzisiejszą Żeromskiego.

— A zatem w obecnym kompleksie gmachów przy ul. Żeromskiego 115, mieści się już 77 lat!

— Niezmiennie. Przez ten czas gmachy te przechodziły różne koleje losu, na jedną z oficyn spadał nawet w 1945 roku bomba podczas wyzwania Łodzi. Ostatnio, z okazji Jubileuszu, szkoła przeszła kapitalny remont i modernizację.

— Jest imponująca. Ilu ma Pan uczniów?

— Tysiąc dwustu. Będąc już przy liczbach dodam, że w ciągu swego istnienia szkoła wykształciła ponad 12 tysięcy włókienników ze średnim wykształceniem. Interesujący jest fakt, że do 1914 roku mury tej szkoły opuściło około 800 absolwentów, w okresie międzywojennym blisko 2 tysiące, natomiast w latach 1945—1979 ponad 9 tysięcy techników włókienników.

— Świadczy to o dynamicznym rozwoju szkolnictwa i oświaty w Polsce Ludowej.

— To właśnie chciałem podkreślić. Szkoła odgrywała doniosłą rolę w utrwalaniu polskości w okresie niewoli narodowej i przez blisko 50 lat od momentu swego powstania stwarzała możliwości zdobywania wyższych kwalifikacji zawodowych dzieciom z łódzkich rodzin robotniczych. Absolwenci i uczniowie szkoły uczestniczyli w rewolucyjnych wystąpieniach klasy robotniczej w Łodzi w 1903 roku, walcząc na wielu frontach podczas II wojny światowej, brali udział w walce podziemnej przeciwko hitlerowskiemu okupantowi. Wiele z nich zginęło. Należy też wspomnieć, że absolwenci szkoły, niemal nazajutrz po wyzwoleniu, zabrali się z całą energią i wielkim poświęceniem do odbudowy przemysłu lekkiego w Łodzi i w całym kraju. W owym czasie byli to bodaj jedyni w Polsce specjaliści z zakresu włókiennictwa.

— Ta piękna karta szkoły stanowi też kawał historii robotniczej Łodzi. Sto dziesięć lat! W 1869 roku Łódź liczyła chyba nie więcej, niż 40 tysięcy mieszkańców.

— Nie więcej, ponieważ wiadomo, iż w 1860 roku miała ich zaledwie 32 tysiące.

— Jestem zaskoczony wielkością tej szkoły, nowoczesnym wyposażeniem laboratoriów i sal lekcyjnych, ale największe wrażenie wywierają warsztaty szkolne. Tej szkoły nie wystarczy obejrzeć — ją trzeba zwiedzać.

— O tej godzinie jest tu pustawo, ale żeby pan ją widział, kiedy odbywają się zajęcia i po dzwonku na przerwie młodzież wylewa się z klas na korytarze — to dopiero serce raduje! Po tym korytarzu, na którym stojemy teraz, spaceruje podczas przerwy bez mała 800 dziewcząt i chłopców.

— Dużo dziewcząt uczy się w szkole?

— Dużo. Sześdziesiąt procent. Kiedyś było ich bardzo niewiele.

— Totalna dominacja kobiet.

— Takie czasy.

— Interesują mnie warsztaty: co się dzieje z produkcją wykonywaną w ramach prac szkolnych?

— Warsztaty są gospodarstwem wyodrębnionym, które pracuje na własnym rachunku gospodarczym. Ich plan produkcyjny zamyka się przeciętnie sumą 8 milionów złotych rocznie, a wyroby idą na rynek wewnętrzny. Większość produkcji wykonują uczniowie w ramach zajęć praktycznych. Mamy tylko bardzo niewielu robotników, niezbędnych do utrzymania ciągłości procesów produkcyjnych.

— I plan jest wykonywany?

— Naturalnie. Musi być wykonany, bowiem cała działalność finansowa i administracyjna warsztatów zależy od jego wykonania. Wszyscy pracownicy administracyjni, produkcyjni i obsługi, są opłacani ze środków uzyskiwanych z produkcji warsztatów. Produkcja ta przynosi nawet dochód w wymiarze około pół miliona złotych rocznie, który przekazujemy do skarbu państwa.

— Panie dyrektore, ostatnio dużo się mówi i pisze o nauczaniu „szerokoprofilowym” w szkolnictwie zawodowym. Co to znaczy?

— Od czterech i pół roku w naszej szkole, a także w innych łódzkich szkołach zawodowych, w sumie w kilkudziesięciu w kraju, prowadzi się eksperymentalnie tak zwany szerokoprofilowy system nauczania, którego treścią jest integracja kilku kierunków kształcenia zawodowego. Ma ono umożliwić absolwentom techników szybkie przystosowanie się do zmieniających się technologii, rodzajów produkcji, asortymentów, wciąż udoskonalanych maszyn itd. Bardzo ogólnie rzecz ujmując można by powiedzieć, iż sens tej reformy polega na kompleksowym sposobie nauczania, który, obok tego, niejako „po drodze”, eliminuje ze starego programu drobne, mało istotne treści, obciążające pamięć ucznia. W związku z tym uległ również zmianie plan nauczania, wiele przedmiotów skrócono. Wspomnę jeszcze, że w ostatnich dwóch klasach szkół zawodowych wprowadzono specjalizację zawodową, dostosowaną do aktualnych potrzeb gospodarczych regionu.

— Rozumiem, że chodzi o wykształcenie absolwenta, który będzie się łatwiej adaptował w przemyśle. Wydaje się, że ten typ przygotowania zawodowego będzie korzystny, ponieważ wychodzi na spotkanie reformy oświaty w ogóle.

— Tak. Między innymi. Pierwsi absolwenci, kształceni według nowego programu, opuszczają mury szkoły w tym roku i wtedy będzie można dokonać szerszej oceny walorów szerokoprofilowego systemu kształcenia zawodowego.

— Czy poza zadaniami dydaktycznymi wychowawczymi, które wynikają z programu nauczania i funkcji szkoły, prowadzi ona działalność pozalekcyjną?

— Nawet bardzo szeroką. Mamy rozwinięte formy pracy świetlicowej, w szkole prowadzą żywą działalność różne organizacje młodzieżowe: samorząd uczniowski, spółdzielnia uczniowska, drużyna Harcerskiej Służby Polsce Socjalistycznej, szkolne koła: TPE, LOK, PCK, TPPR, szkolna organizacja OHP, koło oszczędności, koło sportowe, szkolny klub racjonalizacji. Mamy własną orkiestrę z dużymi tradycjami, zespoły recytatorskie, muzyczne, chór. Wszystkie te organizacje uczestniczą w procesie wychowawczym. Działalność młodzieży w tych organizacjach wpływa bardzo korzystnie na kształtowanie właściwych postaw społeczno-politycznych i lepsze wyniki w nauce.

— A kontakty pozaszkolne?

— Będąc na wieść z wieloma środowiskami, jak na przykład, ze Związkiem Bojowników o Wolność i Demokrację, Związkiem Inwalidów Wojennych PRL, organizacjami FJN i innymi, dla których nasi uczniowie organizują przeróżne imprezy. Przeciętnie dziesięć dużych imprez w ciągu roku. Obok tego współpracujemy na co dzień z zakładami przemysłowymi, co zresztą wynika z profilu dydaktycznego szkoły.

— Na czym polega współpraca z przemysłem?

— Zakłady przemysłowe udzielają nam wszechstronnej pomocy: umożliwiają uczniom korzystanie z własnych laboratoriów, pomagają w urządzaniu pracowni i warsztatów, udostępniają nową technologię produkcji w niektórych dziedzinach, zaznajamiają uczniów z organizacją pracy w zakładach produkcyjnych, z działalnością kół zakładowych, organizacji partyjnych, KSR i innych.

— A zatem prace nad wszechstronnym rozwojem osobowości uczniów, a nie tylko ograniczanie się do kształcenia zawodowego.

— Taki cel przyswiera działalności wychowawczej naszej szkoły.

— Szkoła wykształciła wiele pokoleń młodzieży i byłoby interesujące poznać losy jej absolwentów. Czy...

— Wiem, o co chce pan spytać. Tak, wyszliśmy z taką inicjatywą, rozsyłając przed jubileuszem szkoły 900 ankiet do określonej grupy czynnych zawodowo absolwentów. Zatrudnionych w przemyśle lekkim. Na podstawie nadesłanych odpowiedzi opracowaliśmy wstępne wyniki badań zawierające na razie syntetyczne informacje, które obrazują zawodowe życiorysy wychowanków naszej szkoły. Szersze opracowanie, które ukazuje się w druku



„Niech lepiej moja praca świadczy o mnie”.
Foto: R. Łucyszyn

SĘDZIWA MŁODA SZKOŁA

Rozmowa z dyrektorem
Zespołu Szkół
Włókienniczych nr 1
inż. KAZIMIERZEM
MAMEŁKĄ

niebawem, może być przyczynkiem do badań losów absolwentów szkolnictwa zawodowego w Polsce.

— Jakie wnioski nasuwają wyniki tych badań?

— Z wnioskami wolalbym poczekać do zakończenia szerszego opracowania badań. Na razie mogę tylko powiedzieć, że większość respondentów jest zdecydowanie zadowolona z wykonywanej pracy i z zarobków. Wielu spośród nich uważa, że powinni nadal podnosić kwalifikacje zawodowe i nie żałuje wybranego kierunku wykształcenia.

— Panie dyrektore, w trakcie tej rozmowy już kilkakrotnie próbowałem zapytać o pańskie sukcesy życiowe związane z pracą zawodową, działalnością społeczną, ale za każdym razem robił Pan zrzeczne uniki. Uchodził Pan za człowieka skromnego, bez reszty oddanego sprawie wychowania młodzieży, „wpatrzono” w swoją szkołę, niestrudzonego działacza społecznego, słowem — człowieka z pasją. I teraz o tym chciałbym z panem porozmawiać. Wiem, nie lubi pan tego, ale...

— ...Bo to powinna być rozmowa o szkole, nie o mnie. Trochę ludzi i tak wie, że jestem dyrektorem tej szkoły, więc niech lepiej moja praca świadczy o mnie.

— Nic z tego, panie dyrektore. Dowie się o tym jeszcze trochę więcej ludzi. Proszę też nie zapominać, że był pan delegatem na VIII Zjazd Partii i społeczeństwu Łodzi nie jest obojętne, kto je reprezentował na forum Zjazdu.

— Jeśli tak już musi być, to proszę, ale bardzo lakonicznie.

— Postaram się. Proszę powiedzieć, jak długo pracuje pan w szkolnictwie zawodowym?

— Ponad trzydzieści lat. Od 1949 roku pracowałem w różnych szkołach włókienniczych, przeszedłem dwa lata byłem wizytatorem szkół włókienniczo-odzieżowych w Łodzi.

— Jak długo jest pan dyrektorem tej szkoły?

— Osiemnaście lat, od 1963 roku.

— Pasjonuje pana praca pedagoga...

— Tak. Praca z młodzieżą jest rzeczywiście pasją mojego życia. Tak bym to określił. Od 1936 roku do wybuchu wojny działałem w harcerstwie. Również po wojnie, do 1961 roku pełniłem różne funkcje w harcerstwie, byłem nawet, między innymi, kierownikiem wydziału w Komendzie Chorągwi w Łodzi.

— Z zawodu jest pan inżynierem?

— Tak, inżynierem włókiennikiem. Zaraz po wojnie pracowałem w przemyśle na różnych stanowiskach, jednak wybrałem pracę w szkolnictwie, z młodzieżą. I nie żałuję tej decyzji. Zresztą ukończyłem także studia pedagogiczne.

— Wiadomo mi, że napisał pan sporo książek.

— Tak, trochę pisałem. Wzięło się to pewnie stąd, że kiedy po wojnie zaczynałem pracę w szkolnictwie zawodowym, nie było w ogóle podręczników. Więc niejako z konieczności zabrałem się do pisania. I tak ukazywały się kolejno: opracowania, następnie skrypty i wreszcie — podręczniki dla młodzieży, kształcącej się w szkołach włókienniczych.

— Ogółem?

— Ponad trzydzieści podręczników i materiałów pomocniczych z zakresu tkactwa.

— Piękny dorobek naukowy. W latach pięćdziesiątych były to chyba jedyne w kraju podręczniki z dziedziny tkactwa?

— Tak. Najbardziej cenię sobie kilka, napisanych przy współpracy z prof. Józefem Grosmanem.

— Panie dyrektore, jest pan aktywnym działaczem społecznym.

— Stale coś robię. W partii jestem już 20 lat. Ponad 30 lat pracuję w Stowarzyszeniu Włókienników Polskich, przez kilka kadencji byłem członkiem Zarządu Głównego tego stowarzyszenia.

— Ale to przecież nie wszystko.

— Dwadzieścia lat pracowałem w Głównej Komisji Szkoleniowej SWP, jestem członkiem Komitetu Naukowo-Technicznego do Spraw Szkolenia Kadr, działającego przy NOT. I to właściwie wszystko.

— Czy aby na pewno?

— No tak, jestem jeszcze członkiem Komitetu FJN Łódź — Polesie, poza tym dziesięć lat pracowałem w Komisji Oświaty na Polesiu.

— Podczas okupacji został pan aresztowany przez gestapo i więziony w obozie koncentracyjnym.

— W dwóch obozach: najpierw w Oświęcimiu, a następnie w Sachsenhausen-Oranienburg.

— Za co został pan aresztowany i kiedy?

— Byłem kierownikiem grupy kolporterów prasy konspiracyjnej na Widzewie. Zostałem aresztowany w lipcu 1942 roku i osadzony w więzieniu a następnie, od stycznia 1943 roku, do końca wojny przebywałem w wymienionych już obozach hitlerowskich.

— Panie dyrektore, był pan delegatem na VIII Zjazd Partii z łódzkiego środowiska nauczylińskiego. W jakim reszpe pan uczestniczył?

— Uczestniczyłem w obradach Zespołu XVII: „Zadania w dziedzinie kształcenia i wychowania młodego pokolenia”.

— Jakie problemy były szczególnie eksploatowane?

— Najbardziej istotne dla wychowania i kształcenia młodzieży. Między innymi podkreślano konieczność stworzenia niezbędnych warunków dla efektywnego funkcjonowania zbiorczych szkół gminnych, podnoszenia na wyższy poziom pracy dydaktycznej i wychowawczej szkoły, dopracowania koncepcji przyszłej szkoły zawodowej.

Mocno podkreślano w dyskusji znaczenie wychowania młodzieży przez pracę i dla pracy oraz racjonalnego wykorzystania czasu wolnego, w tym zwłaszcza działalności sportowo-rekreacyjnej, podniesiono sprawę uczynienia naszego społeczeństwa społeczeństwem wychowującym.

Dużo miejsca poświęcono takim ważnym zagadnieniom, jak zwiększenie troski o rozwój samorządności młodzieży, kształtowanie socjalistycznych postaw, zwiększenie roli rodziny w wychowaniu młodzieży oraz przygotowanie jej do roli rodziców.

W centrum uwagi uczestników obrad w Zespole znalazło się ideowo-polityczne wychowanie młodego pokolenia, upowszechnianie polskiego i międzynarodowego ruchu robotniczego, pogłębianie wiedzy młodzieży o problemach i zadaniach budowy rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał: WŁODZIMIERZ STOKOWSKI

NIE TYLKO HISTORIA

Książka ta ukazała się nakładem warszawskiego PWN w roku bieżącym — z datą 1979 — i stanowi nowość na naszym rynku wydawniczym. Jest dziełem dwóch autorów radzieckich: bardzo dobrze znanego nam Włodzimierza Diakowa oraz Aleksieja Nagajewa. Tom nosi tytuł: Partyzantka Zaliwskiego i jej pogłosy (1832—1835), liczy ponad 420 stron, wydany został w pięcienniej oprawie, z kolorową obwolutą, a kosztuje 75 zł. Wszystko byłoby w porządku, gdyby nie jakość papieru, na jakim tę książkę wydano. Wiadomo nie od dziś, że przeżywamy nie po raz pierwszy trudności z zaopatrzeniem w papier, że w związku z tym wiele wydawnictw u nas książek nie może się ukazać na tak dobrym papierze, jak byśmy tego pragnęli. Wszystko to rozumiemy, ale nie możemy pojąć, jak można wydawać wartościowe dzieło naukowe na papierze, który syple się i drze przy pierwszym otwarciu książki i odstrasza czytelnika swoją szaroburą barwą? Pięcienną oprawą i barwną obwolutą pasują do tego papieru, jak piasek do nosa. Rzecz jest tym bardziej przykra, że chodzi o książkę autorów zagranicznych, a więc powęduje ona w iluś tam egzemplarzach za granicę gdzie będzie się świadczyła o naszych możliwościach typograficznych. Nie wiem, komu zależy na takiej anty-reklamie, w każdym razie trudno dziś znaleźć w świecie — nawet w bardzo ubogich krajach — poważną pracę naukową, która by ukazała się na tego rodzaju papierze.

WŁODZIMIERZ DIAKOW RAZ JESZCZE

Wprawdzie na karcie tytułowej książki widnieją dwa nazwiska autorów, przecież przeważającą jej część napisał nie kto inny, jak Włodzimierz Diakow. A Nagajew jest tylko autorem jednego, zawartego w niej studium pt. Sprawa omska, a także współautorem wstępu i zakończenia. Całość dzieła nie ma charakteru monografii: jest to zbiór studiów — jak powiadają o nim autorzy — ogranicznie

ze sobą związanych, połączonych także jednolitą koncepcją autorską. Niektóre z nich — jednakże nie wszystkie — ukazują się już wcześniej w języku rosyjskim w trudnodostępnych radzieckich periodykach naukowych. Potrzeba udostępnienia tych prac, dotyczących ważnych, a mało zbadanych zagadnień z dziejów Polski, polskiemu czytelnikowi nie może podlegać żadnej dyskusji.

Na omawiany tom złożyły się sześć studiów. Pierwsze z nich dotyczy dzieł wyprawy Józefa Zaliwskiego, świetnego oficera i człowieka o ucieleśnionej odwadze osobistej — jak go charakteryzują autorzy — który podążył z emigracją do kraju w celu wszczęcia tam działalności powstańczej. Drugie studium poświęcono sprawie omskiej — dziełom spisku, zorganizowanego na stosunkowo dużą skalę przez polskich zesłańców na Syberii, pod hasłami walki narodowo-wyzwoleńczej w 1832—1833 r. Trzecia praca została poświęcona sprawie organizowania w 1833 r. przez polskich zesłańców, przebywających w guberni orenburskiej, powstania zbrojnego zaś czwarta — o próbie zbrojnego wstąpienia dawnych uczestników powstania listopadowego, podjętej w Astrachaniu w 1833—1834 r. Kolejne studium dotyczy sprawy Tadeusza Łady-Zabłockiego, absolwenta gimnazjum w Witebsku, potem studenta Uniwersytetu Moskiewskiego, organizatora tajnego kółka polskiego o charakterze patriotycznym. Ostatnia praca, która znalazła się w tym tomie, dotyczy postaci sławnego Piotra Wysockiego i omawia jego działalność, jako

organizatora zbiorowej ucieczki katorżników w 1833 r.

Wspólną cechą wszystkich tych prac jest, że zostały one oparte o nader cenną, a nieznana dotychczas nauce podstawę źródłową: nie od dziś wiadomo, że W. A. Diakow i jego współpracownicy wydobywając z czołuszek radzieckich archiwów dokumenty, nieraz o kapitalnym znaczeniu, dotyczące spraw polskich minionego stulecia. Tak też jest i tym razem. Prócz nieznanych źródeł, wydobytych z archiwów radzieckich, autorzy wykorzystali, rzecz jasna, obfitą literaturę przedmiotu.

Omawiana książka nie pretenduje do wyczerpania omawianej w niej problematyki. Tym niemniej, zaprezentowany w niej materiał upoważnia autorów do zaproponowania czytelnikowi pewnych ogólniejszych wniosków. Pierwszy z nich — jak powiada W. A. Diakow i A. Nagajew — dotyczy skali i zasięgu ruchu narodowo-wyzwoleńczego a także lokalizacji rejonów, gdzie przebiegał w sposób najaktywniejszy. Trudno nie zgodzić się z autorami, że w dotychczasowej literaturze minimalizowano zasięg walki, ograniczając go — wobec braku informacji źródłowych — do działań emigracji oraz Zaliwszczyzny. Wniosek drugi — ściśle związany z poprzednim — sprzeczka się do stwierdzenia, iż proces intensywnych wewnętrznych przemian, jakie dokonywały się podczas rozwoju ruchu narodowo-wyzwoleńczego, zachodził nie tylko na emigracji, lecz również w środowisku represjonowanych jego uczestników.

Wskazując na kraja lub zesłanych na Syberię. Rzecz przy tym godna uwagi, że w różnych środowiskach zdania były niemal identyczne, bez względu na to, gdzie się (oni) znajdowali — w Paryżu czy Omsku, w Warszawie, Moskwie, Krakowie, Astrachaniu, Jekaterynburgu, Tobolsku czy też Orenburgu. Wniosek trzeci — jak podkreślają autorzy — dotyczy form organizacyjnych oraz taktyki ruchu narodowo-wyzwoleńczego w omawianym okresie. Autorzy książki pokusili się o obszerniejszą charakterystykę owych form w różnych ośrodkach i środowiskach, zwracając uwagę, że poza kołami emigracyjnymi powszechną formą organizacji bojowników o wolność stały się ugrupowania półkonspiracyjne zresztą typu kół.

Nie będziemy tu przytaczać dalszych wniosków, jakie wyprowadzili ze swych badań autorzy omawianej książki. W krótkim teletonie niepodobna zdać do wiadomości z jej bogatej treści. Najważniejsze, że otrzymaliśmy wartościowe dzieło, przynoszące wiele nowych ustaleń, dotyczących ważnej problematyki dziejów polskich, które zawiązujemy pracy dwóch wybitnych uczonych radzieckich: W. Diakowa i A. Nagajewa. Znajac rozmach badań W. A. Diakowa nie wątpię, że niedługo wypadnie nam czekać na nowe, podobne publikacje.

ANDRZEJ F. GRABSKI

Całe pole tulipanów kwitnąco poddawało się słońcu.

Marianna powracała pomiędzy kwiatami, w niebieskim kaftaniku, w białym podwiniętym czepku. Ib podchodził do drogi.
— Dzień dobry, Marianno!
— Dobra południe, Ib!
— Dzisiaj wracasz później niż zawsze, o ile się nie mylę.

Marianna ze zdziwieniem patrzyła na Iba. Codziennie się tak mylił.
— O tej samej godzinie wracam co zwykle.
— Być może. A jednak czas mi się dłuży.

Marianna chciała zapytać — Czy beze mnie? Zawahała się jednak i stała chwilę w milczeniu.
— Ładną mamy pogodę — zauważyła po chwili.

Potem wrócili razem do domu. Marianna stukotała drewnianymi sabotami. W drodze rozmowa szła już raźnie.

Oboje byli zatrudnieni przy uprawie tulipanów. Mieszkali w pobliżu siebie, w domach malowanych na niebiesko. Wszyscy uważali Iba i Mariannę za narzeczonych, tylko oni nigd, o tym ze sobą nie mówili.

Wieczorem, gdy Ib zęgnął Mariannę, zawsze było mu bardziej markotno rozstawać się z nią aniżeli gdy zęgnął ją idącą na obiad. Blask zachodzącego słońca rozciągał się szeroko ponad równym horyzontem, woda w kanale zabarwiała się na czerwono i Ib czuł się jakos marzycielsko.

Nawet szwyczące wiatraki wydawały mu się jakby były dziesięcioma stercami ze sagi, w których księżniczka z koralowej wyspy przemieniła swoich niewiernych zalotników.

Jednakże pewnego razu Ib zatrzymał się chwilę dłużej przy pożegnaniu, wobec czego i Marianna nie okazywała, aby jej się zbytnio spieszyło.

Ib zapytał dla pewności:
— Czy możesz trochę ze mną pozostać Marianno?
— Mam jeszcze nieco czasu.
— To dobrze, to bardzo dobrze.

Wóz przejechał przez ulicę, woźnica powiedział do nich coś zapewne bardzo zabawnego, bo sam się roześmiał, ale Ib z Marianną nie dosłyszeli. Gdzieś tam w domach zapalało się już światło, gdyż słońce pomknęło ku morzu.

— Myślę — zaczął Ib poważnie — ile też razy przez dzień obróci się taki wiatrak?
— O, dużo! — odpowiedziała Marianna z przekonaniem.

— A ile razy przez tydzień, a ile przez rok, a co dopiero przez dziesięć lat! Tak, Marianno, myślę sobie, że dobrze by było, żebyś została moją żoną.
— Jeśli chcesz, Ibie, to dobrze.

Powiedziawszy te słowa Marianna schyliła głowę, gdyż nie wiedziała, co teraz nastąpi.
— No to dobranoc, Marianno! Idź, bo już jest późno. Jutro się zobaczymy.
— Dobranoc, Ibie!

Z początku Marianna szła powolnym, poważnym krokiem, lecz wkrótce Ib zobaczył z oddalenia, że pobięła tak prędko jak nigdy. Skrzydełka jej czepka bieleły się w zmierzchu chyboliwie.

Niedługo potem odbył się ślub i wesele, a na weselu przemówił przyjaciel Iba, Eryk, który miał już dwuletniego syna i właśnie do tego faktu nawiązał swoje przemówienie weselne. Co pannę młodą wprowadziło w pewne zakłopotanie.

Wiatraki tymczasem obracały się — tak jak to słusznie Ib zauważył — niezliczoną ilość razy w ciągu dnia, tygodnia, roku, i to zarówno wokół osiedla, gdzie żyli szczęśliwie Ib z Marianną, jak i na przestrzeni całej Holandii.

Nadszedł czas, że Marianna miała powieć dziecko. Ib mocno był przejęty tym zdarzeniem, a kiedy już rozlegały się jakieś północny, Ib wyszedł z domu i skierował się do przystani.

Spotkał Eryka, który był przewoźnikiem. Pogadując o tym i o owym przeszli na barkę Eryka i przysiedli na pokładzie. Wreszcie Eryk klepnął przyjaciela serdecznie w plecy.

— Cóżże taki oswiały, Ib? Styszałem, że w tych dniach będziesz miał syna.

— Oho, dzisiaj jeszcze! Powiedz mi jednak, skąd ty wiesz, że to będzie syn?

Eryk roześmiał się na całe gardło.
— A któżby mógł być jak nie syn? Rozumie się, że syn. Ja mam chłopca, to i ty będziesz miał chłopaka, żeby się mogli razem chować i przyjaźnić jak ich ojcowie.

— No, właściwie słusznie tak ułożył, ale co powiesz, jeżeli będzie dziewczyna?
— Ha, to by było gorzej. Dla chłopaka mała przyjemność mieć za towarzysza dziewczynę.

Naraz ujrzeni biegnącą od miasteczka córkę sąsiadki, która z daleka już dawała znaki. Obaj mężczyźni zwrócili się, Ib skoczył z barki bez użycia pomostu wprost na bulwar i obaj podążyli naprzeciw. Zadzyszana dziewczyna doniosła Ibowi, że już jest ojcem i że ma najpiękniejszą pod słońcem córkę.

Zatem plany Eryka upadły, jednak ojciec nie czuł się wcale poszkodowany i z każdym dniem

POLE TULIPANÓW



coraz więcej powatpiewał, czy syn byłby mu sprawił tyle przyjemności co córka.

Emma rozwijała się i można ją było nazwać wdzięcznym stworzeniem. Kiedy miała kilka lat, lubiła na przekór domyślowi Eryka bawić się z jego synem, Krzysztofem, który dosyć wspaniałomyślnie odnosił się do małej towarzyski. O ile mógł starał się zapominać o tym, że jest dziewczyna.

Kryst i Emma chodzili razem do szkoły, razem w występujących sobotach wybierali wiosną na zalane wodą pola, razem do służ i do przystani, i gdzie tylko było coś ciekawego.

Pewnego dnia ojciec chrzestny Krzysztofa przywiózł mu z miasta cudaczny zegar ścienny, z którego co godzinę wyskakiwał pięciy kogut, a rano, w południe i wieczór otwierały się drzwi i ukazywała się mała, obora, w której dojrzała doła krowa. Możliwe, że nie był to całkiem odpowiedni prezent dla chłopca, ale mężczyźni nie umieli wybierać prezentów.

Gdy Emma zobaczyła zegar, wpadła w zachwyt i uważała, że raczej przystawalby do niej.
— Stuchaj, Kryst — powiedziała — jeżeli mi nie dasz tego zegara, nie chcę cię znać.
— Ho, ho, bardzo mi zależy na twojej znajomości! — zawołał Kryst w odpowiedzi i to w sposób jak najbardziej lekceważący.

Emma rozplakała się i pobiegła do domu użalić się matce.
— Ach, mamo, mężczyźni nie są szlachetni! — mówiła płacząc.
— Co się stało?
— Tak się zawsze kończą znajomości z chłopcami! — krzekała Emma.

Marianna zatroskała się poważnie.
— Czy Kryst cię obraził? Czy zbit się może?
— Gorzej! — zawołała i odbiegła, ukryła się, nie chcąc zdradzić, jak bardzo ją skrzywdził.

Marianna poszła naradzić się z mężem.
— Widzisz, Emma to już podrostek — mówiła roztrząsając zaszle nieporozumienie. Ib wybrał się wieczorem do Eryka.

Zaczął ostrożnie:
— Jest tak a tak, mój drogi, sprawa jest dosyć przykra. Nie obrażaj się, ale syn twój robi się coraz bardziej swawolny. Ostatecznie to nie dziwnego, bo już wyrasta z chłopięcych lat.
— Rozumie się, młodzieniec co się zowie! —

Eryk potwierdził z dumą. Lecz Ib przyjął tę chwałę ojcowską z nagana w spojrzeniu.

— Właśnie. Można określić: wyrostek. Dziś na przykład wyrządził jakąś krzywdę mojej małej, Emma zalewa się łzami, ale nie chce niczego wyznać. A że musiało coś zająć, nie ulęga wątpliwości. Nie, nie myślę, aby to było coś bardzo złego, może pocatował ją tylko lub coś w tym rodzaju, jednak tak sobie uważam, że to nie jest zbyt dobrze, można powiedzieć, nie jest wskazane, aby oni ciągle ze sobą przestawali.

Eryk zdumiał się i pomrukiwał w toku przemowy Iba z rosnącym oburzeniem. W końcu znaszczyl brwi i oświadczył:

— Doskonale się składa. Ojciec chrzestny Krzysztofa chce go wziąć do miasta na naukę. Jutro odejźdza, niech więc zabiera huncwota, tak będzie najlepiej.

I dłużej jeszcze w poufnych rozmowach tro-

skali się przezorni rodzice i naradzali, a tym-

czasem między Krzysztofem a Emmą zapano-

wała już zupełna zgoda, ponieważ Kryst przy-

niósł zegar i podarował go jej uroczystie.

— Trzeba było dać mi go zaraz, kiedy prosiłam, nie byłabym tyle przez ciebie płakała.
— Było mi szkoda zegara — przyznał jej się otwarcie — i, co prawda, jeszcze mi go trochę żal.

— Popatrz, popatrz! — przerwała Emma jego mało ważne obiekcje. — Otwierają się wrota i zaczyna się wieczorne dojenie. Ach, jakie to zabawne!

Kryst z niepokojem spojrział na swoją niedawną własność, doznał chętki odebrać prezent z powrotem.

— E, niech zostanie! — powiedział przemogłszy się po chwili.

— Co niech zostanie? — spytała Emma w zdumieniu.

— Zegar, który ci podarowałem.

— Pewnie, że zostanie!

Emma jak szczygieł biegła po izbie wyszukując miejsca dla zegara, w którym najlepiej będzie się prezentował, w czym Kryst musiał jej pomagać.

Po odejściu Krzysztofa Emma pomyślała sobie, że musi mu zrobić czapkę z szafirowej włóczki za taki piękny zegar. Postanowiła zaraz na drugi dzień zabrać się do roboty.

Na drugi dzień Kryst przybiegł z wieścią, że ojciec wysła go z ojcem chrzestnym do miasta i że za godzinę wyjeżdżają. Opowiadał o tym z ożywieniem. Emma nie podzielała jego radości.

— Cieszysz się bardzo, Kryst?
— Rozumie się. A ty byś się nie cieszyła?
— Może bym się cieszyła, ale ja nigdzie nie jade.

Po czym dodała:
— Nie wiem, czy by mnie tak znowu bardzo uradował wyjazd bez ciebie.

Krzysztof zaśmiał się niezręcznie. Nic nie powiedział, tylko spowaźniał.

— Ojciec każe mi przedk wracać — rzekł wreszcie — bo mam się przygotować do drogi.

Emma nagle sobie o czymś przypomniała, zapytała z lekkim:
— Czy wobec tego, że wyjeżdżasz, będę ci musiała oddać twój zegar?

— Nie, nie, zatrzymaj go na pamiątkę. Przecież on już jest twój.

Emma nagle sobie o czymś przypomniała, zapytała z lekkim:

— Czy wobec tego, że wyjeżdżasz, będę ci musiała oddać twój zegar?

— Nie, nie, zatrzymaj go na pamiątkę. Przecież on już jest twój.

— Bardzo ci dziękuję, Kryst.
— Bądź zdrowa, Emmo!
Tulipany nabrały barw. Zagony kwietne rozścielały się pod błękitne niebo.

Ib wiele opowiadał w domu o kwiatkach, o różnych zmianach, o pracy, o przygotowanych wysyłkach tulipanów. Emma przysłuchiwała się w milczeniu wieczornym opowieściom ojca, zajęta swoimi dziewczęcymi pracami.

Pewnego poanku powrócił Krzysztof. Urósł, zmężniał. Emma także podrosła przez ten czas, na twarzy jej ukazał się ujmujący wyraz, a w postaci widać młodości.

— Jak się masz, Kryst, jak ci się powodziło w mieście? A czy wiesz, że kogut w twoim zegarze ochrypnął zupełnie i nawet zaczyna się podczać piania.

— Zaraz ukręcę mu głowę.
— Nie rób tego. Nieraz, kiedy on ukazywał się, myślałam, co ty w owej chwili porabiasz i czy nie wolałbyś pobiec ze mną do przystani A choćby i beze mnie.

— Ani razu nie pomyślałem o tobie. Nie miałem czasu. W mieście jest bardzo przyjemnie.
— Pewnie.

Emma schyliła głowę. Właśnie chciała mu powiedzieć, że przez czas jego nieobecności zrobiła dla niego czapkę i szal, i że w całym osiedlu żaden chłopiec nie będzie miał ładniejszej czapki ani lepszego szala. Niestety nie mogła już teraz o tym mówić.

Kryst wziął ją za rękę.

— Chodź, Emmo, pokażesz mi, co się u nas zmieniło przez ten czas. A to nieprawda, co powiedziałam. Ja tylko tak mówiłem naumyślnie, aby się przekomarzać. W rzeczywistości tego nauczyłem. Chociaż nie miałem zegara, który by mi ciebie przypominał, nieraz jednakże wspominałem cię i nasze zabawy.

Emma roześmiała się.
— Zrobiłam dla ciebie, czapkę i szal z szafirowej włóczki — oznajmiła mu szybko. — Będzie ci w tym bardzo do twarzy.

Pobiegli razem do przystani.

Na polach obracały się wiatraki.

Całkiem tak, jak to kiedyś określili Ib. Nie wiadomo ile razy na dzień, na tydzień, na rok.

Widać je przez okno z izby. Kiedyś wpadła do domu Emma niezwykle ożywiona.

— Kryst powiedział mi przed chwilą... — zawołała jednym tchem do rodziców i nagle urwała.

— Cóż ci takiego powiedział? — spytała matka, jakby niczego się nie domyślając.

— Powiedział mi, że mnie kocha i że chciałby się ze mną ożenić.

— Coś podobnego! — zawołał ojciec. — A coż ty mu na to odpowiedziała?

— Że ja także...

Ib spojrział na córkę, była podobna do matki, żywsza, ale z twarzy podobna. Taka sama w tym białym podgiętym czepku i niebieskim kaftaniku, jak dawniej chodziła Marianna, z podobną zarumienioną twarzą i oczami, o łazurowych oczach i pągowych, roześmianych ustach.

Nie miał racji Eryk, gdy się chwiał, że nic z tego dobrego nie wyniknie, jeśli się Ibowi urodzi córka. I on nie miał słuszności, kiedy się tak z żoną obawiał nie wiadomo czego, skarżąc się Erykowi na Krzysztofa. Tak w zamysleniu Ib przeszedł do tamtych chwil i jeszcze do wcześniejszych czasów, gdy spotykał Mariannę wracającą do domu.

— Jak to już dużo czasu minęło! — rzekł głośno spoglądając na żonę.

— Możliwe — zgodziła się Emma. — Mnie się mimo to wydaje, że bardzo niewiele.

— Ja też nie do ciebie mówię, kozo, tylko do matki — zaśmiał się Ib.

Marianna uśmiechnęła się również do dawnych wspomnień i odmłodniała w tym uśmiechu. Podeszła do męża i objęła go łagodnie.

— Pamiętam tak wszystko, jakby to było wczoraj.

— Chciałabym jednak wiedzieć — zauważyła trochę zdziwiona Emma — co rodzice myślą o moim małżeństwie?

— Twoje małżeństwo, to jest twoje szczęście. Nie będziemy się do tego wtrącać! — powiedział Ib mądrze.

Emmie rozjaśniły się oczy, zakręciła się w miejscu i prędko wybiegła na dwór, głośno stukając drewnianymi sabotami.

EDWARD KOPCZYŃSKI

REWOLWEROWIEC

Michał miał lat około czterdziestu, był przystojny, ogorzały na twarzy, łatwy w rozmowie, dowcipny, inteligentny — krótko mówiąc reprezentował sobą to wszystko, co składa się na określenie: morowy facet. Do tych wszystkich wartości można dodać jeszcze jedno, wcale w tym przypadku niebagatelne — Michał był świetnym myśliwym. Doskonalem znał życie i zwyczajów zwierząt, dobry gospodarz łowiska, bardzo dobry strzelec, zapamiętały łowca dzików. Nikt w kole nie mógł się pochwalić takimi łowieckimi sukcesami jak on i było to prawdziwe, bo w każdym kole jest najlepszy.

Kiedy poznał Michała, sezon łowiecki był w pełni. Polowali na kaczki, na ku-

ropatwy, bażanty, na zające w polu i w lesie, na dziki po czarnej stopie i po śniegu — jednym słowem miałem wiele okazji obserwować go w myśliwskim działaniu i wiele razy podziwiać. Zaprzyjaźnił się z Michałem, był w moim domu, ja w jego, nasze żony też przysiadły sobie do gustu — miałem wreszcie wymarzonego kompana do myśliwskich wypraw.

Urok rozwiał się w drugim roku naszej znajomości. Polowaliśmy na bażanty. Na terenie łowiska zaparkowaliśmy samochód u strażnika łowieckiego i ruszyliśmy penetrować znane nam zakamarki — rezerwy małych chłopskich lasów, skupiska olszyn, krzewów. Ruszyliśmy osobno, umawiając się, że za trzy godziny

spotkamy się przy farmie liśsów, miejscu ogólnie tu znanym. Zgodnie z kartami odstrzału mogliśmy strzelić na tym terenie pięć kogutów każdy, niekoniecznie tego dnia, karta była ważna na dwa tygodnie.

W wysokim, sosnowym, niewielkim lesie, na jego obrzeżu, ledwie tylko tam wszedłem, strzeliłem pierwszego koguta. Miałem przy tym całą łowiecką satysfakcję, kolorowy ptak zerwał się wśród sosen, poszedł od razu wysoko, w korony drzew, migał mi wśród gałęzi, już prawie wolny — strzeliłem go w prześwicie, na jasnej plamie nieba, w ostatnich ułamku sekundy. Spadł jak kamień, z odnalezieniem go nie miałem żadnych trudności, bo las miał znikomy podszyt. Zatroczyłem

zimą, wypaliłem papierosa i ruszyłem przed siebie przeczesując dalsze partie lasu. Idąc zakosami, przeszedłem około stu metrów i zmusiłem do ucieczki następnego ptaka. I tym razem mogłem sobie pogratulować — bażant, wcale nie łatwiejszy od pierwszego, złamał się w locie i spadł mi niemal pod nogi, bo poszedł w górę świecą jak rakietka, wyrzucając się parę kroków przede mną. Polowałem godzinę, a już dwa koguty wisiały na trokach. W dobrym nastroju opuściłem las — nie tam więcej nie było — i poszedłem na stawy. Było do nich nie więcej jak kilometr i kiedy tam dobiegłem wiedziałem z góry, że będę strzelał, bo z pola spłószym kilkanaście ptaków, w tym na pewno koguty — w tym czasie niektóre trzymały się jeszcze razem z kurami. Wchodząc na teren stawów, na pierwszy groble, która dzieliła lustra wody, postawiłem źle nogę i zjechałem do stawu. Nie było tu głęboko, kąpieli niezbyt

zimna, ale dno było muliste. Kiedy próbowałem się wydostać, po lewej stronie, z kępy szuwarów wyrzucił kogut. Nie mógł wybrać lepiej, miałem stopy ugrzęźnięte w mule, a potrzebny był mi prawie cały obrót ciała. Spróbowałem, nie dało rady, ptak poszedł nie strzelany, patrzyłem za nim do pólki nie zniknął mi poza barierą wysokich olszyn, obejmujących stawy jakby zieloną ramą. Wydostałem się na groble, przeszedłem ją do końca, ale nie znalazłem. Stanałem i sięgnąłem po chusteczkę, żeby wytrzeć pot z twarzy, i właśnie wtedy, prawie spod samych nóg — dałbym głowę, że nie tu nie ma — zerwał się kolorowy rycerz, krzycząc na mnie, że zakłóciłem jego spokój. Szedł jak samolot, lotem koszącym, nisko nad sitowiem stawu, a ja pokryłem go łufami, ściągnąłem spust i ptak spadł na wodę trzydzieści kroków ode mnie. Idąc po niego w wodzie prawie po pas nie żałowałem już pierwszej przy-

TEATR

GYUBAL



Miroslawa Marcheluk (Morbideito), Bogdan Baer (Gyubal Wahazar)

Fot. A. Brustman

Kiedy Witkacy pisał „Gyubala Wahazara” (1921), ani się komu śniło o Hitlerze, a Pol Pot, Amin i inni przyszli władcy swoich światów, prywatnych królestw, jeszcze się nawet nie urodzili. Dlatego też wielu współczesnych mu, często brało jego sztuki za wytwór neurastenicznego mózgu. Dziś, skłonni jesteśmy przypuszczać, że programowa ucieczka Witkacego w rejony „czystej formy”, była ucieczką od najgorszych przeczuć, wyrażonych w powieści „Nienasycone” (bo jednak przecież przeczuć przebiły się, zostały wyrażone expressis verbis). Najbardziej makabrycznego figla spłatała dramaturgowi sama rzeczywistość: najdłuższe nawet pomysły Gyubala Wahazara, Macieja Korbowy i innych jego bohaterów są do zrealizowania, i bywają realizowane, poza teatrem — w samym życiu. Gdyby Witkacy jeszcze żył, mógłby zostać prezesem Światowej Unii Futurologów. Spełnionych.

Pojawił się nowy problem — jak teraz grać Witkacego, jak teraz grać „Wahazara”. Jeśli chodzi o sztuki tego typu, jak „Wariat i zakonnica”, „W małym dworcu”, „Szewcy”, problem wydaje się być rozstrzygnięty: im ich realizacja bliższa są potocznemu realizmowi, tym się wydają trafniejsze. Trudniej jednak z owymi „przełęczami bezsensu”, które ujawniły nagle swój brutalny sens; dla każdej z nich trzeba by wymyślić jakąś szczególną sceniczną poetykę, która współczesnemu widzowi pozwoliłaby obserwować akcje sceniczną bez poczucia jej oczywistości, bez odczucia nudy, płynącego z przekonania, że my dziś znamy już więcej szczegółów katastroficznych, spełnianych tu i ówdzie, wizji Witkacego.

Nie wydaje mi się, aby trafnie rozstrzygnął ten problem Bogdan Korzeniewski w swej realizacji „Gyubala Wahazara” w Teatrze Nowym w Łodzi. Nie

jest „Gyubal” najlepszą ze sztuk Witkacego, wyraźniej niż w innych ujawnia się tu szkieletowość, brak rozwinięcia pomysłów, pośpiech, tym więc trudniejsza była, wyobrażam sobie, praca nad nią. Bohdan Korzeniewski nie poszedł jednak w kierunku, który by pozwolił mu rozbudzić sceniczną wizję — przeciwnie, na scenie jest mniej fantazji niż w tekście, przedstawienie sprawia wrażenie ascetycznego, powściągliwego, ma temperaturę ledwie że letnią.

Korzeniewski, tak się to odczuwa z widowni, poszedł za jednym tropem — bezradności „szarej” jednostki wobec „nad-jednostki”, tropem systemu totalitarnego, w którym zmiany, a właściwie podmioty, dokonują się tylko w łonie elity władzy; cała reszta jest tylko mierzwą. Tymczasem przecież jest to zaledwie jeden z współistniejących obok siebie motywów „Gyubala”, zbyt wąty, aby stanowić machinę działań sceniczną, a nadto zbyt ascetycznie przedstawiony, aby mógł wzbudzić zainteresowanie u widza. Postawił też Korzeniewski na jedną tylko postać — na Gyubala, usuwając z cienia inne, nie dając Gyubalowi wyrazistych partnerów. Bardzo dobry jest w tej roli (a ścisłej w tym, co dla tej roli przeznaczył reżyser) Bogdan Baer. W tym, co robi, po tym, jak artykułuje postać tytułowego bohatera, widać, że rozumie i czuje Witkacego; a jednak i on zdaje się być powściągliwym reżyserem, gra jakby z tłumikiem, nie wykorzystując do końca swoich wirtuozowskich umiejętności, całej swej aktorskiej błyskotliwości.

A więc jeden trop, jeden bohater. Ale to nie wszystko. Korzeniewski jest, niestety, konsekwentny i dalej. A dalej jest choćby scenografia Krzysztofa Pankiewicza. Znówu (tak się składa) jeden obraz — „poczekalnia przy audiencjonalnej sali” — zamiast trzech, jak u Witkacego;

kostiumy bez cienia fantazji (a znamy przecież Pankiewicza, nietrudno mu poszaleć), Gyubal Wahazar w bryczesach i na czarno, w białej koszuli (czytaj u Witkacego: — „Czarne, długie, wiszące wąsy. Czarne, rozwichrzone włosy; czarne oczy. Piana leje się z pyska przy łada sposobności. Jasnozielone, bardzo szerokie portki i fioletowe długie buty spod tych portek widne. Kaftan bordo. Czarny miękki kapelus. Tytan. Głos ochrypliwy”). Nie piszę tego dlatego, że uważam, iż trzeba ze śmiertelną powagą realizować uwagi Witkacego zawarte w didaskaliach, uważam jednak, iż warto je brać pod uwagę, jeśli się nie ma lepszych pomysłów. Wspomnę już tylko — dając to pewien wgląd w kierunek myślenia realizatorów — że świta Wahazara występuje w niby to kosmicznych skafandrach. Jeśli dodamy do tego muzykę straszliwie bebechowatą (jak by powie-dział Witkacy), zamknijmy całość w wymyślonej przez reżysera kłamek sytuacyjną (przedstawienie kończy się tak, jak zaczyna, sceną oczekiwania na przyjęcie podać tym razem przez Kwibuzę — jak się mamy domyślać, objął on władzę po Unguentym), otrzymamy Witkacego nudnego, naiwnego i oczywistego.

Wybaczy pan, profesorze, to oskarżenie. Moim zdaniem, jako reżyser, postąpił pan z „Gyubalem Wahazarem” tak, jak Gyubal Wahazar postąpił z Fietrycem. Zabił go pan, nie dając mu poszaleć, zgłazszac-hował pan (tak by powiedział Witkacy) jego fantazję: uniedowcipił i zuniformizował.

JERZY KATARASIŃSKI

Teatr Nowy w Łodzi, Stanisław Ignacy Witkiewicz, „Gyubal Wahazar czyli na prze-lęczach bezsensu”. Reżyseria: B. Korzeniewski, scenografia: K. Pankiewicz, oprac. muzyczny: A. Płoszaj, oprac. choreograficzne: W. Traczewski, Premiera prasowa — 5 marca 1980 r.

POLEMIKI

KTT
NA „PEGASIE”

Telewizyjny „Pegaz” przedstawił dnia 7 lutego br. interesującą, niezwykle żywą i barwną, a niekiedy zabawną kontrowersję w słowie między K.T. Toeplitzem i A. Hanuszkiewiczem. Polemika dotyczyła genezy, sposobu realizacji i recepcji współczesnego teatru, a przede wszystkim wizji i spełnienia twórczych aktorów, adaptatorów, reżysera, kierownika artystycznego i dyrektora Teatru Narodowego w jednej osobie, A. Hanuszkiewicza.

Otóż okazało się, że K.T.T. miał i w dalszym ciągu ma do swojego rozmówcy apokaliptyczne pretensje (wskazuje na to niedorzeczny pod względem merytorycznym felieton K.T.T. w Kulturze nr 8 1980) o to, że rezygnuje on niekiedy z tzw. dramatu właściwego i kreuje swoje spektakle korzystając z materii sensu stricte epickiej i lirycznej. Dekadencję i upadek współczesnego teatru, w tym i naszego narodowego mają zwiastować wedle K.T.T. zabiegi adaptacyjne wokół inscenizacji wybitnych dzieł literackich autorów tej rangi co Dostojewski, Kochanowski i Boccaccio oraz obiektywizację owych artystycznych projekcji dokonywaną przez głównego ich rzeczownika A. Hanuszkiewicza.

K.T.T. zapominał, że wśród teoretyków i praktyków teatru mogą istnieć inne poglądy na ten temat i że to właśnie oni, najwnikliwiej penetrują, interpretują i współtworzą zjawiska teatralne.

Dywagacje teatralne K.T.T.

mogą być podsumowane rozważaniami S. Skwarczyńskiej o dramacie. Przeprowadzając różnicę między dramatem właściwym, inaczej teatralnym i dramatem literackim (Lese-drama) określanym także mianem dramatu książkowego, stwierdza ona, że teatr interesuje się również dramatem literackim (powieścią, nowelą), pod warunkiem, że znajdzie się dramaturg, który potraktuje konkretne dzieło literackie jako pewien zorganizowany budulec, ukształtuje z niego właściwy dramat teatralny. Będzie to kwestia tzw. adaptacji teatralnej utworu literackiego, sprawy zresztą bogatej w różnorodną problematykę.)

A. Hanuszkiewicz jest twórcą tradycyjnym, ostrożnie korzysta z osiągnięć awangardy teatralnej. Uprawia sztukę inteligentną, sugestywną, komunikatywną. Chodząc do jego teatru niejednokrotnie zerkaliśmy się z prezentacjami, które wyzwały autentyczne i niezapomniane przeżycia estetyczne. Dzięki adaptacji scenicznej Trenów, Braci Karamazow i Dekameron mogliśmy choć tylko przełotnie uchwycić uniwersalne, a jednocześnie tak bardzo subiektywne, imponderabilia kondycji ludzkiej. Nowe, pod względem estetycznym, teatralne prezentacje dzieł klasyków literatury pozwoliły na odmienny porządek wspomnianych utworów literackich, połączyły namysł nad egzystencją człowieka nad sposobem jego przejawiania się w świecie.

Umiejętność trafnego przekładu liryki i epiki na wielość tworów teatralnych, na ich estetyczną kontaminację, która jest spektakl sceniczny, świadczymy o sile i głębi artystycznego instynktu pobudzającego do poszukiwania form wypowiedzi teatralnych w innych dziełach sztuki.

Utwory literackie nie są

wprawdzie tworzone dla potrzeb teatru, ale też ich autorzy nie powinni z góry wyznaczać i określać zakresu możliwych interpretacji danego przedmiotu artystycznego, gdyż świadczyłoby to niekorzystnie o ich pojemności interpretacyjnej, ograniczającej pole estetycznego odbioru dzieła sztuki, gdyż sprawa przeżycia głębokich impulsów, pobudzeń emocjonalnych, jest kwestią indywidualną i subiektywną.

O wielkości dzieła sztuki świadczy przecież wielość różnorodnych ocen i interpretacji, niejednokrotnie przeciwstawnych i wykraczających poza wydawalność przez niezmienną, bo narzuconą przez twórcę formę. Przykładem może być W. Szekspir, którego utwory dramatyczne wyzwały różnego rodzaju refleksje i działania, inspirowały twórców filmowych, choreograficznych, muzycznych, plastycznych itp. A. Hauser, powiada, że nawet architektura wnętrza sztuki późnoromańskiej i gotyckiej wskazuje na skłonność do „filmowości” zatrzymywania się przy poszczególnych fazach wydarzeń. Podobnie interpretuje A. Hauser malarstwo okresu malarstwa, a w szczególności zaś obrazy Tintoretto, Parmigianino i El Greco, które poprzez wprowadzenie rozdrobnienia przestrzeni, dopuszczenia różnych skal i możliwości ruchu zbliżają się do techniki montażowej i suwerennego traktowania przestrzeni w filmie.

Gdy przyjmiemy, że dzieło artystyczne funkcjonuje jako przedmiot estetyczny również dzięki odbiorcy, to zasadnym wydaje się twierdzenie, że to właśnie człowiek poznający dzieło sztuki będzie, poprzez ocenę i interpretację, określać formę i wartości utworu, który pobudza go do przeżycia estetycznych i refleksji. Niemożność ustalenia absolutnych

rozróżnień wartościujących do teatru, również estetyki teatru. Każdy kto o tym wie, nie powinien w sposób arbitralny narzucać twórcom teatralnym z czego i w jaki sposób powinno kreować się widowiska teatralne. Ten kto postępuje inaczej, daje dowody własnej megalomanii i niekompetencji.

We wspomnianym „Pegazie” K.T.T., płodny felietonista, autor kilku znanych książek o kulturze, miał kłopoty z właściwym określeniem pojęcia „literatura”. Sformułował ją jako „imperialistyczną” — zaboreczną i ekspansywną definicję i zaliczył był do literatury takie przejawy aktywności artystycznej, jak balet, pantomima, muzyka, malarstwo itp. Pewne trudności z precyzyjnym i właściwym przedstawieniem tego pojęcia miał również A. Hanuszkiewicz. Proponując powtórnie odwołać się do autorytetu S. Skwarczyńskiej. Stwierdza ona, że współcześnie została odrzucona przez teorię literatury przestarzała i mocno sędziwa koncepcja A. Miturno z 1559 r., która zaliczała jeszcze do literatury dramat właściwy. Aktualnie do literatury zalicza się jedynie tylko dwa rodzaje literackie — epikę i lirykę. Zatem inne przejawy twórczości pisarskiej jak dramat, scenariusz, nowela filmowa, list, felieton itp. noszą znamiona aktywności paraliterackiej; tym bardziej, do sztuki literackiej nie mogą być zaliczone inne obiektywizacje artystyczne, które korzystają z pozasłownych środków wyrazu.

JERZY KOSIEWICZ

- 1) Skwarczyńska Stefania, Dramat — literatura czy teatr, w: Wprowadzenie do nauki o teatrze, Wrocław 1978, tom I s. 224—225.
- 2) Hauser Arnold, Społeczna historia sztuki i literatury, Warszawa 1974, PIW, s. 189.
- 3) Ibidem, s. 288.
- 4) Skwarczyńska S., op. cit. s. 223—225.

PLASTYKA



Z wystawy II Biennale Małych Form Rzeźbiarskich w Ośrodku Propagandy Sztuki BWA w Łodzi.

Foto: R. Łuczyszyn

się z Michałem. Po drodze nie spiesząc się, z ciekawości zajrzałem do opuszczonego gos-podarstwa, gdzie również lubi-ły przebywać bażanty. Miały tam doskonałe warunki, dobrą kryjówkę, był tam bowiem zdziśnaw, niewielki ogród, sporo dziko rosnących krzewów — malin, jeżyn — i rozwalający się murowany budynek bez dachu, bez okien, bez drzwi, o-brazek jak z wojny. Podcho-dząc do gospodarstwa, już z daleka zobaczyłem dwa koguty, które pociekły z jednych krzewów w drugie, znajdując w tych drzewach chybą leniwe schronienie dla siebie. Mając odstraszyć zażenowany, nie chcia-łem niepokoić ptaków, zmieni-łem kierunek i inną drogą po-szedłem do lisiej farmy. Mog-łem znów odpocząć, bo Michała jeszcze nie było, położyłem pta-ki w trawie, a sam usiadłem na brzegu rowu...

W dziesięć minut potem nad-szedł Michał. Patrzyłem na nie-go zdziwiony, bo troki przy pa-

się miał puste. Widząc moją zdobycz, zaklął:

— Cholera, tobie poszło, a ja nie mogłem nic znaleźć. Na-wet nie wystrzeleliem — patrzył na moje koguty, mogło mi się tak tylko wydawać, z zazdro-ścią.

— Chcesz strzelać?

— Pytanie, za godzinę będzie ciemno.

— Usiądź, odpocznij, wiem gdzie są koguty.

— Gdzie są?

— Spokojnie, będziesz strze-lał.

Widząc, że usiadł jakby wbrew woli, przymuszony przeze mnie, uspokoiłem go:

— Będziesz strzelał trzysta metrów stąd.

— Zrujnowana gospodarka? — domyślił się.

— Tak, dwa koguty będą tam na pewno, widziałem je pół godziny temu.

— Psiakrew — powiedział — miałem chęć tam zajrzeć.

— Zajrzysz teraz.

Usiadł koło mnie nie wię-

cej jak dwie, trzy minuty.

— Pójdę po nie.

— Pójdę z tobą, popatrzę...

Niedługo potem widziałem Michała, jak wchodził w pierw-sze krzwy zdziśnawego ogrodu. Miałem go jak na dłoni sto-jąc i obserwując go z odleg-łości dwudziestu kroków. Mi-chał szedł drobnym krokiem, stawiając nogi szeroko, tak jak na stendzie przy strzelaniu z marszu. Jego sylwetka, sposób trzymania strzelby, napięta u-waga, skupiona, męska twarz, to wszystko musiało się podo-bać — tak wyglądali chyba kiedyś wspaniali traperzy z Północnej Ameryki, o których tyle się naczynałem, których przygody wstrzymywały dech w młodszych piersiach i ka-zały śnić o wspaniałych wy-czynach. Chwilę później zoba-czyłem, jak dwa koguty jed-nocześnie zerwały się do lotu, jak prawie razem spadły, wi-działem jak zerwały się dwa następne — te pójda, bo prze-cież Michał musi załadować dubeltówkę — nie poszły, spad-

ły tak jak dwa pierwsze — jak on to zrobił, jakim cudem — do diabła, zrywa się następny i też pada, jest jeszcze jeden — skąd ich tu tyle — i ten do-stał...

Oszło mi zupełnie patrzy-łem jak Michał biega i zbiera ptaki, sześć ptaków strzelonych w minutę, może dwie. Do dia-bła, jak on tego dokonał, jak zdążył ładować broń, to prawie nieprawdopodobne, gdybym nie widział, nie uwierzyłbym niko-mu, patrząc wydawało mi się, że patrzę na zonglera w cyrku, na iluzjonistę, ten Michał jest niezrównany, jest jakimś, jak re-wolwerowiec z westernu, a to na co patrzyłem, to była jatka — poczułem skurcz krtani i niesmak — doskonały rewolwe-rowiec, tylko rewolwerowiec...

Michał z rozjaśnioną twarzą znalazł się przy mnie.

— Widziałeś?

— Widziałem.

— To była dobra robota, co?

— Strzeleś nawet szóstego.

— Tak, ten szósty sam się prosił, nie mogłem się po-wstrzymać.

Patrzyłem na Michała, jak bym go widział w tej chwili po raz pierwszy, jak na ob-gocia człowieka. Zadowolenie w jego twarzy sprawiło mi przy-krość, a ostatnie słowa „ten szósty sam się prosił” wciąż słyszałem, tak mocno jak dzwon, tak dokładnie, jakby Michał wciąż je powtarzał. Do-strzegłem wreszcie oczy Mi-chała, piwne oczy zwykle we-sokie, które znałem tak dobrze, które w tej chwili były mi

również obce, w które nie po-trafiłem patrzeć, bo widziałem w nich po raz pierwszy dra-pieżność, zachłanność, zapamię-tanie. Michał podniósł rękę i przejechał nią po twarzy, jakby zbagatelizował jej kurz. Musiał mieć rękę powalającą farbą pta-ków, bo na twarzy, na prawym policzku została czerwona pla-ma, ostra, wyraźna, jak pręga po uderzeniu.

— Dobra robota, co? — po-wtórzył i patrzył na mnie o-czekując uznania.

— Chodźmy już — powie-dział odwracając się od Mi-chała. Zaczęło się ściemniać.

(Opowiadanie z tomu „Myśliw-skie opowieści”, który ukaze się wkrótce nakładem KAW).

REWOLWEROWIEC

„Odszedł od narodowego panteonu wielkich Polaków”. Te słowa Macieja Szczepańskiego zamykające biografię człowieka i poety są jednocześnie otwarciem nowego wymiaru twórczości Jarosława Iwaszkiewicza. To co było jeszcze kilkanaście dni temu współczesnością, staje się historią. I tak dzieje jednego życia wypełnionego wielostronną działalnością, wymierzaniem tytułami kolejnych dzieł przemieniają się w przeszłość, która będzie trwać w pamięci całych pokoleń.

Kiedy mowa o instytucjach życia artystycznego, determinujących społeczną świadomość kulturową, jakże często zapomina się o samym twórcy. Recenzuje się jego tomiki, interpretuje powieści, ocenia dramaty, zapominając, że to on, ten człowiek, jest twórcą. Właśnie twórcą świadomości swojej roli i swojego posłannictwa może stać się najcenniejszą instytucją, układem odniesienia powołującym do życia wartości najwalsze.

„Takim człowiekiem — instytucją był z całą pewnością Jarosław Iwaszkiewicz, jako autor „Sławy i chwały” i „Podróży do Polski”, jako tłumacz Kierkegaarda, jako Poeta, jako prezes Związku Literatów Polskich, poseł na Sejm

czy wreszcie jako redaktor naczelny „Twórczości”. Wyminenem niektóre jego powinności i obowiązki, które wypełniał do ostatnich swoich dni. Należy sądzić, że kontakt z tym co stworzył, a czego nie zdążył przygotować do druku, będzie jeszcze przez długi czas utrzymywał ślady jego dzieła.

Dzieło to, sygnowane nazwiskiem Jarosław Iwaszkiewicz, istnieje nie tylko w lite-

Takie refleksje były udziałem nas wszystkich w czasie ostatniego tygodnia. Wiadomość o śmierci, obrazu domu w Stawiskach, pogrzeb, to ostatnie fakty z biografii Iwaszkiewicza, których — dzięki tv — byliśmy świadkami. Tym nieodwracalnym faktem towarzyszyły na małym ekranie programy, które przypomniały nam to, czym była twórczość autora „Sławy i chwały” także i dla

IWASZKIEWICZ

raturze. Zapisano się w pamięci widzów całego świata filmowymi adaptacjami „Matki Joanny od Aniołów” i „Pamiętnik z Wilka”. Inspirowało twórczość Karola Szymanowskiego, towarzyszyło po dziś dzień muzyce Fryderyka Chopina. Jest iście renesansowym świadectwem artysty spełniającego się we wszelkich formach sztuki. Od debiutanckich „Okostychów” z roku 1919 po wiersze publikowane w marcu 1980 poezja Jarosława Iwaszkiewicza była układem odwołań dla kilku generacji poetyckich. Felietony w „Życiu Warszawy” to nie tylko zwykłe „rozmowy o książkach”, ale przede wszystkim pulsująca świadomość pisarza, człowieka i Polaka.

telewizji. Kilka miesięcy temu, 23 grudnia ubiegłego roku, w programie drugim odbyło się wielogodzinne „Spotkanie z Jarosławem Iwaszkiewiczem”. Obejrzelismy wówczas znaczący przekrój przez cały dorobek pisarza, od poszczególnych wierszy, adaptację „Kochanków z Marony”, pierwszą część widowiska według „Sławy i chwały”, telewizyjne przekłady opowiadań, aż po jedno z najwybitniejszych osiągnięć TVP — film Andrzeja Wajdy „Brzezina”. Zupełnie niedawno Scena Współczesna Teatru TV zaprezentowała adaptację „Opowiadania z kotem”.

Nie miejsce tu na oceny. Wszelkie przekłady literatury na film, bądź widowisko telewizyjne, warunkowane są naj-

TELEWIZJA

W ostatnich latach policjant nie jest postacią zbyt lubianą w kinie amerykańskim. Mniej bezpamiętnie czasy, gdy podział pomiędzy światem ścisłym i ścisłym przebiegał wedle granicy pomiędzy dobrem, a złem. Zło jest powszechne i zaraźliwe. Wszędzie obecna jest rzeczywistość policjantów-przestępców z „Samotnego detektywa McQua”. Policjant-idealista z filmu „Serpico” działa całkowicie samotnie i przegrywa. Baśniowe już postacie to telewizyjni Columbo i Kojak; bardziej realistyczny okazuje się Harry Callahan z „Dirty Harry”. Rzecz charakterystyczna, że przemiana postaci policjanta — ze szlachetnego szeryfa na brutalnego i skorumpowanego policjanta-gangstera — odpowiada ogólnym zmianom, jakie w systemach policyjnych nastąpiły w warunkach wzmożonej kontroli jednostki przez mechanizm państwa. Sytuacja taka zrodziła zarazem w filmie postać przestępcy, którego zbrodnia działała się w odpowiedzi na metody policyjne i — będąc jego jedynym możliwym sposobem istnienia — zjednuje mu życzliwość kinowych widzów.

W „Zwolnieniu warunkowym” Ulu Grosbarda taką właśnie postać odgrywa Dustin Hoffman. Max Dembo zwolniony przedterminowo z więzienia w Los Angeles nie marzy o niczym innym, jak o powrocie do normalnego życia. Nie okazuje się to jednak proste, skoro przydzielony zostaje

GRZEGORZ GAZDA

mu policyjny kurator — Earl Frank. Upierścieniony grubas już zewnątrz nie wzbudza sympatii, choć jest po prostu gorliwym pracownikiem o mentalności całkowicie ukształtowanej przez profesję. Skoro w każdym widzi potencjalnego przestępcę, to los byłego przestępcy w jego rękach przedstawia się zupełnie fatalnie. W momencie wyjścia Maxa na wolność zaczyna działać odwieczny mechanizm policyjno-urzędniczy. Gorliwość zawodowa policjanta mierzone jest bowiem liczbą wykrytych przestępstw. To, czy wyrocznia te miały naprawdę miejsce, jest już sprawą mniej istotną. Liczy się aktywność ścigającego. Wówczas więc, gdy bohater znajduje pracę, zostaje zatrzymany za nie popełnione przestępstwo. Kiedy Frank — już po wyjaśnieniu sprawy — domaga się od Maxa wydania kolegi, grożąc mu powrotem do więzienia — pozostaje już tylko ucieczka w świat przestępczego podziemia. Droga do normalnego życia została ostatecznie zamknięta.

Nad losami bohatera „Zwolnienia warunkowego” zawisło więc groźne fatum, od którego nie ma odwołania. Wynika ono nie tyle z reguły systemu prawnego i penitencjarnego, ile z niewątpliwie absurdu symbolizacji pomiędzy prawem i bezprawiem. Symbolizacji, którą — przy zupełnie innej okazji — zarejestrował „Mroczek w „Policjantach”, gdzie ostatni przestępca jest dla policji jedyną szansą i ostatnią możliwością

FILM

uzasadnienia działalności. Stąd też — myśląc perspektywnie — walczyć z przestępczością trzeba tylko w pewnych granicach, a najrozsądniej — nim zabraknie prawdziwych przestępców, samemu ich fabrykować. W ostatnich ujęciach „Zwolnienia warunkowego” oglądamy fotografię Maxa Dembo z kartotek policyjnych — i wówczas okazuje się, że większość życia spędził on w więzieniach, że to właśnie instytucje prawa uczyniły z niego przestępcę. Dlatego trudno nawet podejrzewać policyjnego kuratora z filmu Grosbarda o jakąś szczególną złośliwość wobec Maxa. To tylko jego kolega po fachu z baśniowego serialu „Ulice San Francisco” stał w podobnej sytuacji na luksus dociekania prawdy.

Przełomowy moment filmu, w którym Max Dembo obezwładnia swojego urzędowego prześladowcę i przytwarza go własnymi kajdankami do metalowej siatki przy autostradzie, jest zarazem ostatnią chwilą pozwalającą na refleksję o naturze systemu, którego bohater „Warunkowego zwolnienia” jest produktem. Społeczna diagnoza zastępuje niestety całkowicie podporządkowanie się wymogom kinowej sensacji.

Tragiczna sytuacja bohatera, w której każde rozwiązanie jest jednakowo błędne, zaczyna być prezentowana od strony wyda-

KSIAŻKA

Przed niespełną dwoma laty, w dniach 18-19 kwietnia 1978 r., odbyła się w Muzeum Historii Miasta Łodzi sesja naukowa poświęcona literaturze i językowi Łodzi. Sesję przygotował Instytut Filologii Polskiej Uniwersytetu Łódzkiego, patronowało jej Towarzystwo Przyjaciół Łodzi i gospodarz sesji — Muzeum Historii Miasta. Materiały z sesji naukowej opublikowano w następnym roku w niewielkim, bo wynoszącym zaledwie 300 egz. nakładzie, nie mogącym naturalnie zaspokoić rynku czytelniczego. Ponad stustronicowa książka nie znalazła się na półkach księgarskich, reszta nakładu rozprzeczona jest przez Dział Nauko-ko-Światowy i Wydawniczy Muzeum Historii Miasta Łodzi.

Mimo niedostępności książki warto przeczytać omówienie jej treści zawierające masywniejsze obszary informacji o literaturze i języku naszego miasta. Całości dzieła patronował prof. dr Zdzisław Skwarczynski, którego uczniowie — pracownicy nauki Instytutu Filologii Polskiej UL zaprezentowali podczas sesji interesujące referaty, stanowiące przedmiot niniejszego przeglądu. Wprawdzie prof. Skwarczynski nie wystąpił sam z referatem problemowym ograniczając się do konsultacji naukowej, to przecież w słowie wstępnym przerzucił pomost między dokonaniami, a zamierzeniami w zakresie wiedzy o łódzkiej literaturze i języku. On też, znakomity specjalista w różnych dziedzinach historii literatury polskiej, potrafił udowodnić, że wiele dokonań, ale też jak wiele jeszcze dokonać należy w badaniach regionalnych naszej aglomeracji miejskiej.

Szczególnie ważne, bo mające walor inspiracji twórczej, są uwagi o białych plamach w zakresie problematyki badawczej. Autor ucześciwie, z całą świadomością badacza, powiada: „słabo znamy, nie umiemy, nie wiemy”, gdy idzie o sprawy języka, literatury, pisanej, zjawisk asymilacyjnych i wzajemnego przenikania kultur różnorodnościowego w swej strukturze społeczeństwa miasta. Uszły uwadze pokoleń nazwiska twórców łódzkiej kultury, społeczników, literatów i dziennikarzy, nauczycieli i artystów dramatycznych. Niby iskry z popiołów odgrzebuje się dziś znikome resztki pamięci, z ocalałych resztek i rozprosz-

nych fragmentów buduje się wiedzę o kulturalnych tradycjach miasta. Przewodzi w tych badaniach Instytut Filologii Polskiej.

Podczas omawianej sesji historycy literatury przedstawili stan dotychczasowej wiedzy o najwcześniejszych tradycjach kulturalno-literackich. Granicę wytyczył tu rok 1918, rok odzyskania niepodległości. Językoznawcy, z oczywistych względów, poświęcili więcej uwagi współczesnemu językowi mieszkańców miasta, wykorzystując wyniki badań ankietowych. Jan Maczyński, na podstawie materiałów archiwalnych omówił nazwiska mieszkańców Łodzi rólnej od XV do pocz. XIX w., Maria Kamińska zajęła się polszczyzną najstarszego pokolenia łódzian, a Jolanta Kluszczyńska jest autorką pracy „Różnicowanie społeczne a różnicowanie językowe w wielkiej aglomeracji miejskiej na przykładzie Łodzi”.

DOKONANIA I ZAMIARY

W zakresie badań historyczno-literackich wystąpił Jerzy Tynecki z ambitną, pierwszą od czasów Ludwika Stolarzewicza, próbą syntetycznego opracowania stanu dotychczasowej wiedzy o literaturze Łodzi do 1918 roku. Autor dowiódł, że opublikowanie w ostatnich latach wielu cennych i odkrywczych prac szczegółowych i dokumentacyjnych rozszerzyło stan wiedzy o problematyce badawczej ale nie przekroczyło granic rozpoznania terenu i ogólnej znajomości zjawisk. Jeszcze nie czas na pełną syntezę wiedzy o kulturalnej przeszłości miasta. Nie stworzyła Łódź w przeszłości warunków do twórczej pracy literackiej, przed Reymontem żaden twórca o uznanej sławie nie podjął złożonej problematyki społecznej, tak charakterystycznej dla rozwijającego się dynamicznie miasta. Żal, że niewielu tylko autorów wymienionych przez Tyneckiego odnotowała rejestry „Nowego Korbuta”, zaś pierwsze utwory literackie o motywach łódzkich wyszły spod pióra trzeciorzędnego literata Wiktora Dziwniewskiego. Z tradycji XIX-wiecznej historiografii literackiej wywodzi się przypisywanie

niewzwyklej rangi dziełu, które nie rościł sobie pretensji do miana utworu literackiego. Myślę tu o „Opisie miasta Łodzi pod względem historycznym, statystycznym i przemysłowym” (1853) Oskara Flatta. Ta, wyrosła z romantycznych jeszcze tradycji malowniczych wędrówek po kraju, jakich wiele znamy w naszej literaturze, pierwsza praca o Łodzi z literaturą piękną nie ma nic wspólnego. Ale taka też była literatura o Łodzi, wypowiadająca się w wierszowanej rymowanki, publicystycznej notatce, artykule prasowym czy nieporadnej nowelce. Nielatwe zadanie antologisty, gdy przyjdzie mu zebrać prawdziwie dobre teksty literackie o Łodzi, nawet z nieodległych od teraźniejszości czasów. Lektura artykułu Jerzego Tyneckiego „Literatura Łodzi do 1918 roku” pobudza do refleksji i zadumy.

Ważne dla recepcji romantyzmu i literatury pozytywizmu w Łodzi są prace Barbary Golebiowskiej „Recepcja romantyzmu polskiego w Łodzi w latach 1905-1907” i Bogdana Mazana „Dygański w Łodzi”. Przykładem dobrej roboty jest komentarz do wybranych fragmentów „Kwiatów polskich” Tuwima zawarty w rozprawie Ryszarda Wierzbowskiego „Łódzkie realia „Kwiatów polskich”. Piszący te słowa, jako entuzjasta twórczości Tuwima ze zrozumiałą, ciekawością odczytywał tę część materiałów z sesji. Na szczególną uwagę zasługują erudycyjne przepisy, świadczące o znakomitym opanowaniu warsztatu naukowego autora. Ostatnio zapadła decyzja o wydaniu obszerniej, bodaj 17-tomowej, krytycznej edycji „Dzieł wszystkich” Tuwima. Jaka szkoda, że wydanie „Kwiatów polskich” zeszło z pola widzenia Wydawnictwa Łódzkiego, jak to dobrze, że praca Wierzbowskiego okazała się przydatna przy opracowaniu komentarzy do tego dygresyjnego poematu o jakże zaszczepionej treści.

Instytut przedstawił niewielki tylko wycinek swojej problematyki badawczej, ujawnił też niektóre swoje zamierzenia. Postępująca intensyfikacja prowadzonych badań wypełni zapewne wkrótce niektóre z owych białych plam wspomnianych przez autora „Słowa wstępu”.

ANDRZEJ KEMPA

Literatura i język Łodzi. Materiały z sesji naukowej w Muzeum Historii Miasta Łodzi zorganizowanej w dniach 18-19 kwietnia 1978 r. Red.: A. Szram, J. Weinberg, M. Kucner. Łódź 1978 (właśc. 1979) str. 116, nrb. cena 80 zł.

cowaniach brytyjskich dotyczących „Enigmy” udział ten stasano się pomniejszyć.

Książka Władysława Kozaczuka jest więc syntetyczną pracą prosta i wyjaśniającą wiele mylnych pojęć i półprawd dotyczących akcji „Enigma”, tłumaczy wiele nieodmówień i jasno określa wkład poszczególnych państw w rozwiązanie zagadki niemieckiej maszyny szyfrującej. Autor zastanawia się także nad rolą rozpoznań naukowo-technicznych w II wojnie światowej. Jako wprowadzenie do tej niezbyt znanej czytelnikowi problematyki technicznej traktuje Kozaczuk rozdział dający krótki skondensowany rys historyczny, wszelkich urządzeń szyfrujących przed „Enigmą”.

Władysław Kozaczuk „W kręgu Enigmy”, Książka i Wiedza, W-wa 1978, str. 393, cena 1 zł 60.

STO LAT SAMOTNOŚCI

Z wielką przyjemnością rekomenduję czytelnikom najciekawszą powieść Gabriela Garcíi Marqueza „Sto lat samotności”. Książka zawiera 100-letnią historię rodziny Buendíe i opisuje w wyimaginowanym miasteczku w Ameryce Południowej i opisuje wraz z historią rodziny jego dzieje od momentu założenia, aż do chwili upadku. Miasteczko oddzielone jest od świata górami i moczarami. Żyje własnym życiem z dala od cywilizacji osiągnięć naukowych. Jedynym kontaktem ze światem stanowi grupa Cyganów, którzy co rok przychodzą do Macondo, za każdym razem prezentując ludność nowy wynalazek (nowy dla mieszkańców Macondo, bo gdzie indziej znany już od dawna), raz jest to magnez, inny raz luneta, a kiedyś to nawet nie znany w tym klimacie lód. Miasteczko rządzi się swoimi prawami, moralnością i posiada swoją religię. Założycielem miasteczka są członkowie rodziny Buendíe. Uciekli oni ze swojej rodzinnej wsi przed klątwą rzucaną jako kara za małżeństwo zawarte między krewnymi. Uciekali przed klątwą, ale groźba jej ciążyła nad wszystkimi pokoleniami i wywarła swoje piętno na wszystkich. Buendíeowie najchętniej przebywali we własnym gronie, nierzadko byli miłoś-

do ciotki, siostry, kuzyna czy brata. Dzielne fatum powodowało, że nikt z tej rodziny nigdy nie był szczęśliwy. Wszystko co robili, nawet dla innych (brali udział w powstaniach, a niektórzy byli nawet przywódcami), pogłębiało tylko ich izolację i samotność. Klątwa rzucana przed sto laty zrealizowała się w ostatnim pokoleniu, już zdegenerowanym, zablakowanym w rozsypanych się miłości.

Książka wyjątkowo interesująca, przy całej swej wielowarstwowości i obfitości treściowej, posiada jeszcze jedną ogromną zaletę: prostotę i klarowność stylu.

Gabriel García Márquez „Sto lat samotności”, przekł. Grażyna Grudzińska i Kalina Wojciechowska, PIW, W-wa 1978, str. 352, cena 1 zł 60.

WSPÓŁCZEŚNI DRAMATOPISARZE POLSCY

Bardzo istotną lukę w naszym piśarstwie słownkowym, encyklopedycznym i leksykonograficznym dotyczącym najnowszej dramaturgii polskiej wypełnia pozycja Szczepana Gassowskiego „Współcześni dramatopisarze polscy”. Prezentuje ona sylwetki 37 dramatopisarzy polskich tworzących w latach 1946-1975. Książka ta w swoim założeniu ma służyć jako informator o dramaturgach i ich utworach bez żadnej krytycznej analizy, czy próby jakiegokolwiek wartościowania.

Istotną jest w niej także pewna innowacja wprowadzona przez autora, a mianowicie całość informacyjną poprzedza „Kronika”. Jest to rozdział traktujący szczegółowo o konkursach, festiwalach, programach, publikacjach prasowych dotyczących polskiej dramaturgii.

Całość niezwykle cenna i potrzebna. Szkoda tylko, że tak skromna jest liczba prezentowanych sylwetek. Zabrakło tam wielu nazwisk, które weszły już do historii dramaturgii polskiej. Ale jak każdy wybór rzadzi się ona swoimi kryteriami doboru, który nigdy nie może być absolutnie pełny.

Szczepan Gassowski „Współcześni dramatopisarze polscy”, WAiF, W-wa 1980, str. 332, cena 1 zł 70.



W KRĘGU „ENIGMY”

Książkę tę polecam naszym Czytelnikom przede wszystkim ze względów typowo poznawczych, chociaż nie jest ona pozbawiona wartości artystycznych, przynależnych do tego gatunku piśarstwa. Ale przede wszystkim jest to niemal dokumentalna relacja z całej długotrwałej operacji przeprowadzonej przez polski wywiad, uwięzionej sukcesem, a dotyczącej rozpracowania jeszcze w roku 1939 niemieckiej maszyny szyfrującej „Enigma” w którą wyposażone były wszystkie typy wojsk niemieckich.

Historia tej niebywałej w czasach II wojny światowej akcji jest żywym wytyczną i obfituje w wiele momentów zdawałoby się zwycięstw wytycznych z filmów szpiegowskich. Publikacje poświęcone jej zaczęły pojawiać się w prasie zachodniej w początkach lat siedemdziesiątych, ale istną ich lawinę wywołała książka byłego szefa francuskiego radiowywiadu, Gustawa Bertranda. W ślad za tą książką odczytywano się głosy z kanału La Manche, wnoszące do wiedzy o tej ważnej operacji wiele nowych momentów. W tym także czasie w Polsce również zaczęło się do sprawy interesować, ale głównie ze względu na rolę Polaków w tym niebywałym przedsięwzięciu, tym bardziej, że w opra-

Na Sycylii pupi sicilianie nierzucią swoją obecność nieustannie. Przyciągają uwagę nawet wówczas, gdy ktoś nie interesuje się folklorem, albo nie jest wrażliwy na piękno teatralnej lalki. Wypełniają witryny kiosków i sklepików z pamiątkami. Mimo staranności wykonania, nierzadko rozpoznaje w nich makietę pierwowzoru. Wprawdzie można także kupić prawdziwe pupi, przeznaczone do gry w teatr — o wysokości powyżej jednego metra — ale ceny tych lalek są astronomiczne. Zresztą pupi najlepiej się prezentują w swoim naturalnym środowisku — w teatrze lub w ostateczności w muzeum. Wykonane z drewna i odziane w szpizową zbroję, przypominają zamierzające czasy, z ich brawurą i kodeksem honorowym, który pozwalał odebrać przeciwnikowi wszystko z wyjątkiem dobrego imienia.

Pupi sicilianie są rodzajem marionetek na metalowych prętach. Grubszy, umocowany przy głowie, służy do prowadzenia całej lalki, cieńszy do prowadzenia drewnianej dłoni, zaciśniętej zazwyczaj na rękojeści miecza. Wyobrażają one paladynów Francji, tj. rycerzy Karola Wielkiego, walczących z Saracenami, lub też dokonujących wielkich czynów na drogach biednego rycerstwa. Oczywiście, są wśród nich i inne postaci: kobiety, Saraceni, olbrzymy, zwierzęta z życia i z baśni, lecz najważniejsi są oni — paladyni.

Pochodzenie lalek sycylijskich nie jest całkowicie wyjaśnione. Osiągnęły one popularność w ubiegłym stuleciu, znajdując wiernych widzów wśród sycylijskiego ludu. Wyrażały one pewne ogólne zainteresowanie Sycylijsków romantycznymi tematami rycerskimi, które tak szeroko wykorzystywała w XIX wieku opera włoska. Lud sycylijski wszakże nie tyle z przedstawięń operowych, co z popularnych druków, dla niego przeznaczonych, poznał dzieje Orlanda i pięknej Angieliki. Przystojność w ten sposób motyw przekształcił następnie we własnej twórczości.

To właśnie w XIX wieku dwukolowe, włoskie sycylijskie otrzymały malowane ornamenty w postaci scen rycerskich. To wówczas niezwykłym wzięciem cieszyły się występy narratorów, którzy swoje rycerskie opowiadania ilustrowali plótnami z odpowiednimi, historykami obrazkowymi (cartelli). To wówczas rozwinęły się teatry lalek sycylijskich, przy czym cartelli służyły im za plakaty.

Pupi wyrażają upodobania artystyczne ludu i jego naiwne marzenia o świecie męstwa i sprawiedliwości. Dzieje paladynów w interpretacji lalkarzy (pupari) stały się baśnią ludową o wzniosłości i niedogodności, o wierności i zdradzie, o miłości i śmierci.

Bohaterowie teatru sycylijskiego doświadczają emocji najgorętszych, a niebezpieczeństw najbardziej niebezpiecznych. Ich szlachetność zawsze sięga szczytów, a podłość wrogów — choć nie wszystkich — piekielnych otchłani.

Widzowie tego teatru byli równie naiwni jak twórcy przedstawień. Paladynów z drewna i blachy traktowali jak postaci autentyczne. Próbowali też sami oddziaływać na ich czyn i na ich losy. Czasem nawet wymierzali sprawiedliwość jak pewien wódz z miasteczka Gela, który zmusił przynajmniej teatru do odstąpienia mu marionetki Gano di Maganza, która zdradziła, obciążając gożardą wszystkich znawców dzieł paladynów. Będąc więc posiadaczem lalki najpierw naszkicował ją kuli i później powiesił na pobliskim drzewie. Kiedy jednak następnego wieczora zobaczył, że Gano di Maganza znowu się pojawił na scenie w postaci nowej lalki, podniósł wielki krzyk i zażądał usunięcia zdradcy ze sceny, ponieważ — jak tłumaczył — poprzedniego dnia sam własnoręcznie wykonał na nim wyrok śmierci.

W kronikach sycylijskich roi się wręcz od zapisów reakcji tego rodzaju. Są one jednak coraz rzadsze, na skutek naturalnych przemian — rozbięcia dawnych, zwartych społeczności miejskich, wpływu kultury masowej i rozwijającej się turystyki.

Turystyka, szczególnie po wojnie, wywarła znaczny

wpływ na sycylijski teatr lalek. Z jednej strony nastąpił exodus lalek, z drugiej zaś pupari dostosowywali swe programy do oczekiwań obcojęzycznej publiczności. Znikły patetyczne monolog i ekspresyjne dialogi. W ich miejsce wprowadzano coraz to nowe pojedynki rycerzy, tak że dawny teatr ludowy przekształcał się powoli w rewie popisów technicznych i szermierczych.

W chwili obecnej sytuacja uległa znacznej zmianie. Nie dlatego, by zanichano komercyjnej eksploatacji tematu — jak wspominałem pupi są jedną z głównych atrakcji pamiątkarskich — lecz ponieważ pojawił się nowy czynnik w rozwoju tego teatru — swowolny mecenat społeczny.

Przed kilkunastu laty w Palermo, znany chirurg, prof. Antonio Pasqualino, wraz ze swą małżonką Janne Vibaek, zwrócił uwagę na piękno lalek sycylijskich. I zaczęli je kupować od lalkarzy. Nie po to, by wywozić za granicę, lecz odwrotnie, by na stałe zachować na Sycylii. Kupowali przy tym pełne wyposażenia teatrów, częściowo już zapomnianych lub opuszczonych przez ich twórców. Wkrótce małżonkowie Pasqualino stali się najbardziej zasobnymi kolekcjonerami pupi.

I to był początek dwóch wielkich przedsięwzięć. Powołania stowarzyszenia Associazione per la Conservazione delle Tradizioni Popolari i utworzenia muzeum lalek teatralnych w Palermo. Władze miejskie, zdobyte dla całej sprawy, przeznaczyły na muzeum część okazałego Palazzo Fatta. Resztę dokonał Antonio

władze regionalne i agencje turystyczne. I to jest podstawą obecnego odrodzenia pupi sicilianie.

W grudniu ubiegłego roku uczestniczyłem w „Incontri d'Arte 1978”, zorganizowanych przez Autonomiczną Agencję Turystyczną w Messynie, a poświęconych właśnie lalkom sycylijskim. W ciągu sześciu dni wystąpiło sześć zespołów lalkarskich. Przedstawienia ujawniły wszystkie rządzące tym teatrem tendencje. Przedstawił trzy najbardziej, jak mi się zdaje, reprezentatywne.

„La morte di Agrigano” to jeden z bardziej znanych wariantów z dzieł paladynów. Zawiera on trzy epizody, poświęcone czynom Orlanda, Rinalda i Bradamante. Zamyka je śmierć Saracena Agrigano, który, dzięki szlachetności swego zwycięzcy Orlanda, umiera jako chrześcijanin. Temat ten przedstawił zarówno zespół Fratelli Napoli z Catalin jak i zespół Pino Mancuso z Palermo. Świetna okazja do porównań.

Zespół braci Napoli otrzymał w roku 1978 holenderską nagrodę Premium Erazmianum. Opromieniony sławą, każdym niejako przedstawieniem, dokumentuje na nowo prawo do tego rzadkiego wyróżnienia. I czyni to z powodzeniem. Napoli zachowują wszystkie właściwości ludowego teatru sycylijskiego, a przy tym dbają o pełną harmonię wszystkich środków. W rezultacie tego mamy wrażenie kontaktu z artystami doświadczonymi i świadomymi środków, których używają.

Teatr mają malowany. Podobnie jak kurtynę, na której

i walcie przyczynia się do zwycięstwa.

Następuje zmiana nastroju. Znowu Orlando i Angielika. Przedzierają się obok obozu Saracenów. Straż ponownie atakuje Orlanda. Rozpętuje się bitwa i tym razem wcale nie na żarty. Orlando ścina przeciwnikom głowy, które na prawdę spadają na scenę. Innych przepolawia wzdłuż lub w poprzek, co jak się okaże później w kulisach, jest pod względem technicznym sprawą nadzwyczaj prostą.

„La morte di Agrigano” to jeden z bardziej znanych wariantów z dzieł paladynów. Zawiera on trzy epizody, poświęcone czynom Orlanda, Rinalda i Bradamante. Zamyka je śmierć Saracena Agrigano, który, dzięki szlachetności swego zwycięzcy Orlanda, umiera jako chrześcijanin. Temat ten przedstawił zarówno zespół Fratelli Napoli z Catalin jak i zespół Pino Mancuso z Palermo. Świetna okazja do porównań.

Zespół braci Napoli otrzymał w roku 1978 holenderską nagrodę Premium Erazmianum. Opromieniony sławą, każdym niejako przedstawieniem, dokumentuje na nowo prawo do tego rzadkiego wyróżnienia. I czyni to z powodzeniem. Napoli zachowują wszystkie właściwości ludowego teatru sycylijskiego, a przy tym dbają o pełną harmonię wszystkich środków. W rezultacie tego mamy wrażenie kontaktu z artystami doświadczonymi i świadomymi środków, których używają.

Teatr mają malowany. Podobnie jak kurtynę, na której

ranicza to przestrzeń działania lalki, ale też bardziej ją konwencjonalizuje.

Lalki Mancuso są bardziej zmechanizowane, np. miecze mają schowane w pochwach, a jednak w odpowiedniej chwili potrafią je wydobyć. Nie potrafią ich tylko schować, więc po walce rzucają je na podłogę i ciągną za sobą po scenie.

Mancusowie uwzględniają wszystkie motywy scenariusza „Śmierć Agrigano”, lecz traktują je w sposób komiksowy.



Henryk Jurkowski

PUPI SICILIANI

Pasqualino i jego przyjaciele ze Stowarzyszenia Miłośników Tradycji Ludowej. Dziś muzeum jest ważnym ośrodkiem kulturalnym, skupiającym przyjaciół tradycji sycylijskiej, jak też wszystkich zainteresowanych teatrem lalek. Muzeum zresztą ma już charakter międzynarodowy.

Największe wrażenie robi kompletność zbiorów. W kilku dużych salach znajdują się w całości teatry dawnych pupari. Malowane frontony w sceny rycerskie, malowana kurtyna, malowane kulisy i proscenium, stanowiące tło dekoracyjne. I równocześnie pełny zestaw lalek około stu, a może i stu pięćdziesięciu postaci, których dość by było dla wystawienia pełnego cyklu dzieł paladynów i kilku innych przedstawień. Misteryjnych lub zbrojeckich, bo i takie sztuki były w repertuarze tych teatrów.

Rycerze w zbrojach z brązu i stali, pokrytych patyną czasu. Saraceni w strojach bardziej różnorodnych, w hełmach i turbanach. Sprzymierzeni z nimi Olbrzymi ze straszliwą bronią i dziłkami twarzami. Smoki i damy, będące przedmiotem miłości rycerzy niezależnie od ich wiary — w strojach z początków XIX wieku, inspirowanych przez obrazy Van Dycka.

Te kurtyny, zbroje, dekoracje i rekwizyty nie mają, oczywiście, nic wspólnego z epoką Karola Wielkiego, choć na nią przypadają wszystkie zdarzenia i przygody paladynów. W teatrze ludowym jednak chodzi nie o wąski historyzm rekwizytów, lecz o prawdy uniwersalne. Anachronizmy potwierdzają je raczej, podkreślając ponadczasowe funkcje tego teatru.

Antonio Pasqualino i jego żona stali się wybitnymi znawcami i mecenasami pupi sicilianie. Ludowi pupari traktują ich jako bliskich przyjaciół i darzą pełnym zaufaniem. Muzeum organizuje wystawy, wydaje różnego rodzaju publikacje, a nawet plakaty. A co bardzo ważne, organizuje spotkania teatrów sycylijskich.

Opieka nad ludowymi zespołami lalkarskimi, organizowanie lalkarskich spotkań, zresztą różnego rodzaju, jest prawdziwym nowum w życiu kulturalnym Włoch w ostatnich latach. Mają tu inicjatywę różne organizacje kulturalne, takie jak wspomniane Associazione, ale nie tylko. Wiele w tej dziedzinie robią

paladyn z dziewczyną na koniu, przedzierają się przez tłum Saracenów. Scena wyposażona jest w kulisy i perspektywy rozwijane z góry. Pupa prowadzi swoje lalki z pomostu, z góry, co pozwala im na swobodne opanowanie całej przestrzeni sceny. Napoli posiadają jedną pianolę — jak większość lutejszych teatrów — lecz korzystają z niej tylko na początku przedstawienia. W zasadzie muzykę odtwarzają z zapisu magnetycznego, posługując się kółkami fragmentów z utworów XIX-wiecznych.

Pierwszy obraz przedstawienia, zgodnie z tradycją, to prezentacja bohaterów. Paladyni wchodzi energicznie, wysuwają do przodu jedną nogę i tak stojąc w tej szermierczej postawie pozdrawiają obecnych. Potem ustawiają się jeden obok drugiego, ramię przy ramieniu, tarcza przy tarczy, tworząc żywą szpizową ścianę. Jest i Karol Wielki. Wyznacza zadania swym szlachetnym i możnym wasalom. Paladyni odchodzą, lecz przed zejściem ze sceny nie zapominają o wysunięciu nogi do przodu — postawa szermiercza jest dla nich sposobem bycia — konwencją sceniczną. W dalszej części sztuki odbędzie się analogiczna prezentacja wojowników strony przeciwniej.

Ciąg epizodów rozpoczyna Orlando. Spotyka się z ukochaną Angielką, w pobliżu obozu Saracenów. Słowa otuchy przerywają wartownicy, atakujący Orlanda. A więc walka. Przy każdym złożeniu lalkarce mocno tupią, a lalki kompaniują im mieczami. Ale jest to tylko zapowiedź przyszłych pojedynków i wszyscy znikają ze sceny.

Pojawia się Rinaldo i jego towarzysze Famiglio. Ten ostatni to postać komiczna, reprezentująca zaradność życiową Sycylijsczyków. Początkowo nie wie, gdzie mu się wcale, ponieważ Rinaldo traktuje go brutalnie. Famiglio niezwykle drobny w stosunku do słynnego rycerza zabijaki, lata niemal w powietrzu, wyrzucony tam siłą jego pięści. I niemal przypadkiem spada na zbliżającego się Olbrzyma. Zsuwa się po nim na ziemię, powoli dokonuje rozpoznania swej sytuacji i trafia w łapy tego ogromnego sprzymierzonego Saracenów. Nim jednak Olbrzym zdąży skrzywdzić małego blazna, z odsieczą wkracza Rinaldo. Rozpoczyna się straszliwa walka. Włącza się do niej Famiglio. Wspaniale skacząc, atakuje z powietrza Olbrzyma

Z kolei epizod Bradamante. Bradamante to rycerz białogłowa, co sygnalizują koronki wystające spod pancerza. Spiesząc na pomoc pasterzom ściska walkę z ogromnym smokiem, buchającym prawdziwym ogniem. Epizod ma początek i koniec w obrazie spokojnej natury, w nastrojowej muzyce, w patetycznym monologu Bradamante. Walka, która zakończyła ten spokój, jest koniecznością w imię dobra i sprawiedliwości.

Teraz następuje rozwiązanie epizodu Orlanda. By wypełnić swoje zadanie, musi on jeszcze poonać Agrigano — najdzielniejszego i najszlachetniejszego Saracena. Obaj rycerze walczą. Wykonują szermiercze piruety, demonstrują coraz to nowe sztuczki. Z ogromną siłą walą mieczami i tarczami. Wreszcie Orlando zyskuje przewagę. Uderzając mieczem zrywa zbroję z ramion przeciwnika. Jeszcze jedno uderzenie i biała koszula Agrigano płami krew. Widzimy jak jej plama powiększa się i jak Saracen pada na ziemię, aby oddać ostatnie tchnienie. Przedtem jednak Orlando, zdając przegraną go krzyżem świętym i to tak skutecznie, że poganin zyska łaskawość Nieba. Pojawia się prospekt z Duchem Świętym w postaci gołębki. Przy boku umierającego staje Anioł. Rozlega się muzyka. Ave Maria Gounoda kończy przedstawienie.

Wszystkie postacie mówią w sposób patetyczny. Są — zawsze — upożewane. Cały czas dzierżą w rękach przypisane im rekwizyty. Każdą akcję wojskową poprzedzają dialogi i często decyzyjną suwerena. Działania rycerskie są zróżnicowane i nigdy się nie powtarzają. Wszystkie one zmierzają do kulminacji, jaką jest pojedynek Orlanda i Agrigano. Naiwna wyobraźnia ludowa bez oporu podporządkowuje się żelaznym regułom kompozycji, służącej nadzwyczajnemu celowi, jakim jest ukazanie zwycięstwa słusznej sprawy.

Pino Mancuso z Palermo prowadził swój zespół również przy współpracy braci, a nawet bratanków. Reprezentuje on inną nieco tradycję, a także inne ambicje teatralne. Lalkarce z Palermo, choć na pozór ich teatry niewiele się różnią od teatrów z innych regionów, w inny sposób animują swoje lalki. Wprowadzają je na scenę z boku, od strony kulis — stojąc na podłodze i wspierając się na skórzanej „peli”, zwisającej z góry. Og-

Mniej dbają o motywację dramatyczną, bardziej o efekt wizualny. Komicznego Famiglio zastępują tu dwie postaci. Ich rola sprowadza się do zapowiedzenia krótkiego komentarza w toku akcji, co czynią siedząc na stosie trupów.

W teatrze Mancuso jesteśmy świadkami niezliczonych pojedynków i niezwykłych jatek na scenie. Trup ściele się gęsto. A wrogowie paladynów umierają w sposób bardziej wyrafinowany. Nim lalka padnie w końcu na scenę, demonstruje nam wyrażające swe krwawe, pokiereszowane członki, krzycząc w niebogłosy. Być może w ten sposób jesteśmy bliżej epoki, lecz ten realizm średniowiecznej bitwy — nawet w ludowym wydaniu — przypisać może o sny prawdziwie koszmarnie. Znawcy sycylijscy twierdzą, że to rezultat pracy dla zagranicznych turystów, co jest bardzo możliwe. Kończąca scena jest także bardziej „efektowna” niż w teatrze Napoli.

Oto Agrigano pada na ziemię. Orlando rozbija mieczem skałę, z której wytryska źródła woda, i... chrzci swego szlachetnego przeciwnika. Na prospekt obraz Boga Ojca, malowany farbami fluorescencyjnymi. Pojawia się Anioł w pielgrzymim stroju krzyżowca i... rozsypuje kwiaty wokół zmarłego Agrigano. Muzyka.

Mimo tej pojedynkowej monotematyczności, a może ze względu na nią, Mancusowie czerpią z pracy lalkarskiej wiele radości. Wystarczy popatrzyć, jak na dwie godziny przed przedstawieniem siedzą w teatrze w skupieniu i ćwiczą szermiercze pas, jak ich dziesięcioletni synowie. Próbuje zapamiętać naśladować ciocię i stryjów, wzbudzając tym rozczulenie całej rodziny. Mniej czy bardziej teatralni, są Mancusowie autentycznymi pupari z Palermo.

Trzecia tendencja wśród lalkarzy sycylijskich to próba wzbogacenia repertuaru motywami z literatury światowej. Reprezentował ją zespół Fratelli Pasqualino z... Rzymu. To także tradycja. Sycylijscy opuszczają wyspę zabierając z sobą najcenniejsze pamiątki. W ten sposób pupi sicilianie trafiały w XIX wieku do Ameryki Północnej, obecnie zaś do Rzymu. Podstawą repertuaru tego teatru są sztuki jednego z braci Fortunato Pasqualino, znanego skądinąd pisarza. To jego pióra jest sztuka „Pinocchio na dworze

Karola Wielkiego”, grana z dużym powodzeniem. To on napisał „Don Kichota”, którego oglądałem na spotkaniach w Messynie.

Teatr braci Pasqualino niewiele się różni od innych teatrów sycylijskich. Tak sam fronton, takie same pupi. Może tylko prospekt malowany w sposób bardziej nowoczesny. Lalkarze tupią równie głośno, a miecze szczekają z równą siłą. Idea teatru jest jednak inna. Nie chodzi w nim bowiem o czyny paladynów i

zamkniętą w nich etykę, ale o konfrontację ich postaci z wielką tradycją literacką.

Oto głos niewidocznego narratora maluje nam epokę Cervantesa. Pojawiają się na scenie walczący rycerze, pojawiają się smoki i inne fantastyczne stworzy, a nawet sam Don Kichot prowadzi dialog ze stylizowaną trupią czaszką. Późniejsze sceny, w których Don Kichot atakuje drzewa, potwierdzają zarówno jego szaleństwo jak i szaleństwo jego epoki.

Don Kichot spotyka paladynów, ale nie są to prawdziwi paladyni. Są to przebrani dworacy, którzy pragną go ośmieszyć. Prowokują więc pojedynki o dobre imię Dulcinea, ale Don Kichot zwycięża. Fałszywi paladyni nie rezygnują jednak i nasyłają na Don Kichota rycerza Białego Księżyca. Don Kichot przegrywa. Teraz jednak bierze go w obronę Sancho Pansa, który przepędza przebranych dworaków. Rozpaczają też, kiedy Don Kichot umiera, wygłoszwszy przedtem długi monolog.

Przedstawienie braci Pasqualino honoruje w pełni konwencje teatru sycylijskiego. Większość bohaterów posiada rycerskie stroje, wszyscy zachowują konwencjonalne ruchy i gesty, niemal wszyscy uczestniczą w pojedynkach, choć (i tu odstępstwo) nikomu włos z głowy nie spada.

Autor sztuki zachował w zasadzie schemat akcji „Don Kichota”. Rozbudował tylko motyw przebranki, podjętą w celu skompromitowania bohatera. I to jest powód obecności paladynów. Niemniej robią oni wrażenie motywu wtrąconego bez większych racji dramatycznych. Ale sprzecznym jest to można łatwo wyjaśnić. Bracia Pasqualino chcą się utrzymać w kanonie teatru ludowego — zachowują więc typowe dlań postaci. Tak postępują artyści ludowi, a ich kompilacje bywają nawet bardziej zaskakujące.

Niemniej Fortunato Pasqualino jest uznanym pisarzem i to utrudnia przyjęcie jego literackich propozycji jako wyrazu konwencji prawdziwie ludowej. Oczywiście, publiczność sycylijska czy włoska nie podzieliłaby tej opinii. Wszyscy cieszą się — i słusznie — z tych prób wzbogacenia repertuaru pupi. Tylko w ten sposób ta piękna tradycja, licząca ponad sto pięćdziesiąt lat, może odzyskać siły twórcze i wyjść z zamkniętego kręgu folklorystycznych pamiątek.

PRZED 35 LATY

29 stycznia 1945 roku wyruszyliśmy z Bydgoszczy do Koronowa. 1 Dywizja maszerowała na front jako awangarda sił głównych 1 AWP. Za nami maszerowały: 4 Dywizja, 1 Brygada Kawalerii oraz armijne oddziały artylerii wojsk pancernych.

Marsz odbywał się podczas silnego mrozu i śnieży. Kolumny piechoty z nadmiernym wysiłkiem torowały sobie drogę przez zaśnieżone pola i lasy. Po południu rozszalała się burza śnieżna. Kolumny zmotoryzowane dywizji z trudem pokonywały śnieżne zasy na szosie. Używano do tego pojazdów gąsienicowych, dział pancernych lub czołgów. Resztkami benzyny dojeżdżaliśmy do Koronowa. Dowództwo dywizji zarządziło tankowanie tylko wybranych wozów. Reszta miała pozostać w miejscu i czekać na nadejście transportu z materiałami pędnymi.

Rano, 30 stycznia, do Sepolna Krajańskiego wyruszyły tylko samochody dowództwa i sztabu dywizji, nieznaczna część samochodów transportowych z zaopatrzeniem, połowa wozów bojowych z 1 sam. dywizjonu artylerii pancernej i jeden dywizjon z 1 pułku artylerii lekkiej. Po wielu godzinach wyczerpującego i powolnego marszu po zaśnieżonej i zatłoczonej szosie, w zawiei śnieżnej z trudem dotarliśmy na miejsce.

Dowództwo dywizji oraz czołowe kolumny zmotoryzowane pozostały w Sepólnie Krajańskim. Jednostki zmotoryzowane 4 Dywizji zatrzymały się w rejonie Węchorka, a oddziały armii stanęły w rejonie Lutowa. Zatrzymały się wszystkie jednostki zmotoryzowane 1 Armii WP. Armia zamarała w bezruchu. Brakowało paliwa. Do przodu posuwały się tylko oddziały piechoty z lekką artylerią.

Wieczorem, 30 stycznia, 11 pułk piechoty 4 Dywizji, maszerujący na czele lewego (południowego) zgrupowania, dotarł do Złotowa broniącego przez pododdział z 15 Dywizji SS „Lettland” składającej się z lotewskich faszystów. Do rana Polacy całkowicie opanowali miasto. Otwarto drogę dla sił głównych 4 Dywizji do natarcia w kierunku Jastrowia, położonego w prasie przełamania Wału Pomorskiego.

31 stycznia, na północ od Złotowa, 2 i 3 pułk piechoty 1 Dywizji rozbiły niemieckie ubezpieczenie bojowe w Kamieniu i Radwanicy. Pomyślnie dotarli do pasa przesłaniania Wału Pomorskiego, gdzie 2 batalion 3 pp z marszu opanował wieś Grudno i most na rzece Gwdzie, zdobył przyczółek na jej zachodnim brzegu. 3 kompania piechoty, licząca ok. 70 ludzi, pod dowództwem ppor. Alfreda Sofki wyruszyła lasem na zachód w kierunku wsi Podgaje. Trafila tam pod silny ostrzał nieprzyjaciela. Rozpoczęła się zacięta walka.

Inne kompanie 2 batalionu, związane walką o utrzymanie przyczółka na zachodnim brzegu Gwdy, nie mogły przyjechać z pomocą. Osamotniona 4 kompania broniła się, osaczona przez esesmanów. Wyczerpała się amunicja. Część kompanii zdołała się wycofać. 32 żołnierze polskich dostało się do niewoli. Powiązano im ręce drutem kolczastym i zamknięto w stodołę, która następnie została podpalona przez faszystów lotewskich. Ppor. Jan Frusala zdołał wydostać się z pionącej stodoły i uciec. Pozostali żołnierze polscy spłoneli żywcem.

Jeszcze tego dnia 3 pułk piechoty przeprawił się na zachodni brzeg Gwdy i poszerzył przyczółek. Nie mógł jednak zdobyć wsi Podgaje z powodu braku wsparcia czołgów i artylerii. Przed zmierzchem, czołowe pododdziały 2 pułku rozpoczęły przeprawę przez rzekę i powolne natarcie w kierunku szosy łączącej Podgaje z Jastrowiem.

2 lutego 1945 roku rozpoczął się atak na Jastrowie. Około północy miasto zostało zdobyte. Siły główne 15 Dywizji SS „Lettland” stopniowo wycofywały się szosą wiodącą na Podgaje. Kolejne ich fale uderzały więc w otwarte skrzydła oddziałów 1 DP walczących w rejonie tej wsi. Przez dwa dni i noc, na otwartym polu, w śniegu i mrozie, dookoła Podgajów trwała zawięta walka z wycofującymi się jednostkami nieprzyjaciela. Kończąc walkę bohaterstwo walczących wrogiem bez wsparcia artylerii. Dzielnie pomagał im jeden czołg radziecki, który przypadkowo trafił na pole walki. Dopiero, kiedy nadjechały pułkowe baterie moździerzy 120 mm oraz dywizyjne z 1 armijnego pułku i 1 Brygady Artylerii Ciężkiej można było pod osłoną skutecznego ognia artylerii, rozpocząć atak. Oddziały 1 i 3 pułku piechoty opanowały Podgaje. A 2 pp rozpoczął natarcie na Svoniewo.

Po południu, 6 lutego, sztab naszej dywizji, posuwając się na zachód za nacierającymi pułkami piechoty, dotarł do Svoniewa. Spotkali tam radzieckie oddziały kawalerii z 4 Dywizji 2 Korpusu Kawalerii Gwardii. Z braku amunicji gwardzistów zatrzymali się, czekając na nadejście sił głównych swego korpusu. Z odsierza przysłał im oddziały polskie z 6 DP. 18 pułk piechoty natomiast wyzwolił obóz niemiecki — oflag Gross Born — położony nieopodal Kłomina. W obozie tym przebywało w niewoli około 6000 oficerów różnych narodowości, a wśród nich prawie 1200 oficerów polskich.

Nocą z 5 na 6 lutego 1945 r. zastępca dowódcy 1 Armii WP, generał Marek Karakaz, przystąpił do opracowania planu wprowadzenia 1 Dywizji do bitwy w kierunku głównej pozycji Wału Pomorskiego. Przed południem, 6 lutego, po silnym artyleryjskim przygotowaniu ataku, piechota polska — wsparta czołgami i działami pancernymi — ruszyła do szturmowania betonowej schrony. Na lewym skrzydle przełamała główną pozycję Wału Pomorskiego i przekroczyła szosę Wałecz-Czaplinek, w rejonie leśniczówki Jeleń. 1 i 2 pp 1 Dywizji pomyślnie dotarli do szosy na odcinku między Ilowcem a Rudkami. Na prawym zaś skrzydle oddziały 6 Dywizji zdobyły Nadarzyce i posunęły się około 3 km na zachód w głąb lasu, oślaniając natarcie 1 i 4 DP.

Po południu niemiecki pododdział szturmowy „Behrwalde”, składający się z elewów szkoły podoficerskiej, ruszył do kontrataku na 16 pułk piechoty. Pododdziały 16 pułku zaczęły wycofywać się pod naporem nieprzyjaciela. Na pomoc wycofującym się żołnierzom ruszyły dwie kompanie czołgów. Ale elewi z determinacją posuwali się do przodu wykorzystując nierówności terenu i zarośla. Zdecydowałem się wtedy na ryzykowne i niebezpieczne uderzenie siłami 1 samodzielnego dywizjonu artylerii pancernej. Dział pancerny SU-76 z desantem fizylierów na pełnym gazie parły do przodu trącąc i rażąc nieprzyjaciela. W wielu miejscach doszło do bezpośredniej walki z użyciem granatów i pistoletów maszynowych. Do pościgu włączyli się czołgiści i piechota. Przełamano główną pozycję Wału Pomorskiego w pasie natarcia 1 Dywizji piechoty.

8 lutego 1945 roku, sytuacja na froncie uległa zmianie. W rejonie Stargardu, Bani i Pyrzyce nieprzyjaciel zaczął gromadzić siły uderzeniowe do przeciwnatarcia na prawe skrzydło wojsk frontu. Marszałek, Georgij Żukow, rozkazał 1 Armii WP niezwłocznie wykonać uderzenie

w kierunku Mirosławca, aby zagrozić drogę wschodniemu skrzydłu niemieckiego zgrupowania uderzeniowego. Zastępca dowódcy armii, generał Marek Karakaz, który faktycznie kierował wojskami walczącymi na froncie, zdecydował uderzyć na Mirosławiec siłami 1 i 2 Dywizji wzmocnionych całością wojsk pancernych armii oraz trzema brygadami artylerii armijnej i dwoma batalionami saperów. Natomiast 3 i 6 Dywizja miały oślaniać prawe (północne) skrzydło zgrupowania uderzeniowego armii, a 4 Dywizja — lewe skrzydło.

Wieczorem, 9 lutego, polskie zgrupowanie uderzeniowe opanowało Mirosławiec. 4 Dywizja opanowała Lubno, przecięła szosę Wałecz — Mirosławiec i wspólnie z radzieckimi oddziałami z 47 Armii przystąpiła do blokady Wałcza od zachodu.

Po przełamaniu Wału Pomorskiego i opanowaniu Mirosławca marszałek Georgij Żukow, pragnąc przyspieszyć wyzwolenie Pomorza Zachodniego, rozkazał 1 Armii WP kontynuować natarcie w dotychczasowym pasie działań zaczepnych w celu opanowania rubieży: Czochryń, Dobrzyca, Świerczyna, Borujsko i Orla. Ale kilkakrotnie podejmowane ataki naszych wojsk nie przynosiły pożądanego skutku.

16 lutego, generał Wojciech Bewziuk, pomagany przez dowódcę armii, gen. Stanisława Popławskiego, podjął kolejną próbę natarcia na Orlą wspólnymi siłami 1 i 2 pułku piechoty. Ale też bez skutku. W tej sytuacji sztab armii rozpoczął przygotowania planu kolejnej operacji. Po południu, 17 lutego, w krytycznym momencie gorączkowej pracy, w wyniku podstępnej strzelaniny, straciłem dwóch pomocników oraz kilku podoficerów i szeregowców. Sam ocalałem. Nie drasnęła mnie żadna kula.

Następnego dnia, w południe, na skwerku przy budynku szkolnym na głównej ulicy Mirosławca, skromnie, ale uroczysto pochowaliśmy kpt. Adama Iwanickiego i por. Stanisława Rożka oraz st. ogn. Marcinkowskiego i kpr. Nowaka. Po pogrzebie wróciliśmy do pracy. Kpt. Iwanickiego zastąpił por. Mieczysław Stalewski z 1 pal. por. Rożka — ppor. Landerberg, a jego — chor. Czesław Berman z artylerii pułkowej. Sztab w pełnym składzie znów kontynuował normalną pracę, przygotowując artylerię do natarcia, które miało się rozpocząć nazajutrz rano. Ale i to natarcie nie przyniosło rezultatu.

Od 20 lutego 1945 roku dywizje polskie i radzieckie przeszły do stabilnej obrony. Zadania o charakterze wiążącym zostały już wykonane. Natomiast przeciwnatarcie niemieckiej Grupy Armii „Wisła” w rejonie Stargardu Szczecińskiego zostało faktycznie zatrzymane i odrzucone. W drugiej połowie lutego dowództwo 1 Frontu Białoruskiego ostatecznie zrezygnowało też z uderzenia na Berlin. Zgodnie z dyrektywą Naczelnego Dowództwa Radzieckiego rozpoczęło ono przygotowania do wielkiej wiosennej operacji pomorskiej, w której miała wziąć udział i nasza 1 Armia WP, nacierając na prawym skrzydle frontu. Rozpoczęliśmy systematyczne i gruntowne przygotowania artylerii dywizji do przyszłego natarcia w kierunku północno-zachodnim na Drawsko Pomorskie.

Rano, 1 marca, rozpoczęło działanie lotnictwo radzieckie i polskie. O godzinie 8.30 nad naszymi głowami przewalił się przeraźliwy huk salwy tysięcy dział i moździerzy. Nad niemiecką obroną zakotłowało się. O godzinie 9.00 wszystkie pododdziały pułków piechoty pierwszego rzutu zgrupowania uderzeniowego 1 Armii WP ruszyły do ataku. Nacierający na prawym skrzydle 14 pułk z 6 Dywizji Piechoty rozpoczął uporczywy szturm południowych stoków Smolnych Gór i po ciężkich walkach opanował częściowo linię wysuniętych punktów ogniowych nieprzyjaciela. Dalsze natarcie uniemożliwił morderczy ogień karabinów maszynowych umieszczonych w schronach bojowych położonych bliżej grzbietów łańcucha wzgórz.

5 i 6 pułk piechoty zaatakowały silne węzły obrony nieprzyjaciela w Zabini i Borujsku. Każdy metr otwartego terenu pokonywano z wielkim trudem. Dopiero wieczorem czołowe pododdziały 6 pułku piechoty wdarły się do południowej części Zabina.

5 pułk piechoty, nacierając na Borujsk od wschodu, musiał pokonać rozległy jar ostrzeliwany ogniem skrzydłowym. Poranne ataki nie przyniosły powodzenia. Dowódca 2 Dywizji, generał Jan Rotkiewicz, wprowadził do walki o Borujsko 4 pułk piechoty oraz kolejny batalion czołgów i batalion piechoty zmotoryzowanej z 1 Brygady Pancerniej. W godzinach wieczornych kilka czołgów z desantem fizylierów wdarło się do Borujska. Równocześnie uderzył pułk ulanów z 1 Brygady Kawalerii. Zdecydowana i niespodziewana, historyczna szarża ulanów zaskoczyła wroga i zdecydowała o

zdobyciu Borujska wspólnymi siłami dwóch pułków piechoty, pułku ulanów i brygady pancerniej.

Na południe od Borujska, pułk piechoty 1 Dywizji włamał się do przedniego skraju obrony nieprzyjaciela i przez cały dzień powoli nacierali przez gęsty las na wieś Orla. Do wieczora zdołali się jednak posunąć tylko o kilkaset metrów. Z nadejściem nocy natarcie zostało zatrzymane.

Prawy sąsiad 1 Armii WP — 2 radziecki Korpus Kawalerii, wieczorem 1 marca zdołał przełamać obronę niemiecką na głębokość 10—15 km i wyjść na zachód od Szczecinka. Oddziały kawalerii radzieckiej oskrzydliły od wschodu jednostki niemieckie z nowo sformowanej zbiorczej Dywizji „Bérwalde” i 163 Dywizji Piechoty.

Lewy sąsiad — 3 Armia Uderzeniowa pomyślnie przełamała główną pozycję obrony niemieckiej na wschód od miasta Recz i rozwinęła natarcie w kierunku północnym. Działania zaczepne 79 Korpusu tej armii wspierała ogniem 2 Dywizja Artylerii WP, dowodzona przez generała Borysa Nesterowicza. Aby rozwinąć powodzenie na tym kierunku, po południu 1 marca marszałek Żukow wprowadził do bitwy 1 Armii Pancerną Gwardię, która do końca dnia włamała się na głębokość 15—25 km w obronę niemiecką i zdobyła Mieino Stargardzkie. Broniący się przed nami nieprzyjacieli został oskrzydłony również i od zachodu.

2 marca, po krótkim, lecz silnym przygotowaniu artyleryjskim, polskie oddziały wznowiły natarcie. 2 Dywizja Piechoty, wspierana przez kilkanaście czołgów i dział pancernych opanowała Zabini. Następnie rozpoczęła natarcie w kierunku Zabinka i stacji kolejowej Wierzychowo.

Od rana 3 marca zwiększyło się tempo natarcia oddziałów polskich. Dowódca 3 Dywizji Piechoty, płk Stanisław Zajkowski, zorganizował oddział pościgowy, który po pokonaniu odległości 10 km, o godz. 13.30 wdarł się do Czaplinki. Oddziały 6 Dywizji opanowały wieś Wierzychowo i też rozwinęły pościg za nieprzyjacielem.

Sukces uzyskany 3 marca przez wszystkie oddziały 1 Armii WP stworzył warunki do przyspieszenia tempa natarcia. Powstała możliwość okrążenia wojsk niemieckich wycofujących się na północ.

4 i 5 marca, w wyniku działań pościgowych, czołowe oddziały polskie posunęły się o 20—40 km na północ i osiągnęły rubież: Polczyn Zdrój, Redo, Ostrowiec i Rdzewo, położone ok. 20 km na południe Swidwina zdobytego już przez żołnierzy radzieckich. Z marszu opanowano silne węzły obrony: Siemczyno, Złocieniec i Drawsko, które, wraz z wiążącymi je jeziorami Drawsko i Wilczkowo oraz rzeką Drawą, miały stanowić zapórę zamykającą drogę naszej armii na północ. Radziecki 2 Korpus Kawalerii Gwardii wyszedł daleko na północ od Polczyna Zdroju. Nacierające zaś na wschód od niego wojska 3 Korpusu Pancernego i 19 Armii Frontu Białoruskiego opanowały Miastko, Polanów i Koszalin, a ich czołowe oddziały wyszły na brzeg morza Bałtyckiego. W wyniku tego niemiecka grupa Armii „Wisła” została rozcięta na dwie części. Na wschodzie 2 niemiecka Armia Polowa, całkowicie odcięta od zaplecza lądowego, rozpoczęła odwrót ku Zatoce Gdańskiej, aby móc korzystać z morskich szlaków ewakuacji.

Na zachód od Koszalina, 3 niemiecka Armia Pancerna została przyparta do morza i rozbita na kilka części oraz odcięta od zaplecza lądowego uderzeniem wojsk 2 Armii Pancerniej Gwardii, która dotarła już na przedpola Kamienia Pomorskiego, Wolina i Goleniowa. Tymczasem oddziały radzieckie z 61 Armii zdobyły Stargard Szczeciński i nacierali w kierunku Nowogardu i północnego skraju jeziora Miedwie, szczerze zamykając drogę Niemcom do odwrotu w kierunku zachodnim. Natomiast południowo-wschodnią część przypartą do morza armii niemieckiej, składającą się z 10 Korpusu SS i Dywizji „Bérwalde” została okrążona w rejonie na południe od Swidwina. Jednostki 1 Armii WP zamykały front okrążenia od wschodu i południa. 7 Korpus Piechoty 3 Armii Uderzeniowej od zachodu, oddziały zaś 1 Armii Pancerniej Gwardii — od północy.

Powstały przez to warunki do rozpoczęcia ostatecznego rozgromienia wojsk hitlerowskich na Pomorzu. Zgodnie z dyrektywą Naczelnego Dowództwa Armii Radzieckiej 2 Front Białoruski całkowicie zmienił kierunek natarcia z północno-zachodniego na wschodni. Wojska tego frontu, wzmocnione 1 Armia Pancerną Gwardię i 1 polską Brygadą Pancerną, rozpoczęły 8 marca główne uderzenie z rejonu Koszalina na Gdynię i Gdańsk, a 1 Front Białoruski kontynuował działania zaczepne w celu oczyszczenia reszty obszaru Pomorza Zachodniego od rozbitych wojsk niemieckich.

LEON
DUBICKI

BITWA

O POMORZE ZACHODNIE



Foto: Archiwum

Zastępca ministra obrony USA do spraw politycznych, Robert Comer, oskarżył rządy krajów zachodnioeuropejskich o brak aktywności w umacnianiu obrony Zachodu. W wystąpieniu na konferencji specjalistów wojskowych i politycznych w sprawie bezpieczeństwa europejskiego, Comer podkreślił, iż zdaniem Stanów Zjednoczonych sojusznicy USA nie wykazują gotowości do poparcia amerykańskich wysiłków w Europie i w strefie Zatoki Perskiej. Poirytowany Comer powiedział także, że „jeśli Stany Zjednoczone będą się przeobrażać, a znaczna część Zachodniej Europy tego nie robi, to wynikną drastyczne rozbieżności między Zachodnią Europą a Ameryką, które mogą rozsadzić partnerstwo, zapewniające Sojuszowi Atlantykemu potencjał powstrzymywania”.

Istotnie, ostatnio szczególnie wyraźnie zarysowały się sprzeczności między USA a niektórymi wiodącymi zachodnioeuropejskimi sojusznikami Stanów Zjednoczonych. Przede wszystkim Francja ma na amerykańską „dyplomację spektaklu” własny pogląd. Paryż nie zamierza paść ofiarą amerykańskiej globalnej strategii i angielskich interesów, nie zamierza przekreślić piętnastu lat wysiłków, których owocem jest nawiązanie na kontynencie europejskim handlowych i kulturalnych kontaktów między Wschodem i Zachodem. W stolicy Francji uważa się, że nie można rozsądzać odprężenia w Europie, wywołując reakcje na konflikt w Trzecim Świecie. Jest interesujące, że nawet komentator brytyjskiego dziennika „The Guardian” podzielił punkt widzenia Francji i obok tego podkreśla, że, zarówno w Paryżu, jak i w Bonn, a nawet w Londynie, rośnie zaniepokojenie, co może przynieść rok amerykańskich wyborów nie tylko w planie zagrożenia całemu światu, lecz także w planie zatargów wewnątrzpolitycznych.

Tylko rząd M. Thatcher podporządkował się szybko i bezwarunkowo-

sierną oddziaływania Sojuszu Atlantyckiego poza granice Europy. I tak samo nie od wczoraj pojawiła się tendencja stawiania na przesławną „kartę chińską”, do czego zresztą publicznie zachęcają przywódcy Chin. Decyzję stworzenia „korpusu błyskawicznego działania”, także podjęto na długo przed tzw. sprawą afgańską. Podjęto ją wcale nie dlatego, żeby móc się przeciwstawić zagrożeniu z zewnątrz, jak się dziś o tym trąbi na wszystkie strony świata, a wprost przeciwnie w celu zdławienia dążeń narodów szeregu krajów do przemian socjalnych i ekonomicznych, poczynając od tych państw, które, w mniejszym lub większym stopniu, kontrolują bliskowschodnią naftę. W „doktrynie Cartera” ów plan był tylko oficjalnie sformułowany, zresztą w sposób dwuznaczny i niebezpieczny.

„Rejon Zatoki Perskiej” — sformułowanie samo w sobie bardzo nieprecyzyjne — przedstawiono „jako strefę „ważną życiowo dla interesów Stanów Zjednoczonych i dlatego też zamierza się sięgnąć nawet do użycia sił zbrojnych w wypadku zagrożenia z zewnątrz”. Właśnie: „z zewnątrz”? Kilka godzin po wystąpieniu J. Cartera, jeden z jego bliskich współpracowników pospieszył z oświadczeniem, że ta zasada obejmuje także „wewnętrzne akcje dywersyjne”. No cóż, takie sformułowanie można rozciągać jak gumę do żucia. Trzeba pamiętać, że tego rodzaju plany opracowywano już w przeszłości, także podczas kryzysów wywołanych okresowo powtarzającymi się zrywkami cen za naftę i że zaledwie parę miesięcy temu przebiegiwano o „zastosowaniu akcji” wobec Iranu. Widać z tego do czego może doprowadzić „proklamowanie” takiej „doktryny”.

Teraz jeśli chodzi o problem ratyfikacji „SALT 2”. Pamięamy doskonale, jaki sprzeciw wzbudziło to porozumienie w Waszyngtonie zaraz od momentu jego podpisania. Teraz usilne starania zacieklej przeciw-

Na przedwyborczym spotkaniu Edwarda Gierka w Sosnowcu raz jeszcze obszernie wystąpiła tematyka międzynarodowa. Jest to zrozumiałe, jeśli zważyć, że w ostatnim okresie zarysował się niebezpieczny wzrost napięcia, co wymaga przeciwdziałania i stworzenia takich warunków, aby lata osiemdziesiąte, podobnie jak siedemdziesiąte, niosły od-

rzędu dziennego europejskiej konferencji energetycznej kwestii zagwarantowania swobodnego dostępu do tej zatok dla wszystkich państw — sygnatariuszy Aktu Końcowego KBWE. Państwa te miałyby opracować gwarancję ze strony ONZ, które odnoszą się do suwerenności terytorialnej i niepodległości producentów ropy naftowej w rejonie

TYDZIEŃ W POLITYCE

prężenie i zapoczątkowały ograniczenie zbrojeń. Głos VIII Zjazdu Partii, ostrzegający przed zminnowojennym kursem i konsekwencjami wprowadzenia do Europy zachodniej nowych rodzajów broni, odbił się szerokim echem w świecie. I sekretarz KC PZPR powtórzył, że stolmy naład na stanowisku, że odprężenie polityczne powinno być uzupełnione militarnym.

„Powodowani troską o losy Europy wysunęliśmy inicjatywę zwolania w Warszawie, zaproszowanej wspólnie przez państwa Układu Warszawskiego, konferencji w sprawie odprężenia militarnego i rozbrojenia w Europie. Czyniąc to w obecnym trudnym okresie daliśmy wyraz niezmienną woli kontynuowania polityki odprężenia. Jesteśmy przekonani, że przeprowadzenie takiej konferencji mogłoby doprowadzić do obniżenia poziomu konfrontacji militarnej w Europie, do pozytywnego zwrotu w sytuacji międzynarodowej”.

Sosnowieckie przemówienie Edwarda Gierka natychmiast odnotowane zostało uważnie przez agencje prasowe i spotkało się z licznymi komentarzami. Dla racjonalnie myślących jest oczywiste, że kryzys odprężenia nie zaczął się wydarzeniami afgańskimi, lecz znacznie wcześniej, wtedy, gdy państwa zachodniej Europy dały się zmusić Stanom Zjednoczonym do automatycznego corocznego wzrostu wydatków wojskowych i Waszyngton usilnie zaczął poszukiwać nowych baz na Oceanie Indyjskim. Droga do obecnych powłok prowadziła przez trudne decyzje NATO i formowanie amerykańskich oddziałów „szybkiego reagowania”. Sytuacja międzynarodowa nie komplikowała się, więc narastała od czasu, kiedy Stany Zjednoczone postanowiły uzyskać przewagę militarną i w tym celu równocześnie przyspieszały zbrojenia i utrudniały rokowania rozbrojenia. Cofnięcie szybko narosłych napięć może przeto nastąpić — głównie przez podjęcie skutecznego dialogu na temat najistotniejszego problemu współczesnego świata: rozbrojenia. Stąd nasza inicjatywa i stwierdzenie, że przeprowadzenie konferencji mogłoby przyczynić się do „pozytywnego zwrotu w sytuacji międzynarodowej”. Raz jeszcze wypada bowiem powiedzieć, że dla pokoju w naszych czasach nie ma alternatywy.

Z ostatnich dni zwrócić uwagę na komentarz agencji TASS, poświęcony m.in. problemowi bezpieczeństwa szlaków naftowych w rejonie Zatoki Perskiej. Wiele agencji zachodnich wyluskało z niego zainteresowanie ZSRR włączeniem do po-

środkowego Wschodu. Komentarze zachodnie rozciągają, że gwarancje również na Afganistan. Jednocześnie zauważa się ponad półgodzinną rozmowę ambasadora radzieckiego w USA — Dobrynina z sekretarzem Stanu — C. Vancem.

Przenieśmy się teraz na kontynent afrykański, aby odnotować nieoczekiwany przez W. Brytanję wynik wyborów do parlamentu rodezyjskiego. Otóż absolutną przewagę uzyskał Robert Mugabe i jego partia — Afrykański Związek Narodowy Zimbabwe. Aby wyjaśnić dlaczego ten fakt jest wydarzeniem, o którym się szeroko mówi, trzeba powiedzieć kim jest Robert Mugabe.

Z zawodu nauczyciel, wiele lat

wieziony za działalność polityczną, jest Mugabe organizatorem partyzanckim, która na obszarze Rodezji walczyła z wojskiem białego reżimu. Na terenach wyzwolonych organizował on ludność, zakładał wspólne gospodarstwa rolne i szkoły, stworzył sieć opieki zdrowotnej. Jest najbardziej postępowym z czarnych polityków i dlatego stawka Londynu nie łączyła się z jego osobą. Spodziewano się sukcesu wyborczego któregoś z bardziej umiarkowanych działaczy i powstania koalicyjnego rządu mniej radykalnego. Stało się inaczej i perspektywnie dla państwa Zimbabwe-Rodezji, a niedługo już po prostu Zimbabwe, może to mieć duże znaczenie.

Desygnowany na premiera swój program sprowadził do: nacjonalizacji za odszkodowaniem ziem niewłaściwie wykorzystanych lub też obszarów mieszkających poza krajem, stopniowej modyfikacji kapitalistycznej gospodarki, niezaangażowania (równego dystansu do obu bloków) w polityce zagranicznej oraz pozostania jego kraju członkiem Commonwealthu. — Będziemy — powiedział — zabiegać o przyłączenie zarówno wśród krajów NATO, jak i Układu Warszawskiego.

Zwycięstwo wyborcze Mugabe przyjęte zostało z dużym zadowoleniem w krajach afrykańskich.

W. ŚLAWSKI

NIEBEZPIECZNA „STRATEGIA”

wo nowej linii amerykańskiej polityki zagranicznej, co wywołało krytykę zarówno w Wielkiej Brytanii, jak i w innych krajach zachodnioeuropejskich. Byłoby jednak uproszczeniem interpretować obecną działalność rządu brytyjskiego li tylko zdyscyplinowaniem wobec USA. Londyn próbował — wykorzystując obecny kryzys — wystąpić na scenie świata w zauważalnej roli: po ośmiu latach nieobecności brytyjską flagę znów wciągnięto na maszt na „wschód od Suez”, to jest w Rodezji.

Na Zachodzie, a głównie w Paryżu, wyraża się poważne wątpliwości co do polityki konfrontacji ze Związkiem Radzieckim, jaką prowadzi prezydent Carter. Europejczycy na Zachodzie są zaniepokojeni „chronicznymi amerykańskimi ekscesami” — takie ułarło się tam określenie — wobec ZSRR i nie chcą uczestniczyć w wyborach prezydenckich w USA... W zachodnioeuropejskich stolicach przeważa pogląd, że „prezydent Carter podgrzewa kryzys afgański częściowo z przyczyn wewnętrzniepolitycznych, a częściowo z konieczności przygotowania amerykańskiej opinii publicznej do zwiększenia wydatków wojskowych”.

W dyskusji, która toczy się teraz na Zachodzie i w USA w związku ze wzrostem napięcia w sytuacji międzynarodowej, obok głosów nawołujących do „pochodu kryzysowego”, zaczynają torować sobie drogę trzeźwe opinie, że nie ma żadnych podstaw do przypuszczeń, żeby decyzje podjęte przez prezydenta Cartera, i popierane we wszystkich tonacjach w Kongresie USA, zostały spowodowane wydarzeniami w Afganistanie. „Nowy kurs” w zagranicznej polityce USA zrodził zupełnie inne przyczyny. „Unita”, organ KC WPK przypomina na przykład, że już w 1978 roku Stany Zjednoczone, mimo sprzeciwu niektórych zachodnioeuropejskich krajów, narzuciły w NATO decyzję o corocznym, automatycznym zwiększaniu wydatków na zbrojenia. Poszukiwania nowych baz na Oceanie Indyjskim i manewry amerykańskiej marynarki wojennej na wodach tego oceanu także rozpoczęły się na długo przed wydarzeniami w Afganistanie.

Te wszystkie działania podejmowały USA wbrew energicznemu wysiłkom ONZ i krajów tego rejonu, które w owym roku powinny podjąć ważne decyzje w sprawie demilitaryzacji tej strefy świata. Bynajmniej nie od dziś, a już od wielu lat, USA wywierają nacisk na kraje członkowskie NATO, żeby rozszerzyć

ników „SALT 2” zakończyły się „sukcesem”. Ale sama decyzja odłożenia ratyfikacji porozumienia na czas nieograniczony jest faktem najbardziej niepokojącym. O wiele bardziej niebezpieczne jest oświadczenie prezydenta Cartera, które nastąpiło w ślad za odłożeniem ratyfikacji porozumienia, mianowicie, że Stany Zjednoczone zamierzają za wszelką cenę dążyć do uzyskania przewagi militarnej w świecie.

W tym konkretnym wypadku chodzi o zaprzeczenie zasadzie, która pozwoliła na zawarcie porozumienia o ograniczeniu zbrojeń strategicznych, to jest zasadzie równego bezpieczeństwa. Zasadę tę zaaprobowali w podpisanych międzynarodowych dokumentach trzej prezydenci USA, w ich liczbie także prezydent J. Carter, kładąc swój podpis kilka miesięcy temu w Wiedniu pod tekstem Porozumienia o „SALT 2”.

Nowe wypowiedzi amerykańskiego prezydenta rzucają światło również na podjętą niedawno decyzję o rozmieszczeniu w Europie Zachodniej nowych rakiet z ładunkami jądrowymi i potwierdzają przypuszczenia zachodnich polityków, o czym zresztą już od dawna wiadano w naszym obozie, że celem tej decyzji nie jest odwołanie zachwianej równowagi militarnej, lecz po prostu dążenie do uzyskania przewagi wojskowej na kontynencie europejskim.

Prawdziwą przyczyną, poza kampanią przedwyborczą, zwrotu prezydenta Cartera o 180 stopni w polityce międzynarodowej jest kryzys w kraju i kryzys jego systemu stosunków międzynarodowych. Komentatorzy polityczni na Zachodzie zwracają uwagę, że kryzys ten znajduje również odbicie w stosunkach USA z sojusznikami. Oczywiście objawy kryzysu w stosunkach z sojusznikami Stanów Zjednoczonych mniej rzucają się w oczy, „ale kto uważnie śledzi wydarzenia na arenie międzynarodowej, czytamy m.in. w komentarzu „Unity”, dostrzeżać, iż źle ukrywany brak wzajemnego zaufania i nieujawniane sprzeczności, nie mówiąc już o konfliktach handlowych i finansowych, osiągały coraz większą skalę”.

Jak może nie urazić sojuszników USA fakt, że prezydent Carter ogłasza „za życiowo ważny dla amerykańskich interesów” rejon, który jest jeszcze ważniejszy życiowo dla Zachodniej Europy i Japonii, i na tej podstawie rości sobie prawo do interwencji nawet wtedy, kiedy jego sojusznicy mogą sobie tego nie życzyć. Kryzys irański pokazał, że nie jest to, bynajmniej abstrakcja...

JERZY CZECH



Pierre Elliott Trudeau na powrót został premierem Kanady. Porzucony przez żonę, Margaret dla szefa Rolling-Stonesów, Micka Jaggera, wychowuje trzech synów — Justina, Sasze i Michela. „Paris Match” skomentował: „Maż triumfuje, ona szuka pracy”.

POLONICA KULTURALNE

W jednej z największych galerii sztuki w Nowym Jorku otwarto wystawę 22 prac Franciszka Starowieyskiego, który ostatnio wykładł grafikę na uniwersytecie w Filadelfii, a następnie udał się do Berlina Zachodniego, gdzie poprowadził zajęcia w tamtejszej Akademii Sztuki Pięknych.

Z okazji 170 rocznicy urodzin Fryderyka Chopina, odbył się w Hawanie koncert poświęcony twórczości polskiego kompozytora w wykonaniu kubańskiego pianisty Silvie Rodriguez Cardenas; również radio kubańskie przygotowało cykl audycji związanych z tą rocznicą.

W Limie ukazał się tomik wierszy Józefa Ozgi-Michalskiego pt. „Rajskie osty”, po wyborze poezji Adama Mickiewicza i książkę „Polacy w Peru”, jest to trzecia polska pozycja wydana w tym kraju.

W nowojorskim klubie „Merix” dał trzy koncerty polski muzyk jazzowy Zbigniew Namysłowski, który zaprezentował cykl swoich dawnych i nowych utworów.

W sali Centralnego Konserwatorium w Pekinie zorganizowano koncert chopinowski, dla uczczenia 170 rocznicy urodzin wielkiego kompozytora; jednym z organizatorów imprezy był Związek Kompozytorów Chińskich.

W TEATRACH NRD

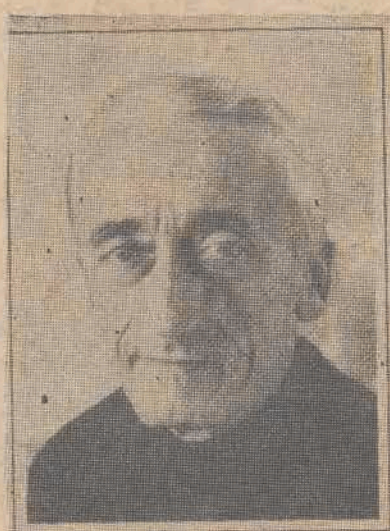
zaczynając, jakie przywiązuje się do ścisłej współpracy autora z teatrem. Pisarz, znając dobrze zespół teatralny, możliwości aktorów i reżyserów pisze właśnie pod kątem dającym możliwość pełnego wykorzystania przez zespół tych możliwości.

W repertuarze teatrów NRD nie brakuje też sztuk Brechta, które należą do stałych pozycji repertuarowych wielu scen. W tej dziedzinie ze szczególnym zainteresowaniem oczekuje się dwóch inscenizacji. Pierwsza z nich to premiera w Erfurcie „Baala” — sztuki, która dotychczas nie była wystawiana w NRD, a druga, to nowa inscenizacja „Kariera Artura UI” w berlińskim Teatrze Narodowym.

W maju br. przypada 175 rocznica śmierci Fryderyka Schillera. Z tej okazji przygotowywanych jest ponad 20 inscenizacji utworów tego wielkiego romantyka niemieckiego, m.in. „Zbójcy”, „Maria Stuart” i „Don Carlos”. Także na ten rok zaplanowano kilka wystawień utworów Goethego, w tym „Fausta”. Jeżeli chodzi o sztuki zagranicznych autorów, to teatry NRD planują wystawienie w br. dzieł z blisko 30 krajów. Najwięcej z nich to sztuki dramatopisarzy ze Związku Radzieckiego. Sporo będzie również sztuk polskich i bułgarskich.

Do interesujących zjawisk w życiu kulturalnym NRD należy rozwój współczesnej opery. Po cieszących się dużym powodzeniem wystawieniach w ostatnich latach takich oper jak „Leonce i Lena” Paula Dessau, „Kraj Bum-Bum” Georga Katzera czy „But i latająca księżniczka” Udo Zimmermanna, w br. przewidywane są dalsze inscenizacje współczesnych kompozytorów NRD.

Autor jest znanym badaczem morza i wynalazcą akwalungu. Jako kierownik stacji badawczej, ulokowanej w Tulonie, we Francji, zorganizował wiele ekspedycji oceanicznych rozpowszechniając potem wiedzę o tajemniczym życiu w oceanie za pomocą wielu doskonałych i często nagradzanych filmów dokumentalnych. Poniższy artykuł ukazał się w tygodniku SATURDAY REVIEW.



Jacques Cousteau

Roald Amundsen i amerykańscy badacze kosmosu zdobywający Księżyc? Co mnie samego skłoniło do poświęcenia wszystkich moich wysiłków rozszerzaniu może ostatnich, błękitnych granic naszej planety?

ZAGUBIONA CYWILIZACJA

Ostatnia ekspedycja, której celem było odszukanie na morzach otaczających Grecję śladów zagubionych cywilizacji, to jedna z najbardziej fascynujących przygód w moim życiu. Była to też dobra lekcja ekologii udzielona nam przez starożytność. W styczniu 1976 roku dopłynęliśmy do wybrzeży Krety. Zakotwiczyliśmy statek w porcie Heraklion, na wybrzeżu północnym, w pobliżu Knossos. Gwałtowny północno-wschodni wiatr maltemi tak dał nam się we znaki, że sytuacja stała się niemal krytyczna, chociaż chronił nas przed falami bardzo nowoczesny betonowy falochron. To właśnie wtedy uświadomiłem sobie w pełni jako żeglarz, że w starożytności mała, prymitywna przystań w Knossos nie mogła zapewnić okretom króla Minosa schronienia przed maltemi. Przeglądając się mapie wywnioskowałem, że bezpiecznych zatok szukać należało na wschodnim wybrzeżu Dii, małej wyspiki położonej na północ od Krety.

Zaczęliśmy więc badać dno morskie wokół wyspy Dii do głębokości stu metrów — przy użyciu nurków z akwalungiem i podwodnej łodzi o nazwie *Nurkujący tancerz*. Znaleźliśmy wraki sześciu okretów, pochodzących z różnych okresów — od pierwszego do szesnastego wieku, załadowane srebrem, miedzią, bronią z brązu, setkami amfor i wielkimi blokami marmuru. Niektóre pokryte były ornamentami i płaskorzeźbami; pochodziły prawdopodobnie ze zrabowanych pałaców lub świątyni, przewożonych w częściach.

Już mieliśmy opuszczać przystań, gdy pierwszy nurk z naszej załogi, Albert Falco, zasugerował, że warto może jeszcze raz zanurzyć się w pobliżu brzegów. Staliśmy w zatoce św. Jerzego, rozgrzewając silniki, tam też Falco zanurkował. Gdy wrócił na powierzchnię, poinformował nas, że odkrył dziwną górę kamieni olbrzymich rozmiarów.

ZMIANA PLANÓW

Nie było to może nic specjalnego, ale może... może było! To odkrycie,

niepewne i niejasne, wprowadzało w nasze plany zamęt. Program przewidywał badanie południowych wybrzeży Krety. Zawahałem się przez chwilę i kazałem wyłączyć silniki. Nie musiałem tłumaczyć się przed żadną komisją, iż zmieniam plany, nie czułem w sobie przymusu, że muszę postępować zgodnie z planami za wszelką cenę. Raport Falco nie miał związku z tym, co zostało zaprogramowane. Czterdzieści lat doświadczeń nauczyło mnie i mówiło mi, że dedukcyjny proces myślenia — myślenie wertykalne — jakkolwiek użyteczny i potężny, rzadko prowadzi do odkryć przełomowych. Prowadzi do nich myślenie lateralne, proces, w którym umysł obserwuje wydarzenia i fakty pozornie z sobą nie związane, a to po to, by stwierdzić, że nie są one w rzeczywistości skorelowane.

Cała seria wydarzeń późniejszych to jedna ogromna i niekończąca się radość. *Sterta kamieni*, którą odkrył Falco, była wielkim, zbudowanym przez człowieka portem z okresu minojskiego. Kierując się ponownie dedukcją wertykalną doszliśmy do wniosku, że skoro istniał na tej odo-

JACQUES COUSTEAU

POTRZEBA ODKRYWANIA

sobnionej skale port, musiały tu istnieć kiedyś także i ludzkie osiedla. Zrobiliśmy z helikoptera zdjęcia wyspy — ukazały nam one kilka wiosek i ruiny wielkiego systemu fortyfikacji całkowicie zrównanego z ziemią. Udało nam się znaleźć wyroby ceramiki minojskiej i terakotową figurkę bożka — bez przeprowadzania żmudnych prac wykopaliskowych. Trzymiesięczne podwodne badania zatopionego portu potwierdziły wszystkie teorie.

A więc — że pięć tysięcy lat temu wyspa Dii była rajskim ogrodem, cudownie zalesionym i pełnym dużych rzek. Rajem, w którym Tezeusz spędził po zabicu Minotaura słynny miodowy miesiąc z Ariadną, córką króla Minosa. Wyspa została z czasem doszczętnie ogołocona z lasów, m.in. w celu budowy i naprawy korabów. Drewna używano tu też zapewne jako paliwa w tysiącach gospodarstw domowych. Przeludniona wyspa „umarła” około czterech tysięcy lat temu, dzisiaj jest dla nas jedynie klasyczną lekcją ekologii. W pięćset lat potem wybuch wulkanu na wyspie Santorini pokrył Dii i Kretę miliardami ton kamieni i popiołu, przez wiele tygodni niebo nad Egiptem wypełniał szary pył, co może dało początek mitom o plagach egipskich. Wybuch wulkanu spowodował zapadnięcie się krateru na Santorini, co z kolei podniosło poziom morza o około stu metrów; zapadły się pod wodę mury ochronne, wioski, drogi i porty. Dii jest dzisiaj ogromną, nagą skałą.

NIEPOSKROMIONA CIEKAWOŚĆ

Odkrywanie nowych terenów w celach poszerzania zasobów czy bogactw to czynność zrozumiała i naturalna. Ale co skłoniło nas, załogę statku *Calypso*, do poświęcenia całego roku i wydania ponad dwu milionów dolarów na odsłonięcie skromnego rąbka zasłony okrywającej odległą przeszłość? Co jest źródłem ciekawości, skłaniającej ludzi do poświęcania czasami życia, zdrowia i majątku — tylko po to, aby odsłonić jakąś maleńką cząstkę Nieznanego? I w ten sposób poszerzyć o jakąś miarę granicę fizycznego i intelektualnego świata?

Im dłużej obcuje z przyrodą, tym pełniej utwierdzam się w przekonaniu, że źródłem badawczego pędu w człowieku jest uniwersalny instynkt, głęboko zakorzeniony u wszystkich istot żyjących. Życie to po prostu ruch. Rozwijają się i rosną w kategoriach rozmiarów, ilości i przestrzeni tak jednostki, jak i całe gatunki. Jednym z elementów tego rośnięcia jest eksploracja świata zewnętrznego.

czonością jest ocean. W świecie zwierzęcym fizyczna potrzeba eksploracji wyraża się także kolektywnie — w stadach, gromadach i grupach. Niemowlę ludzkie wykazuje te same motywacje co małe kocię i wszystkie swoich zmysłów używa do eksploracji otoczenia, w którym przyszło na świat. Ale od kociąt odróżnia je to, że już po niedługim czasie potrafi stać na nogach. W niezwykle powolnym procesie ewolucyjnym różnica ta pojawiła się wtedy, gdy — jak pisze Owidiusz:

Bóg czoło człowieka uniósł

I kazał mu gwiazdy podziwiać

Nie pięknie nie opiewa początków rozumu. W odróżnieniu od kocięcia, eksploracja świata przez niemowlę ludzkie zostaje na pewien czas jakby zawieszona, bo przestrzega ją przed nią ustna instrukcja rodziców. Jedynie rodzaj ludzki posiada zdolność przekazywania — za pomocą języka, druku czy urządzeń elektronicznych — wyników eksploracji świata przez pokolenia na pokolenia. Tak to większość ludzi zaspokaja swój głód odkrycia nauką. Nauka i doświadczenie często tłumia ciekawość. I tylko dla tych, których głód intelektualny jest wieczny, nauka jest magiczną odskoczną.

W naszych czasach badania wymagają wysiłków zbiorowych, często przekraczających skalę możliwości indywidualnych. Są więc uzewnętrznianiem umysłu. Ale gdy urządzenie czy fundusze zawodzą, umysł wybranych zamyka się niejaką w sobie i wewnętrznym się izolują, poszukując wiedzy bezpośrednio w drodze wewnętrznej refleksji.

Czysty i naturalny pęd do eksploracji wiąże się z ryzykiem, swobodą, inicjatywą i myśleniem lateralnym. Jego wrogiem jest troska o własne bezpieczeństwo, nadmierne poczucie odpowiedzialności, biurokracja i wyłącznie wertykalny sposób myślenia.

Ukryte znaczenia pojęcia eksploracji ukazuje nam etymologia: *pluere* oznacza po łacinie *pluć, falować, Explorare* — to dosłownie: *powodować płynieć*. Moje błękitne królestwo — morze — nieustannie powoduje w naszych płynnych umysłach właśnie płynieć.

Jacques Cousteau i współpracownicy na pokładzie statku badawczego *Calypso*

JAZZ

Pragnąłbym uzupełnić artykuł red. Jacka Indelaka pt. „Requiem dla jazzu?” („Ogłosy” z 17. 2. br.).

Nikt dzisiaj nie kwestionuje faktu, iż jazz jest sztuką, może nie tak poważną jak ta, którą prezentuje filharmonia czy Teatr Wielki, ale mająca równie wielu zwolenników. Czy możemy jednak wyobrazić sobie zespół Państwowej Filharmonii w Łodzi bez gmachu i obsługi? Czy mogą powstawać zespoły jazz-

likować na ten festiwal (jak dla Łodzi to duży sukces).

Tytuł artykułu red. Jacka Indelaka „Requiem dla jazzu?” ma na końcu znak zapytania. Czy słusznie? Mimo dużego społecznego zapotrzebowania na tego rodzaju sztukę i wielu inicjatyw, nie powstała w Łodzi instytucja, która podjęłaby się zorganizowania życia jazzowego z prawdziwego zdarzenia. Było jednak wiele prób. W lutym 1975 roku, wspólnie z grupą przyjaciół, założyłem przy ZŁ SZSP

łało zrealizować jednego ze swoich głównych celów, jakim było stworzenie z prawdziwego zdarzenia jazzowego ruchu muzycznego, objęcia mecenatem grup jazzowych. Wspólna inicjatywa działaczy SSJ i ówczesnego kierownictwa ZŁ SZSP oficjalnego zarejestrowania tego stowarzyszenia w Wydziale Spraw Wewnętrznych Urzędu Miasta Łodzi, przez co uzyskałoby ono osobowość prawną, została załatwiona odmownie. W motywacji tej decyzji podano, że w Łodzi istnieją już stowarzyszenia o „w zasadzie podobnym zakresie działalności, jak Towarzystwo Muzyczne im. K. Szymanowskiego, a zwłaszcza Stowarzyszenie Muzyki Estradowej”. Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi wystąpił z inicjatywą włączenia działalności Studenckiego Stowarzyszenia Jazzowego w ramy Stowarzyszenia Muzyki Estradowej. Koncepcja ta w tym czasie wydawała się najkorzystniejsza. 1. 3. 1979 r. utworzono przy SME Łódzki Klub Jazzowy. Z decyzją tą wiązano nadzieję rozwiązania nabrających problemów. Stowarzyszenie Muzyki Estradowej zaangażowało z dniem 5 marca trzy osoby na łącznie dwa etaty, ustalono regulamin ŁKJ, formując w nim cele i zadania klubu, prawa i obowiązki członków, wzajemne relacje między SME a ŁKJ, rozpoczęto działalność.

Wkrótce jednak okazało się, że owe trzy osoby nie zdolają zrealizować wszystkich zamierzonych celów, na zaangażowanie następnych nie było pieniędzy i miejsca w biurze SME. Regulamin ŁKJ, który zgodnie z ustaleniami miał być zatwierdzony przez zarząd SME, pozostał bez mocy, nie był nawet nigdy przedmiotem obrad tego zarządu. Wiele z obietnic SME, mimo usilnych starań ówczesnego dyrektora SME, Karola Wagnera, nie doczekało się realizacji. Upowszechnianie, a w tym i jazz, było, zgodnie z polityką ówczesnego zarządu,

marginalem, nastawionym przede wszystkim na możliwie duże zyski działalności SME.

Mimo wszystko, w tej nieprzychylniej atmosferze udało się zrealizować kilka imprez: „Łódzkie Spotkania Jazzowe 79” i olbrzymim wysiłkiem i kosztami — kolejną edycję „Jazz Jamboree 79” z udziałem najlepszych obecnie Big Bandu Jazzowego na świecie — Akijsi-Tabackin z USA. Gdyby nie pomoc PSJ Warszawy, w postaci obniżenia do 50 proc. kwoty, jaką należało uiścić za koncert tego Big Bandu, nie doszłoby on do skutku.

Nie widząc dalszych perspektyw rozwoju, zaczęli odchodzić działacze, zwolnili się dwaj pracownicy, nowych nie chciano zaangażować: głęboko zawiedli się muzycy, nadal nie miał kto organizować im koncertów i opiekować się nimi. Równolegle, w Stowarzyszeniu Muzyki Estradowej zaistniało wiele nieprawidłowości, zapanowała bardzo zła atmosfera. W chwili obecnej, działający w miejsce odwołanego zarządu, kurator SME przygotowuje nadzwyczajne walne zgromadzenie Stowarzyszenia Muzyki Estradowej, które wyłoni nowy zarząd. Znajdą się wtedy, być może, miejsce i warunki do działania dla Łódzkiego Klubu Jazzowego. Należy bowiem albo zrezygnować z ambicji, albo problem rozwiązać tak, jak na to zasługuje — tzn. stworzyć Łódzkiemu Klubowi Jazzowemu warunki do normalnego działania. Wtedy na wyniki nie trzeba będzie długo czekać.

MACIEJ JAWORSKI
(przewodniczący
Łódzkiego Klubu Jazzowego)

ZE ZNAKIEM ZAPYTANIA CZY BEZ?

zowe, gdy nie ma instytucji, która zajęłaby się organizowaniem imprez, koncertów, dbałaby o ich wszystkie potrzeby?

Przykłady innych środowisk, w których działają oddziały Polskiego Stowarzyszenia Jazzowego, świadczą same za siebie. Najnowszym może być środowisko wrocławskie. Od momentu założenia tam oddziału PSJ powstało wiele nowych zespołów jazzowych. Jazz Day zdobył w tym roku pierwsze miejsce na Festiwalu Zespołów Jazzu Tradycyjnego — „Złota Tarka”, podczas gdy łódzki zespół, dzięki wysiłkom leaders — Marka Łuczaka i pomocy Fabryki Dywanów „Dywilan” zdołał się... zakwa-

Studenckie Stowarzyszenie Jazzowe. Organizacja ta szybko rozwijała swoją działalność, z grupy zapaleńców przekształcała się wkrótce w instytucję quasi profesjonalną; zorganizowała dziesiątki imprez, kilka festiwali, sprowadziła do Łodzi gwiazdy światowego jazzu: Stanę Getza, Betty Carter, Big Band Duke Ellingtona pod dyr. Mercera Ellingtona — koncerty, jakich nigdy dotąd w Łodzi nie było.

Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie owo „quasi”. Plany i ambicje przerastały możliwości mecenasa Studenckiego Stowarzyszenia Jazzowego. Chroniczny brak środków, etatów, wkrótce doprowadził do kryzysu. SSJ nie zdo-

Jest taka znana — wielokrotnie publikowana — fotografia zbiorowa łódzkich poetów z lat trzydziestych. Stoją obok siebie — Grzegorz Timofiejew, Mieczysław Braun, Julian Tuwim, Marian Piechal, Światopełk Karpiński i Kazimierz Sowiński. Z tej szóstki żyje dziś tylko Piechal, ale pozostali mieli swoje powojenne wydania i mają swoje — bardziej lub mniej — eksponowane miejsce w historii współczesnej poezji polskiej i w świadomości współczesnego czytelnika poezji.

Tylko o Mieczysławie Brauna, o jego twórczości nikt się nie upominał przez trzydzieści pięć lat. Jego nazwiska nie znaleźliśmy w żadnym nowszym opracowaniu, nie napisano na jego temat żadnego szkicu czy studium. Przewija się tylko przez karty wspomnień i pamiętników... W latach powojennych Mieczysław Braun był wyłącznie „poetą z antologii” — parę jego wierszy znalazło się w tomie „Poezja polska 1914—1939” Matuszewskego i Pollaka oraz w antologii Grochowiaka i Maciejewskiego. Osobnego tomu Braun się nie doczekał, choć wydawano po wojnie poetów dwudziestolecia znacznie mniejszej rangi. Zapomniany poeta. To aż dziwne, że właśnie on — autor tomów „Rzemiosła” i „Przemy-

ślu” — jeden z najwybitniejszych twórców z kręgu międzywojennej „poezji pracy” — utonął w mroku zapomnienia. Od śmierci Brauna minęło 36 lat. Umarł młodo, nie odciągając nawet czterdziestki. Gdyby żył — miałby dziś 76 lat. Żył jego rówieśnicy, świadkowie jego literackich początków... A jednak tak ma-

ZAPOMNIANY POETA

ło o nim wiadomo. Janusz Maciejewski opracowując pierwszy po wojnie — i zresztą w ogóle pierwszy — wybór wierszy Mieczysława Brauna, natrafił na pustkę. Nie odnotowuje rękopisów poety katalog Biblioteki Narodowej, poza nielicznymi listami do przyjaciół nie natrafiono na rękopisy w zbiorach prywatnych... Pewno jakieś utwory były w posiadaniu wdowy. Niestety — jak pisze Maciejewski — wkrótce po wojnie wyjechała ona z Polski i ślad po niej zaginął.

Mieczysław Braun urodził się w Łodzi w 1902 roku — zmarł w warszawskim getcie na początku roku 1942. Był współtwórcą pierwszego w Ło-

dzi czasopisma literackiego „Tańczący Ogień” wydanego w roku 1919, był aktywnym dziennikarzem, potem wziętym adwokatem...

Jako ciekawostkę warto odnotować jego zainteresowanie radiem. Już u schyłku lat dwudziestych, kiedy polska radiofonja zaledwie raczkowała — radio wzbudzało zachwyt

poety, który uważał, że ten — młody wówczas — środek przekazu spełni kiedyś ogromną rolę zbliżenia do siebie ludzi, narodów i kultur. Od początku też dostrzegał Braun ogromne znaczenie kulturowe radia. Dawał wyraz tym przekonaniom w takich artykułach jak „Poezja w głośniku”, „Czy może istnieć radio-literatura?”. Był autorem jednego z pierwszych w polskiej radiofonii słuchowisk pt. „Sygnał z Marsa”, które miało być próbą nowego, radiowego gatunku dramatycznego.

Zapomniana — a tak przecież interesująca — twórczość Brauna mieści się w kręgu skamandryckiego modelu poe-

zji. Wyrasta z tych samych korzeni co twórczość czołowych skamandrytów — a więc z dorobku drugiej generacji Młodej Polski, z romantyzmu, z doświadczeń nurtów nowatorskich w poezji... Ale był jednak Braun poetą innym — w jego poezji silniejszy był związek z tradycją Oświecenia i wyraźniej niż inni skamandryci ulegał tendencjom nowatorskim, eksperymentatorskim. Szukał Mieczysław Braun kontaktów z grupą „Nowej sztuki” z peiperowską „Zwrotnicą”, z futurystami...

Mimo tych rozległych konekty literackich, mimo wieloletniej twórczości jego poezji, mimo całego szeregu słabych wierszy okolicznościowych, był Mieczysław Braun jednym z wybitniejszych twórców reprezentujących najwyższy poziom poezji typu skamandryckiego. Skazanie tej twórczości na zapomnienie było zdumiewającym zubożeniem obrazu poetyckiego lat międzywojennych. Pierwszy po wojnie wydany przed paroma tygodniami — w miarę pełny — wybór wierszy Mieczysława Brauna, oddaje — choć z opóźnieniem — hołd temu zapomnianemu niestrasznemu poecie.

WIDOK

FERIDUN EROL



Choć kowboj rzutki
Rzut ma za krótki.

Rys. Stanisław Ibis-Grakowski
Tekst: Mieczysław Michał Szargan

PROPOZYCJE

Handel mnie nie rozpieszcza. I dobrze robi. Człowiek powinien być zahartowany, zdolny przeciwstawić się wszelkim przeciwnościom. Być co nie może go wytrącić z równowagi. Handel więc, obok swoich podstawowych funkcji, wziął się też za wychowywanie Klientów oczywście. I muszę powiedzieć, że robi to konsekwentnie i z uporem. Powinniśmy być wdzięczni za to. A my co? A my narzekamy, marudzimy, krytykujemy, o książki życzeń i zażaleń wolamy, coś tam wpisujemy. Krytyczne uwagi, oczywiście. Należałoby natomiast wpisać same pochwały i podziękowania.

Niewdzięczność ludzka jest ogromna. Idzie o taką marudę do sklepu kupić napój orzeźwiający. Marzy mu się „pepsi cola” a w sklepie jest „mirinda”. Wdzięczny powinien być za to, ale nie. On się krzywi. Marudzi. Wymyśla. Narzeka. Że wody sodowej nie ma, bo on pije albo „pepsi cola”, albo wodę z babkami. Pomarańczy nie znoś. A „mirinda” o smaku cytrynowym jest w innej dziale. I on nie może znaleźć. On nie może pojąć, dlaczego nie ma. Nie może być w sklepie pełnego wyboru napojów orzeźwiających. Nie ma pełnego wyboru dla jego Klienta. Aby zahartować się, aby nie było mu zbyt wygodnie, aby trochę pobiegać po mieście, przyjrzał mu się uważnie. A nie tylko, samochodzikiem do pracy, samochodzikiem z pracy. Inni jeżdżą zatłoczonymi tramwajami i są szczęśliwi, że w ogóle jada. Czego się więc czepia?

Przyznaję, że ja też jestem marudnym klientem. I bardzo przepraszam, że to moje fanaberie. Postaram się poprawić. Oto nie mogę pojąć, dlaczego raz w kioskach „Ruchu” jest gaz do zapalniczek, a innym razem znowu go nie ma. „Dlaczego raz są w kiosku baterie do radia czy magnetofonu, a raz ich znowu nie ma. Próbowałem nawet robić zapasy, ale okazało się to nie-realne. Baterie traktują moc, czekając swojej kolejki. Dla „Ruchu” moja głupota

jest nawet korzystna, bo szybko sprzedaję baterie, których nadmiar i tak nie ma. A że się u mnie zepsuły to już moja sprawa. „Ruchu” to nie może obchodzić i nie obchodzi. Nie mam zresztą o to do „Ruchu” pretensji.

SPRYTNA FORMUŁA

Obległem pół miasta w poszukiwaniu gazu do zapalniczki. Ktoś mi uświadomił, że czasami gaz do zapalniczki można kupić w... sklepie z zabawkami i rzeczywiście. Był. Były nawet piękne zapalniczki, elektryczne, na baterie. Widać ulubioną zabawą dzieci jest zapalanie dorosłym papierosów. Wprawdzie straż pożarna ostrzegała, że dziecko plus zapalki równa się pożar, ale o zapalniczkach w ostrzeżeniu nie ma ani słowa.

Kupiłem buteleczkę gazu do zapalniczki produkcji „Predom Termet” z Pleszczy, oznaczoną nawet „jedynką”, która to buteleczka ma niesprawy zawór i nie nabija gazu. Pewnie, że to nie wina handlu, iż

„Predom Termet” z Pleszczy produkuje butelki z niesprawnymi zaworami, choć na butelce figuruje „1”. Jako widomy znak dobrej jakości Widać jestem pechowcem i będę musiał znowu trochę pobiegać po mieście, aby znaleźć gaz do zapalniczki ze sprawnym zaworem na butelce. I powinienem być wdzięczny za to. Postaram się.

Handel wymyślił nawet taką sprytną formułę, że coś jest w ciągłej sprzedaży. Ta formuła dzieli towary na takie, które są w ciągłej sprzedaży i których nie ma. Wykombinowano to, oczywiście, z myślą o kliencie i dla jego dobra. W ten sposób handel nieśko odsuwa od siebie wszelkie podejrzenie o winie. Jeśli czegoś nie ma w ciągłej sprzedaży, to wniosek jest prosty, że handel chce to sprzedawać, ale producent nie jest w stanie nadać. Proszę mieć pretensje nie do handlowców, tylko producentów. Jest to też działanie w ramach wychowywania nas, klientów. W ten sposób uczy się nas trudnej nauki, zwanej ekonomią. Uczy się gospodarskiego myślenia.

Nie jestem jednak do końca przekonany, że wszystkim jest winien producent. Wiem, że w wielu dziedzinach gospodarka nasza nie jest jeszcze w stanie sprostać popytowi. W wielu jednak dziedzinach produkcja w zasadzie odpowiada potrzebom. Więcej nawet. Towary leżą w magazynach. Bywa czasem tak, że drobiarzy, z którymi uganiamy się po Łodzi, można bez trudu dostać w innym mieście i wcale tak od Łodzi nie dalekim. Czasem uprzejma ekspedientka, bo są i takie, informuje, że towar już zamówiono, ale dostawa będzie dopiero za kilka dni. I te nierytmiczne dostawy są też dla naszego dobra. Aby nas zahartować.

I powinniśmy być za to wdzięczni. Ja się już o to staram. Nie wiem, czy mi się to uda. Ale będę próbował.

MARCIN RODAK

LEWYM OKIEM

Pozwólcie, że jeszcze raz napiszę o państwach, w związku z tym tylko co minionym świętem kobiet (10. marca) podaje taka informacyjka, malutki druk, w rubryce „Persyjski”. W odpowiedzi Komisji Sejmowej zastanawiano się nad przyczynami wzrostu liczby zachorowań na chorobę pokarmową i nad jakością żywności. Niestety jesteśmy coraz bardziej truci — itd.

Jakość produktów żywnościowych to ogromny, bolesny, uniwersalny temat, związany z tym kompleksem zagadnień, jaki nazywamy ochroną środowiska. Ale moje skrzywienie zawodowe felietonisty sprawia, że informacja „Literatury” kojarzy mi się z drugą niedawno czytana i prasie opinia: „Dziś panie zrzekły się swych wpływów na kuchnię, stała gastrologia (nie gastrologia) polska kwiłnia, a zatrucia pokarmowe to normalka; nie interesują się karmieniem i wychowywaniem dzieci, myśmą zaś tym się jeszcze nie zajęły, z czego wynika skutki straszne: nie interesują się także zdobowaniem wpływu na nas, mężczyzn”.

Żeby Szanowne Czytelniczki nie ruszyły na mnie jak na wroga, śpieszę zastrzec, że powyższe zdania zaczerpnąłem z ich własnego pisma, z „Kobiety i Życia” (wrzesień 1979).

Nie mam pod ręką statystyki, dotyczącej feminizacji niektórych zawodów w Polsce. Czytając natomiast w „Polityce” liczby porównawcze z innymi krajami: oto w Związku Radzieckim co trzeci inżynier jest kobietą, w Stanach Zjednoczonych — co set-

ny. Jak wiemy, to właśnie Stany Zjednoczone są największym dostawcą licencji na cały świat, najwięcej dokonują wynalazków. U nas inżynierów pięć z dziesięciu mam młodość, nie ma ich jednak w ruchu racjonalizatorskim prawie wcale. W Związku Radzieckim 80 proc. lekarzy to kobiety (w Stanach Zjednoczonych 7 proc.). U nas trzeba było na

to nie moje słowa, tylko Ernesta Skalskiego z „Kultury” — model nowej i nowoczesnej rodziny „partnerskiej”, której największym osiągnięciem ma być to, że oboje małżonkowie pracują zawodowo i dzielą między siebie obowiązki domowe. Jeśli zaś w tej rodzinie coś jest jeszcze w niej najlepszym porządku, to tylko dlatego, że mąż nie bierze

NIE WYLĄCZAJĄC DZIECI

studia medycznych wprowadzić limity dla mężczyzn i kobiet, co świadczy o tym, że zwrócenie uwagi, o które walczyły feministki od dziesięcioleci, zaczyna być obecnie sprawą upośledzonej płci męskiej, która ilościowo góruje już tylko w najcięższych, najbardziej przykrych, trudnych, niebezpiecznych zawodach. Przy tym wszyscy nasi najświetniejsi lekarze, chirurdzy, neurologi, ginekolodzy — to przedstawiciele mniejszości — mężczyźni.

Łatwo tu sięgnąć po argument, że kobiety odnoszą mniejsze sukcesy zawodowe, bo przeszkadza im w mężczyzn, wymagając wiele, a nie zmywając garnków itd. „Propaguje się i wychwala —

na siebie tyle tych obowiązków, ile powinien”.

A dalej pisze E. Skalski tak: „Jeśli już mamy mówić o rodzinie partnerskiej, to partnerską była i jest jeszcze tradycyjna rodzina chłopska, należy się funkcjonująca tylko w oparciu o dość precyzyjny podział pracy między mężem i żoną. Podobnie wyglądał podział ról w rodzinie rzemieślniczej. Kiedy małżonkowie między sobą dzielili się tym, co było ich domeną, to, które z nich zostanie przy dziecku, a które pójdzie na seminarium doktora, czy na spotkanie koleżeńskie, to jest to układ konkurencyjny, a nie partnerski”.

Z tego wszystkiego wynika własnie fakt, że na całym świecie obserwuje się zmniejszenie rodziny, a ludzi samot-

nych z wyboru jest coraz więcej. Z tejże „Kultury” zacytujmy jeszcze takie głosy:

„W rodzinie „partnerskiej” istnieje ciągła walka o to, kto ma być na czołowym miejscu tej hierarchii; w walce tej autorzytet meża i ojca ustawicznie jest pod ostrzałem doraźnej nierzeczywistości. Potrzebne jest uczucie zdecydowanie, co w życiu chce się osiągnąć. Jedynym uczuciem wyjściem dla ambitnej kobiety jest samotność” (Olgierd Zmudzki).

„O wiele łatwiej jest napisać „publicystyczny artykuł” niż ustrzec niemowlaka przed rozwolnieniem. To drugie z punktu widzenia społecznych i narodowych interesów jest znacznie ważniejsze” (to złośliwie, ale to nie ja, tylko Józef Potega).

A na koniec cytuję najśrodkowej. Odczytuję z „Zjawisk nadmiernego przeciążenia obowiązków kobiet pracujących. Upatrywamy wyjścia z tej sytuacji jedynie w sferze mentalnej mężczyzny — jest studium” (Józef Konarski).

Więc najrozsądniej byłoby nie wieszać cuchnących psów na mężczyzn, którzy „chcą zrobić z niewiast kuchnię” itd., nie wdzielić się raz do roku kwiatkami dla przepracowanych, ambitnych, sfrustrowanych pań, tylko wspólnie, uczciwie i lojalnie szukać wyjścia zgodnego z interesem społecznym i narodowym, a także z interesem osobistym każdego z nas, nie wyłączać — na ilość boską — dzieci.

CWIĘK

SPORT

ZGADYWANKI

No i wreszcie zaczęło się. W ubiegłą sobotę, akurat w Dzień Kobiet, piłkarze wyszli na boisko. Wiosenną rundę sezonu 1979/80 zainaugurowały mecze obu łódzkich zespołów. Była to inauguracja w biocie.

Pamiętamy już takie mecze. Zamiast murawy, grząskiej błotki, utyltani zawodnicy, oporna piłka. Tak było i teraz podczas meczu ŁKS — Śląsk. Nie było powodu, żeby się tym meczem zachwycić. Nie było to ładne widowisko, bo ładne było nie mogło, chociaż komentator telewizyjny usiłował nas przekonać, że mecz był pasjonujący. Co prawda, sam nabrał takiego przekonania dopiero wtedy, kiedy ŁKS strzelił zwycięską bramkę.

Oglądałam ten mecz i zastanawiałam się, jak to jest, że młodzi ludzie, którzy z własnej, nieprzymuszonej woli wybrali sobie ten trudny i skomplikowany zawód, jakim jest piłkarstwo po przerwie zimowej nie rwą się do piłki, grają ospale i niechętnie. A gdzie „gląd piłki”, gdzie chęć pokazania kibicom, że podera zimowych przygotowań zdobyli wysoką formę, że chcą grać na przyzwoitym poziomie? Z drugiej strony trudno chyba szukać entuzjazmu na zabloconym boisku. Komu by się chciało biegać, padać i ofiarne walczyć o piłkę w takich warunkach, gdyby nie musiał tego robić, bo w ten sposób zarabia na życie?

Inauguracja piłkarskiej rundy lub całego sezonu zawsze wyzwalają emocje i skłania do snucia różnych horoskopów. Tak było i tym razem. Oto dwie ankiety. Jedną przeprowadził „Express Ilustrowany”, drugą — „Przegląd Sportowy”. W jednej i drugiej zadano pytanie, kto będzie mistrzem. Odpowiedzi były różne. W Łodzi niemal wszyscy stawiali na wrocławski Śląsk. W Warszawie zdecydowana większość — na Szombierki, które liderowały w tabeli po jesiennej rundzie.

„Przegląd Sportowy” zadał jeszcze jedno pytanie, jaka — zdaniem odpowiadających — jest najważniejsza sprawa do załatwienia w naszej piłce. I tu dopiero zebrał się interesujący materiał. W ankiecie odpowiadali dziennikarze z „Zolnierza Wolności”, „Piłki Nożnej”, „Sportu”, „Trybuny Ludu”, „Sztandaru Młodych”, „Expressu Ilustrowanego”, „Tempa”, „Kuriera Szczecińskiego”, „Tytułu PAP” i „Życia Warszawy”. Niemal wszyscy byli zgodni, że najważniejszą sprawą do załatwienia jest „powrót do obowiązujących zasad moralnych”, jak to ujął Stefan Rzeszot. Najczęściej odpowiedział Jerzy Lechowski z „Piłki Nożnej”: „Organizacja w szerokim pojęciu (właściwi ludzie na właściwym miejscu — kompetencje, eliminowanie działaczy jednej kadencji, z wysokich szczebli — ignorantów) PZPN — nie poza związkiem, autorytet, decyzje, eliminować koleśków”. Nic dodać, nie ująć.

Ale tu przychodzi refleksja. No, dobrze, może powiedzieć sobie kibic, skoro to nie jest tajemnica i wszyscy o tym wiedzą, skoro wypowiadają się na ten temat jedynomyślnie tuż po sportowym dziennikarstwie, o których mówi nie tylko Jerzy Lechowski, są nadal tolerowane? Jak długo trzeba będzie czekać na stworzenie zdrowej atmosfery zarówno w klubach, jak i w „centrach”, tak, aby już bez przeszkód można się było skupić na działaniu w każdej dyscyplinie sportu najważniejszym, na wyszukaniu, szkoleniu jak największego grona zdolnej młodzieży, która w odpowiednim momencie powinna zastąpić swoich zmęczonych uganianiem się za piłką starszych kolegów?

Dziennikarze sportowi, którzy niedawno spotkali się z władzami Polskiego Związku Piłki Nożnej, donieśli, że nie ma zgody wśród działaczy co do faktycznej liczby ludzi uprawiających u nas piłkę nożną. Jeden z działaczy ocenił liczbę piłkarzy na 250 tysięcy, drugi na 200 tysięcy, trzeci doniósł, że oparto się na wyliczeniach Głównego Urzędu Statystycznego, według których to wyliczeń liczba ta nie przekracza 100 tysięcy. Myślę, że łowe władze PZPN, które wybierze w kwietniu walny zjazd sprawozdawczy, wybory, zechcą już dokładniej policzyć zawodników, którymi mają zawiadywać. Dobrze jest wiedzieć co jest grane i dobrze wiedzieć, ile w to gra.

Z oceną jakości gry poczekamy aż wyschną boiska.

BOGDA MADEJ

Załącznik nr. 64/.../80

HASŁO NUMERU: Nie dmuchaj na zimne. W ogóle nie dmuchaj.

Brudne pieniądze, czysta praca

Wagony kolejowe, w których jeżdżymy, są coraz brudniejsze. Sprzątaczkę wagonów zarabiają co najmniej 100 zł miesięcznie, a w niektórych przypadkach nawet 200 zł. Sprzątaczkę wagonów zarabiają co najmniej 100 zł miesięcznie, a w niektórych przypadkach nawet 200 zł. Sprzątaczkę wagonów zarabiają co najmniej 100 zł miesięcznie, a w niektórych przypadkach nawet 200 zł.

Dąć w piosenki

Prasa łódzka doniosła (korzy-

stając z informacji OTVP-Łódź), o programie „przygotowywanym przez łódzkie środowisko teatralne i Ośrodek Telewizji Polskiej w Łodzi pt. „Piosenki z teatru”.

Jak pamiętamy, „Piosenki z

teatru” zostały przygotowane nie przez żadne środowisko teatralne, lecz przez parę osób, m.in. przez Piotra Hertisa jako autora muzyki i reżysera oraz przez Małgorzatę Rogacką-Wisniewską i Stanisława Kwaśniaka, którzy

piosenki śpiewają i nie w OTVP-Łódź tylko w Teatrze Jaracza (są dowody). OTVP-Łódź po prostu piosenki te przenosi na antenę, nie powiem, że bez szkody (dla piosenek).

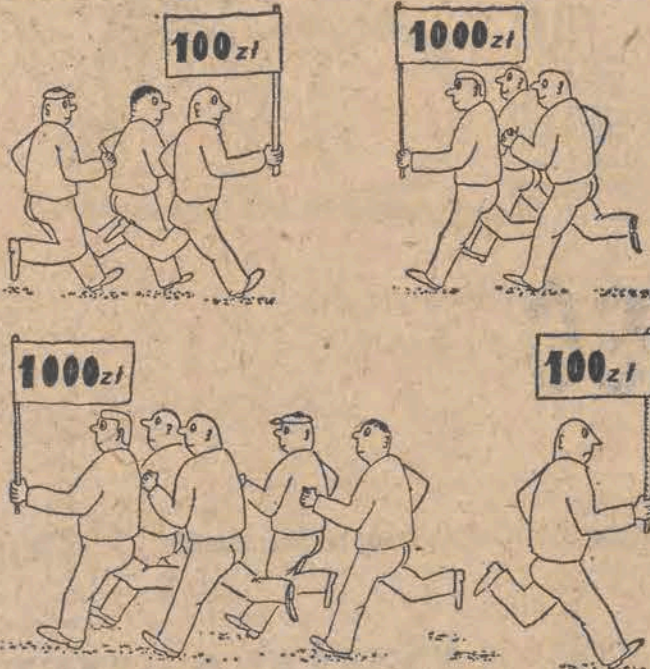
TO i TAMTO

Lubimy dąć (nawet w piosen-

Michalak a la Szancer a la Brueghel

Pisze recenzentka „Odgłosów” o scenografii Jerzego Michalaka

S.Z.Perać



Rys. Walerian Domański

Poczułem się bardzo znudzony. Przede mną facet szarpał się z urzędnikiem. To trwało zbyt długo. Kiedy wreszcie otrzymałem odpowiedź?

— W terminie przewidzianym przepisami...
— To znaczy?
— To znaczy... jak pan otrzyma. — Panie — zaskakiwał tamten — mam rodzinę. Żonę, dzieci, teściową...
— Pan w sprawie? — przeszkodził mi urzędnik.
— Zdecydowałem zakończyć to jak najprędzej.
— Moja sprawa wyłącznie mnie dotyczy. Osobiście — podkreśliłem to słowem dobitnie. — Nie mam żony, dzieci, ani na szczęście teściowej. Brakuje mi tzw. żelaznych argumentów.
— No to co? — bąknął zza biurka. — Nie słyszał pan, że jedno-

MAREK NEJMAN ŻYCIE

— Ja też nie kawałeczek. Następny! Postanowiłem się nie szarpać. Dam sobie dziś spokój — pomyślałem — nerwy ważniejsze. Chciałem już odwrócić się na pięcie.
— Pan w sprawie? — przeszkodził mi urzędnik.
— Zdecydowałem zakończyć to jak najprędzej.
— Moja sprawa wyłącznie mnie dotyczy. Osobiście — podkreśliłem to słowem dobitnie. — Nie mam żony, dzieci, ani na szczęście teściowej. Brakuje mi tzw. żelaznych argumentów.
— No to co? — bąknął zza biurka. — Nie słyszał pan, że jedno-

stka jest równie ważna w społeczeństwie jak rodzina?

— Wiem to — wykrzyknąłem z zapałem. — Ale ja po odpowiedzi woła przysłać za miesiąc. Chyba będzie akurat!

— Akurat! — spojrzał podejrzliwie. — Pan pewnie myśli, że nie potrafimy pracować szybko?

— Ależ nie! Znam tylko życie. Więc można za tydzień — dodałem przedko, by jednak zbyt impetno go nie urazić.

— A jutro nie laska? — zapytał drwiąc.

— W porządku — zgodziłem się skwapliwie, chcąc już mieć to za sobą. — Jutro pod koniec urzędowania.

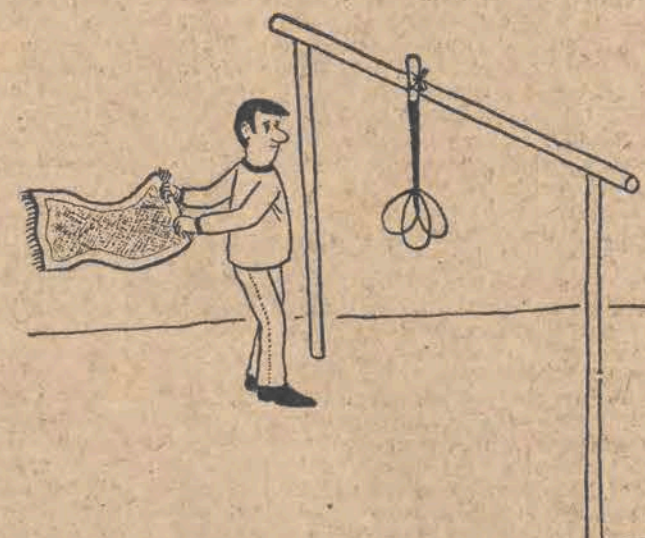
— Dlaczego akurat pod koniec, a nie na samym początku?

— Znam życie — powtórzyłem — Panowie ciągle zajęci...

— Nie zna pan życia! — wrzasnął zrywając się z plecaką w rękę. Łupnął nią dwukrotnie miazdząc mi wskazujący palec.

— O proszę, zatłoczone! Od ręki!!! I co pan na to? Drząc na całym ciele pod wpływem szoku ująłem decyzję i skierowałem się w stronę drzwi. W progu usłyszałem jak za mną się ironicznie do kolegi:

— Cuaniczeek Znajomością życia chciał mi zaimponować. Ale to ja wystrychnąłem go na dudka!!!



Rys. Andrzej Adamowicz

PO DNIU KOBIET



POCZTA „ZAŁĄCZNIKA”

W nawiązaniu do felietonu pt. „Telepatia istnieje”, który ukazał się na łamach Waszego pisma w nr 7 z dnia 17 lutego 1980 roku uprzejmie informujemy, że dziennikarka Bożena Siarcka, która dopuściła się ewidentnego plagiatu, co stanowi pogwałcenie zarówno przepisów dziennikarskiego kodeksu obyczajowego, jak i powszechnych przepisów o odpowiedzialności w ustale o prawie autorskim, została ukarana nagana z wpisaniem do akt i pozbawiona premii za dwa kwartały.

Redaktor Naczelny
(—) mgr Jan B. Nycyk

Kwitujemy uprzejmie odbiór rachunku za jeden plagiast ob. B.S.
Nadmieniamy przy tej okazji, iż w następnym numerze „Załącznika” (z dnia 24.II), poinformujemy o dwu kolejnych plagiatach dokonanych przez wyżej wym.

Gdyby wspomniany rachunek opiewał za całość działalności, skomentowalibyśmy go tak: w „Tygodniku Płockim” plagiaty są tanie.

Red.

TADEUSZ WIEŻAN

Z PAMIĘTNIKA MAJSTRA

Dyrektor wezwał mnie do gabinetu i usiadł obok na miękkim fotelu. Zrozumiałem od razu że ma do mnie jakąś sprawę.
— Panie Łyczakowski — zaczął oficjalnie, żeby zaraz przejść do tonu bardziej prywatnego. — Co pan sądzi o Gruszczyńskim? Zaskoczyło mnie to pytanie. Gruszczyńskiego dyrektora znałem lepiej ode mnie, sam go przyjmował na głównego zaopatrzeniowca. Później Gruszczyński stopniowo, ale opornie, szedł coraz niżej i ostatnio pracował przy betoniarce.
— A co mam sądzić, przecież pan dyrektor wie najlepiej jak z nim jest.

— Nie wiem czy pan wie, że on ostatnio sobie zaszył.
— Co mi z tego, jak dalej o-puszcza się w pracy — powiedziałem.
— No, już nie tak, jak dawniej — przerwał mi dyrektor, pukając palcem w teczkę, którą trzymał na kolanach.
— Musimy mu pomóc, bo się

leczy — powiedział z naciskiem mój zwierzchnik.
— To co, mam za niego pracować? — zapytałem.
— A broń Boże, ale trzeba mu dać szansę awansu, żeby wiedział, żeśmy o nim nie zapomnieli.
— Panie dyrektorze! — krzyknąłem zdaje się. — Ja do awansu mam dużo innych kandydatów.
Dyrektor przeraził się. — A co, też sobie zaszył? — zapytał.
— Nie zaszył, bo nigdy nie pluł — odparłem.
Dyrektor spojrzał na mnie z pobłażaniem, wstał z fotela i zaczął spacerować po czerwonym dywanie pomiędzy palmą, a biurkiem. — Drogi panie Łyczakowski, bardziej cieszy jedna zabłąkana owieczka, która się odnajduje, niż całe stado baranów, które jest w owczarni.

c.d.n.

TADEUSZ GIGGIER

DOŚĆ

Sobie śpiewam a muzom: jest dość tych, którzy dają w puźon.

NAJCIAŚNIEJSZA

Najciaśniejsza lista obecności u potomności

BRĄK

Wielkość i skromność idą w parze, lecz tego braku, kto to wykaże.

ODKRYCIE

Zrobłem dziś odkrycie jedyna w swoim rodzaju: że nie każdy mój wróg jest wrogiem mego kraju.

RYSZARD DOROBA SAMOKRYTYKA

Mogę się obyć bez sekretarki i bez auta wysokiej marki.
Bez ciała pewnej niebrzydkiej pani i bez przyjacieli niektórych drani.
Bez poklepywań ludzkich po grzbiecie, bez zamieszczania zdjęć mych w gazecie.
Bez nagród, krzyży premii, pomnika i sławy, która wieczność odmyka.
Lecz się nie mogę obyć bez tego, żeby nie ukłuł czasem bliźniego.

PRZTYCZKI

URODZAJU DORSZY C.D.

O bezmyślności reklam wypisano już morze atramentu. Najnowszy przykład dostarcza anonis Zjednoczenia Gospodarki Rybnej, zachwalający dorsza z połowów bałtyckich pod hasłem „Ryby z najczystszych wód świata na twoim stole”. Nawet dzieciom wiadomo, że Bałtyk jako morze zamknięte powoli przemienia się w szambo. Wygłuszyły sprzoty, coraz trudniej żyje się śledziom, dorsze odrodziły się po długoletniej przerwie w pokowach. Czyste wody można jeszcze spotkać na dalekich oceanach, gdzie nie docierają tankowce, ale często goszczą statki naszej dalekomorskiej floty. Rybackiej. Widocznie to dla jej zdobyczy przygotowano hasło reklamowe, którym niezastępowanie oddarowano smaczność skądinąd dorsza.

Popieramy wielkomocarstwowe aspiracje specjalistów od reklamy i też chcielibyśmy, aby Bałtyk stał się oceanem. Ale w handlu potrzebna jest także odrobina podstawowej wiedzy o towarze, który się zachwala. I sprawny transport, który w sprawie tegoż towaru połowów dorsza jest jak na razie ważniejszy niż budowa oczyszczalni ścieków dla poprawienia czystości wód naszej sadzawki.

ZIMNY WYCHÓW POETÓW

Poetów nigdy specjalnie nie rozpieszczano. Ale Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, wspólnie z ZO SZSP i redakcją „Nowego Medyka” ogłaszając konkurs na arkusz poetycki pn. „Pokolenie, które wstępuje”, chyba przesadziły w swojej surowości. „Autorzy” arkusza zakwalifikowanych do druku nie otrzymają honorariów — cały dochód ze sprzedaży tomików zostanie przekazany na Centrum Zdrowia Dziecka.

Cel tej wpłaty jest wprawdzie bardzo szlachetny, tylko czy rzeczywiście usługa „Młodzi poeci” nie należy przecież do ludzi najlepiej zarabiających w naszym kraju, dlatego między innymi Związek Literatów Polskich, Związek Zawodowy, czasem fabryki fundują dla nich stypendia. Czemóż to więc, nie biedna przecież Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, chce pobawić młodych twórców groźowych zresztą honorariów, zamiast przekazać na Centrum Zdrowia Dziecka jakiś drobny utarek własnych zysków z „kieszonkowców” publikowanych w masowych nakładach?

Przed laty preferowano w naszym rolnictwie zimny wychów cieląt. Nie wiemy, czy te sposoby okazały się równie skuteczne w wychowaniu młodych poetów, których

nie mamy po prostu odwagi porównywać z cielętami. Co prawda MAW jest bardziej wyrozumiała niż taki Płatow, który chciał wypłacić poetów ze swego idealnego państwa. Ale państwo, jakie wymyślił, nie było socjalistyczne.

AMBICJE CZY MOŻLIWOŚCI?

Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi wystąpił z inicjatywą zorganizowania i przegladu Filmów Reklamowych pomyślanego jako ogólnopolska impreza. Zważywszy, że film reklamowy w ogóle, a w Polsce szczególnie, nie należy do szczytowych osiągnięć kina światowego, nie ma chyba powodów do grzmienia w trąby, jak uczyniły to łódzkie codzienne gazety. Dla miasta, które szczyci się produkcją większości krajowych filmów fabularnych, jest to chyba nawet prezent obojętnie kłopotliwy. Ambitniej już zapowiada się projektowany także w Łodzi przegląd filmów przyrodniczych, chociaż o ambicje stanowiąco za skromne.

Przed laty „Odgłosy” postulowały zorganizowanie w Łodzi Festiwalu Filmów Fabularnych. Ówczesne władze Wydziału Kultury i Sztuki zbagatelizowały te propozycje i gospodarzem festiwalu stał się Gdańsk. Są to sprawy nieodwracalne, ale Łódź jako ośrodek sztuki i produkcji filmowej zasłużyła sobie chyba na festiwal z prawdziwego zdarzenia. Choćby,



Mleczko, owszem jest dobry, ale nasz pan Kazio jest niewyjęty!

Rys. Andrzej Adamowicz

